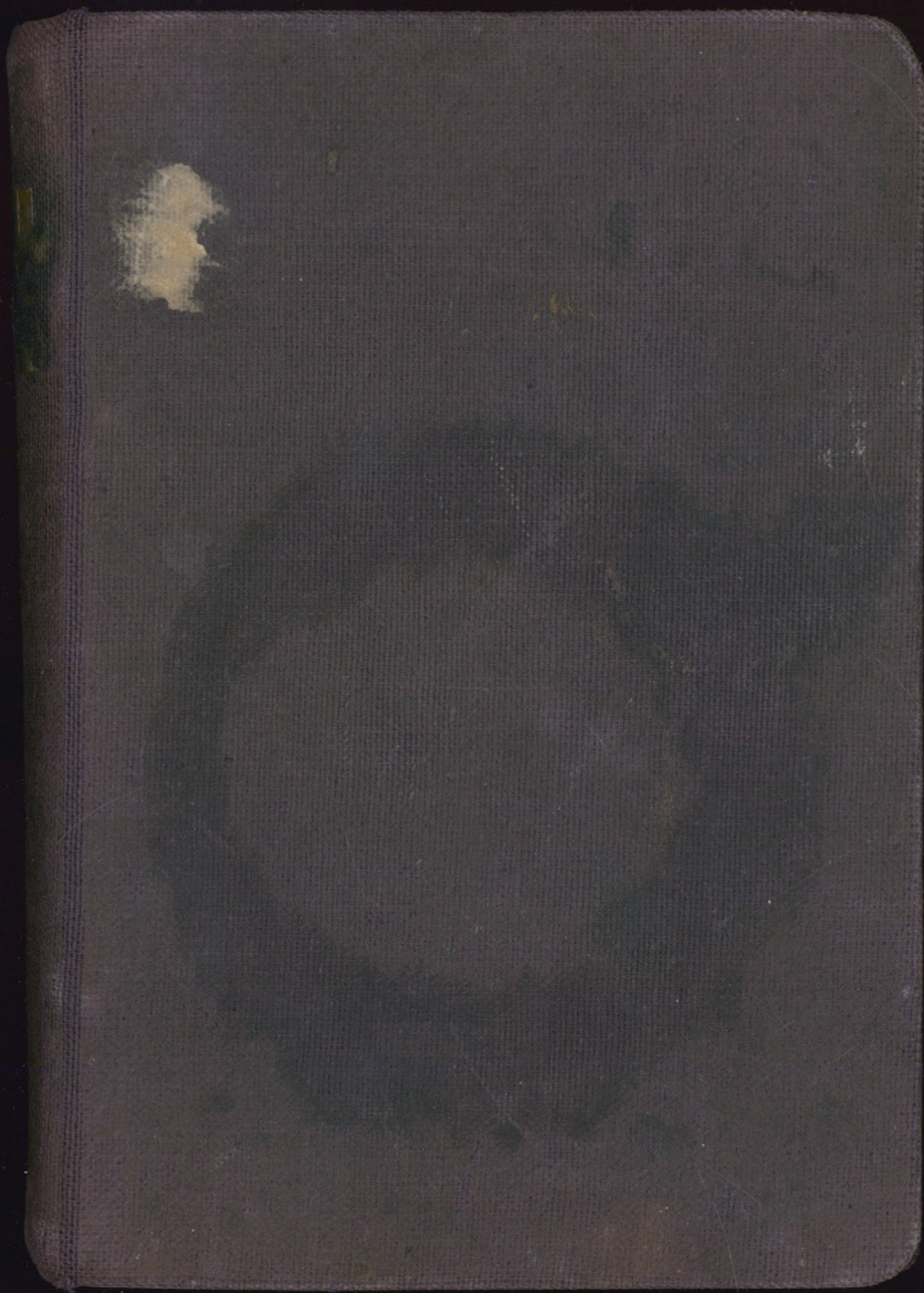
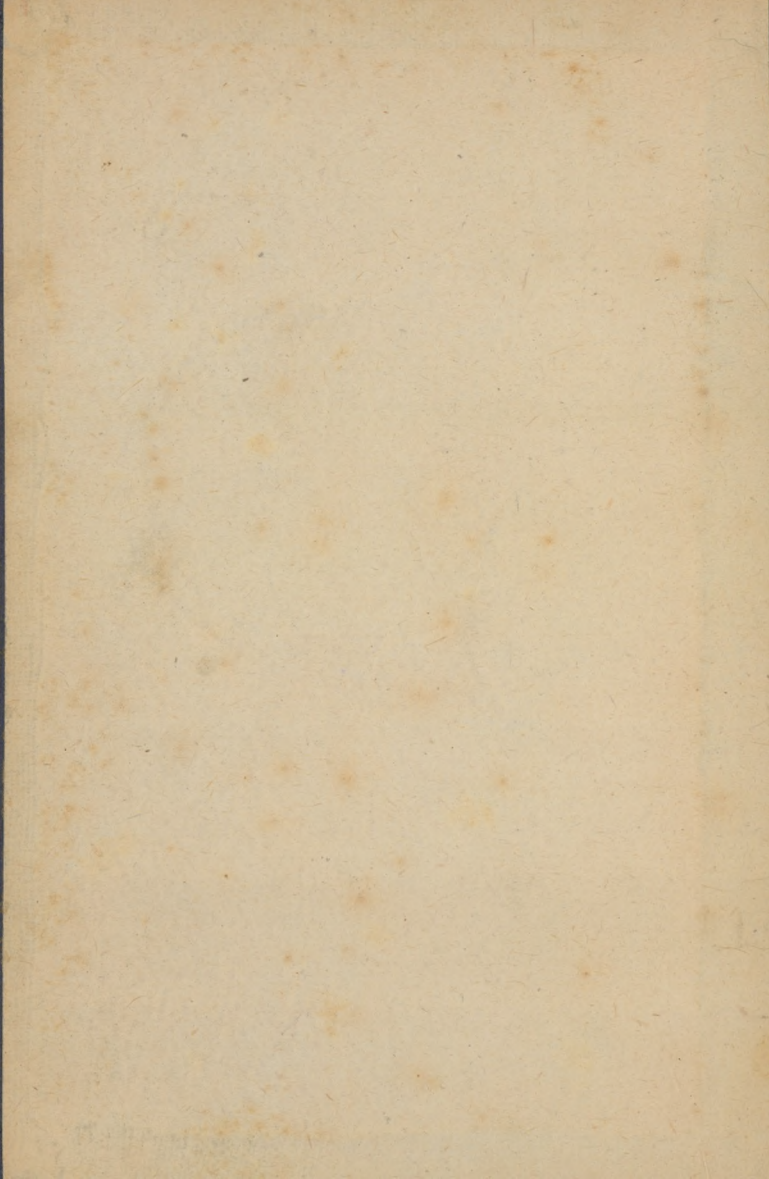






5. D

140

13116



426579

1311 b

~~240~~

Dominiak Lawis





543909



PRZEDMOWA Ks. BOSKO

DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Najdrożsi chłopey! *)

Wiele już razy prosiłście mnie, abym coś napisał o waszym towarzyszu Dominiku Savio. Uczyniłem więc na co tylko mogłem się zdobyć, aby zaspokoić wasze życzenie. Skreśliłem jego żywot krótko i prosto w nadziei, że go mile powitacie.

Dwie rzeczy przeszkadzały wydaniu tego dziełka; jedna z nich, to sądy, jakim zazwyczaj podlega autor, piszący o rzeczach, które mają jeszcze wielu świadków żyjących. Zdaje mi się, że usunąłem tę przeszkodę, starając się opowiedzieć tylko to, na co patrzeliście sami i coście piśmiennie poświadczyli. Drugą przeszkodą była konieczność mówienia często o sobie. Ponieważ Dominik Savio żył blisko trzy lata w naszym zakładzie, musiałem nieraz nadmieniać o

*) Ks. Bosko zwraca się do chłopców swojego Oratorium, dla których przedewszystkiem przeznaczony był niniejszy żywot.



wypadkach, w których sam brałem udział. Tę zaś przeszkodę starałem się pokonać, stosując się do zasad, które każą opisywać zdarzenia bez względu na osoby. Gdybyście jednak spotkali ustępy, w którychbym mówił o sobie, przypiszcie to raczej wielkiej miłości, jaką żywię do zmarłego przyjaciela i do was wszystkich, która każe mi otworzyć przed wami swe serce, jak to czyni ojciec, mówiący do ukochanych swych dzieci.

Może mnie kto z was zapyta, dlaczego napisałem właśnie żywot Dominika Savio, a nie innych chłopców, którzy żyli także między nami i byli prawdziwymi wzorami wielkich cnót. Prawda, moi drodzy, że Opatrzność Boża raczyła nam dać chłopców rzeczywiście wzorowych i cnotliwych, jakimi byli Gabryel Fascis, Alojzy Rua, Kamil Gavio, Jan Massaglia i inni; jednakże cnoty ich nie były tak jaśniejące i tak wybitne, jak cnoty Dominika Savio, którego świątobliwy sposób życia podziwialiśmy wszyscy. Zresztą, jeżeli Pan Bóg użyczy mi zdrowia i łaski, mam zamiar zebrać i spisać szczegóły życia i tych wychowanków, aby zaspokoić wspólne nasze życzenie i podać wam zarazem do czytania i naśladowania to, co najbardziej odpowiada waszemu stanowi.

Korzystajcie więc, chłopcy kochani, z tego czytania i powtarzajcie w swem sercu to, co mówi św. Augustyn: „Jeżeli on, dla czego

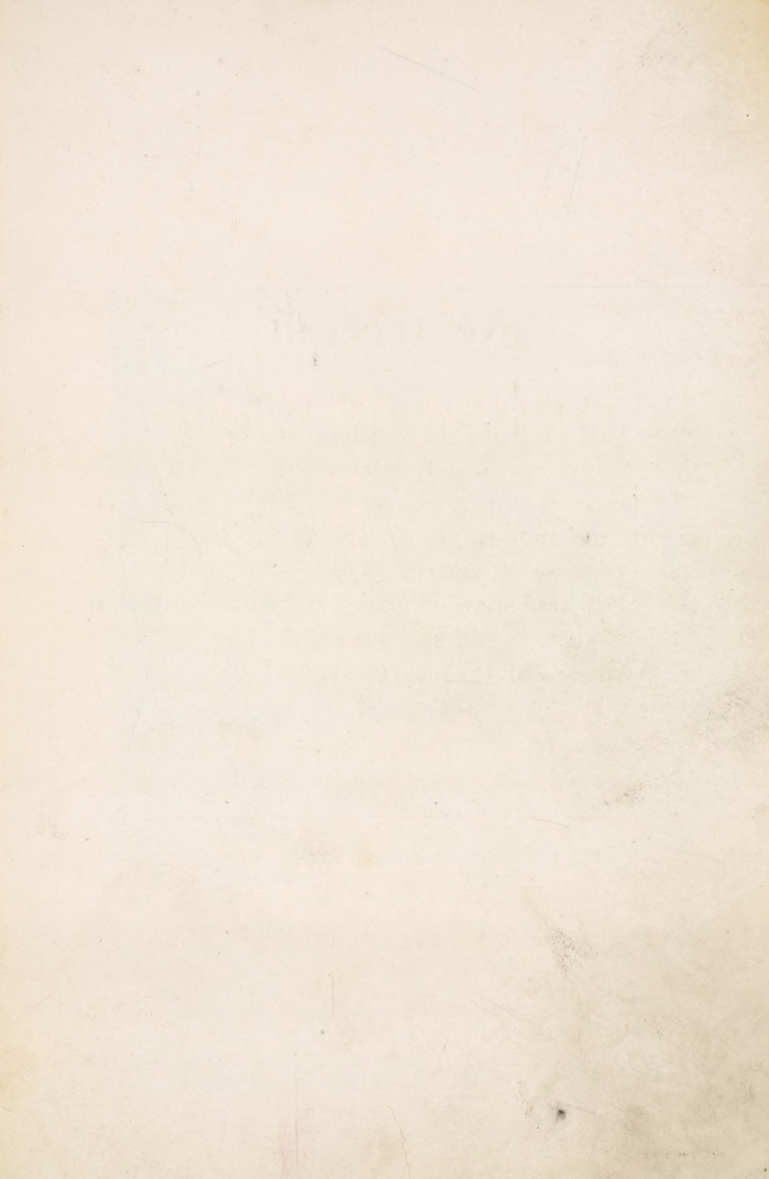
nie ja?" Jeżeli mój towarzysz tego samego wieku, w tem samem miejscu, wystawiony na te same, a może nawet na większe pokusy i niebezpieczeństwa, aniżeli ja, znalazł czas i sposób do wiernego naśladowania Jezusa Chrystusa, dlaczegoż ja nie miałbym się stać jemu podobnym? Pamiętajcie jednak, iż prawdziwa pobożność nie polega na słowach, lecz na spełnianiu dobrych uczynków. Jeżeli więc zauważycie jaką rzecz godną podziwu, nie zadowalajcie się tylko czczeniem słowami: to piękne, to mi się podoba; lecz niech każdy z was sobie powie: będę się starał spełniać te same uczynki, których opis tak mnie zachwyca i unosi.

Niech Bóg użyty wszystkim, którzy będą czytać to dziełko, zdrowia i łaski, by mogli wyciągnąć z niego jak największe korzyści dla swej duszy. Najświętsza Dziewica zaś, do której nasz Dominik miał tak gorące nabożeństwo, niech wyprosi wszystkim łaskę umiłowania całem sercem i całą duszą naszego Stwórcy, który jedynie jest godzien, abyśmy Go kochali ponad wszystkie stworzenia i służyli Mu przez wszystkie dni życia naszego.

Ks. Jan Bosko.

OŚWIADCZENIE.

Autor stosując się do dekretów Papieża Urbana VIII., tudzież do rozporządzeń św. Rzymskiej Inkwizycyi, wydanych w latach 1625, 1631 i 1634, oświadcza, że opisywanym w niniejszem opowiadaniu zdarzeniom nie należy dawać innej wiary, jak tylko wiarę, opartą na powadze czysto ludzkiej, pozostawiając wszystko sądowi Stolicy Apostolskiej i Kościoła św., którego ma zaszczyt wyznawać się najuleglejszym synem.





Dom rodzinny Dominika Savio.

ROZDZIAŁ I.

Miejscowość rodzinna — Zdolności i pierwsze akty cnót Dominika.

Rodzicami chłopczyka, którego żywot piszemy, byli Karol Savio i jego żona Brygida. Byli to ubodzy, lecz poważani obywatele miasteczka Castelnuevo d'Asti *), które jest oddalone 10 mil od Turynu. Gdy w r. 1841 pobożni małżonkowie znajdowali się w niedostatku i bez

*) W dawnych czasach nazywało się Castelnuevo di Rivalva i należało do hrabiów Biandrate z tego miasteczka. Około roku 1300 zdobyte przez mieszkańców Asti zostało później nazwane Castelnuevo d'Asti. — W tym czasie było gęsto zamieszkane przez lud przemysłowy i zajmujący się handlem, który prowadzono z różnemi miastami Europy. — Było ojczyzną wielu sławnych mężów. — Słynny Jan Argentero, zwany wielkim lekarzem swego wieku, urodził się w Castelnuevo d'Asti r. 1513. Napisał wiele dzieł poważnej treści. Był nadzwyczaj pobożny, zwłaszcza do Matki Boskiej. Na Jej to cześć wzniósł kaplicę w kościele parafialnym św. Augustyna w Turynie. Zwłoki jego pochowane zostały w kościele parafialnym z zaszczytnym napisem, który jeszcze dziś można widzieć. — Wielu innym mężami wślawiło się to miasteczko. Ostatnimi czasy było również kolebką błogosławionego księdza Józefa Kafasso, kapłana odznaczającego się wielką pobożnością, niepospolitą wiedzą teologiczną i miłością względem chorych, więźniów, skazanych na śmierć i nieszczęśliwych

pracy, przenieśli się na mieszkanie do Rivy, miejscowości, oddalonej prawie o dwie mile od Chieri. Tutaj Karol oddał się kowalstwu, którego się był wyuczył w młodości. W czasie ich pobytu w tej miejscowości, Bóg pobłogosławił ich małżeństwu, dając im synka, który się miał stać ich pociechą. Urodził się 2 kwietnia 1842 roku. Przy chrzcie dano mu imię Dominik, które, chociaż na pozór obojętne, stało się jednak, jak to później zobaczymy, przedmiotem poważnych rozmyślań dla naszego młodzieniaszka. Dominik kończył drugi rok życia, kiedy dla pewnych spraw rodzinnych, pobożni jego rodzice postanowili powrócić do ojczystego Murialdo, przedmieścia Castelnovo d'Asti. Dominik tymczasem stał się przedmiotem najczulszej miłości swych rodziców, którzy dokładali wszelkich starań, aby mu dać prawdziwie chrześcijańskie wychowanie. Nawet w tym wieku, kiedy dzieci są tak roztrzepane, on zawsze i wszędzie z największą gotowością słuchał swej matki, a jeżeli się od niej oddalał, czynił to jedynie w tym celu, by się w ukryciu mógł modlić z większą swobodą.

różnego rodzaju. On to jako doradca i zarazem powiernik najskrytszych myśli księdza Bosko, prowadził go drogą, jaką mu nakreśliła Opatrzność Boża. — Z Castelnovo d'Asti pochodzi ks. Bosko, ks. kardynał Cagliero, biskup Filipello i cały szereg kapłanów, którzy są prawdziwą ozdobą duchowieństwa katolickiego. Lud miejscowy jest nadzwyczaj poczciwy, religijny i gościnny.



„...drogi tatusiu! jakżeście zmęczeni...” (str. 9).

Już od najmłodszych lat, — tak zapewniają jego rodzice, — kiedy dzieci zazwyczaj dla braku rozwagi są ciąglem utrapieniem dla matek, kiedy chcą wszystko wiedzieć, wszystko mieć, nasz Dominik nie sprawił nam najmniejszej przykrości. Nie tylko, że był posłuszny na każde nasze skinienie, lecz owszem starał się odgadywać nasze myśli i uprzedzać nasze rozkazy.

Nader miłe było przyjęcie, jakim darzył ojca, kiedy ten po całodziennej pracy powracał do domu. Wychodził naprzeciw niemu, a ujawszy go za rękę i skacząc z radości, mawiał do niego: Jakże bardzo jesteście zmęczeni, drogi tato, nieprawda? wy tyle dla mnie pracujecie, a ja wam jeszcze nic pomódz nie mogę, lecz będę prosił Boga, aby wam udzielił czerstwego zdrowia, a mnie dobrym uczynił.

Wśród takiego szczebiotania prowadził ojca do domu. Tam podawał mu krzeselko lub ławeczkę i prosił, aby sobie usiadł; zostawał przy nim i tysiącznemi pieszczotami uprzyjemniał mu odpoczynek. Było to dla mnie, mawiał ojciec, słodkiem po trudach pokrzepieniem i podczas pracy oczekiwałem prawie z niecierpliwością chwili, gdy wróciwszy do domu, będę mógł złożyć serdeczny pocałunek na czole kochanego mego Dominika.

Wzrastał on szybciej w pobożności, aniżeli w latach. Z zadziwiającą szybkością nauczył się modlitw, a mając lat zaledwie cztery, sam je odmawiał i nigdy się nie zdarzyło, aby go musiano zachęcać do modlitwy porannej lub wieczornej, przed i po jedzeniu, albo do pozdrowienia anielskiego; owszem, on zapraszał innych domowników, aby je odmawiali, jeżeli przypadkiem który o tem zapomniał. Zdarzyło się, iż pewnego dnia rodzice jego roztargnieni jakimś niezwykłym wypadkiem, zasiedli do obiadu bez modlitwy. — Tato, rzekł uważny Dominik, jeszcześmy nie poprosili Boga, aby pobłogosławił nasz pokarm. Powiedziawszy to, uczynił znak krzyża św. i zaczął odmawiać zwykłą modlitwę. Innym razem, jakiś obcy człowiek, przyjęty do ich domu, zasiadł do stołu bez uczynienia znaku krzyża św. — Dominik, nie śmiejąc zwrócić mu uwagi, odszedł na bok zasmucony. Zapytany później przez rodziców o powód tak niezwykłego zachowania się, odpowiedział: „Nie śmiałem usiąść do stołu z takim człowiekiem, który się zabiera do jedzenia, jak zwierzęta“.

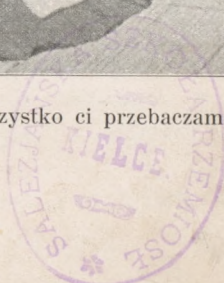
ROZDZIAŁ II.

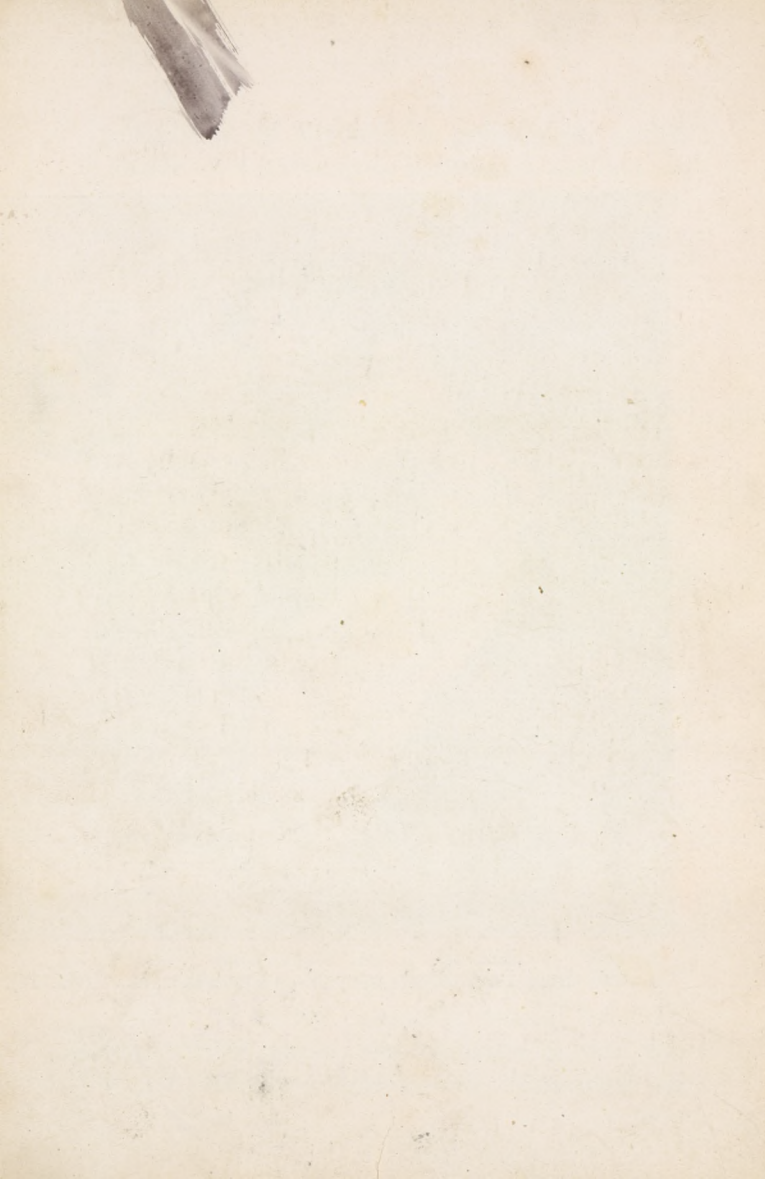
Budujące zachowanie się w Murialdo — Piękne przykłady — Uczęszcza do szkoły.

Podaję tu rzeczy, którymby trudno było dać wiarę, gdyby osoba, opowiadająca je, nie wykluczała wszelkiej wątpliwości. Trzymam się



„...mój drogi Dominiku! wszystko ci przebaczam...” (str. 14).





ściśle sprawozdania, jakiego ksiądz proboszcz z Castelnovo raczył mi udzielić o mym droгим wychowanku.

„W pierwszych dniach, — mówi on — kiedy przybyłem do tej dzielnicy, zwróciłem szczególniejszą uwagę na pewnego chłopczyka około pięcioletniego, przychodzącego do kościoła w towarzystwie swej matki. Pogoda oblicza i cała jego postawa odróżniały go od innych dzieci i zmuszały wszystkich do zajęcia się nim. Gdy przybył do kościoła i zastał go jeszcze zamkniętym, wtedy można było zauważyć rzewną scenę: daleki od hałasowania i włóczenia się z innymi, jak to zwykli czynić chłopcy jego wieku, podchodził do progu kościoła, padał na kolana i z główką pochyloną, ze złożonemi niewinnie rączkami, modlił się, dopóki nie otworzono bramy. Trzeba zauważyć, że wiele razy na dworze było błoto lub padał deszcz albo śnieg; nie zważał jednak na to, lecz spokojnie klękał i modlił się żarliwie. Zdjęty świętą ciekawością, chciałem się dowiedzieć, kimby był ten chłopczyzna, który się stał przedmiotem mego podziwu. Dowiedziałem się, że to był nasz Dominik.

Kiedy mnie spotykał na ulicy, z daleka już okazywał swoją radość, a za zbliżeniem się, pozdrawiał mnie z uszanowaniem i z obliczem prawdziwie anielskiem.

Zaczął także i on uczęszczać do szkoły, a po-

nieważ był obdarzony wielkimi zdolnościami i bardzo pilnie wypełniał swe obowiązki, uczynił w krótkim czasie znaczny postęp w nauce. Pomimo, iż był zmuszony stykać się z chłopcami lekkomyślnymi i rozpuszczonymi, nigdy jednak nie zauważyłem, by się z nimi sprzeczał. Gdy powstała jakaś kłótnia, oddalał się natychmiast, znosząc cierpliwie docinki towarzyszków. Nie spostrzegłem nigdy, aby kiedy brał udział w niebezpiecznej zabawie, albo żeby w szkole dokazywał. Owszem, wielu towarzyszków namawiało go, aby szedł z nimi i czynił psoty osobom starszym, aby rzucał kamieniami, kradł owoce lub wyrządzał w polu szkody; lecz on zawsze umiał zrećźnie wymówić się i zganić ich postępowanie.

Pobożność jego, którą już był okazywał, modląc się na progu kościoła, z latami ciągle wzrastała. Już jako pięcioletni chłopczyzna nauczył się służyć do mszy św. i usługiwał do niej z najżywszą pobożnością. Na msze święte uczęszczał każdodziennie, a jeżeli służył ktoś inny, to słuchał jej z największem skupieniem. Ponieważ stosownie do swego wieku był jeszcze bardzo mały, nie mógł sobie dać rady przy przenoszeniu mszału: zbliżywszy się do ołtarza, podnosił się na palcach, wyciągał, jak mógł ręczęta, czyniąc największe wysiłki, aby dostać pulpit ze mszałem. Jeżeli kapłan lub ktoś inny chciał mu sprawić wielką przyjemność, wy-

starczyło, że przysunął podstawkę na brzeg ołtarza, skądby jej łatwo mógł dosięgnąć, wtedy ucieszony, przenosił mszał na drugą stronę.

Spowiadał się często, a skoro tylko umiał rozróżnić chleb niebieski od chleba ziemskiego, został przypuszczony do komunii świętej, którą przyjął z podziwienią godną pobożnością. Widząc te wielkie postępy w cnocie, które łaska Boża w tej niewinnej duszy sprawiała, myślałem nieraz: „Oto młodzieniaszek, rokujący jak najlepsze nadzieje. Bóg niechaj kieruje jego krokami, aby owoc tak drogocenny mógł dojrzeć“. — Tyle proboszcz z Murialdo.

ROZDZIAŁ III.

**Pierwsza Komunia św. — Przygotowanie — Skupienie —
Postanowienia w tym dniu powzięte.**

Dominik był dokładnie przygotowany do przyjęcia pierwszej komunii świętej. Umiał na pamięć cały mały katechizm, posiadał jasne pojęcie o tym wzniosłym sakramencie i pałał gorącem pragnieniem, by jak najrychlej przyjąć Pana Jezusa. Jedynie wiek na to nie pozwalał, gdyż po wiejskich parafiach przypuszczano dzieci do pierwszej komunii świętej zazwyczaj w jedenastym lub dwunastym roku życia, a nasz Savio liczył wtenczas zaledwie lat siedm. Prócz tego młodziuchne rysy jego twarzy i małeńki wzrost sprawiały, iż wydawał się jeszcze młodszym. Z tego powodu pro-

boszcz miejscowy wahał się, czy ma zadość uczynić gorącym jego pragnieniom. Radził się zatem innych kapłanów, którzy, zważywszy dobrze przedwczesny rozwój umysłowy Dominika, dostateczne przygotowanie i żywe pragnienie, zgodzili się, aby go przypuszczono, mimo tak młodego wieku, po raz pierwszy do uczty anielskiej.

Byłoby rzeczą nader trudną wyrazić uczucia świętej radości, jaką się napełniło jego serce na tę wiadomość. Natychmiast pobiegł do domu i z nieopisaną radością opowiedział to matce. Potem już albo się modlił, albo czytał pobożne książki i wiele czasu spędzał w kościele przed i po mszy świętej, tak, że zdawało się, jakby dusza jego już zamieszkała z aniołami w niebie. W przeddzień swej pierwszej komunii świętej przybliża się do swej matki i rzecze: „Mamo, jutro będę miał szczęście przystąpić po raz pierwszy do stołu Pańskiego; przebaczenie mi wszystkie moje przewinienia, jakimi was obraziłem; na przyszłość przyrzekam być lepszym, uważniejszym w szkole, posłusznym i zawsze będę wypełniał wszystkie wasze rozkazy“. Po tych słowach tak się wzruszył, że wybuchnął głośnym płaczem. Matka, której nigdy żadnej przykrości nie sprawił, z biedą powstrzymując się od łez, pocieszała go, mówiąc: „Bądź spokojny, mój drogi Dominiku, wszystko ci przebaczam; prosz



„...był to dla mnie najpiękniejszy dzień...” (str. 15).

Boga, byś został zawsze dobrym, módl się za mnie i za twego ojca“.

Owego pamiętnego dnia wstał wczesną rano, a ubrawszy się, poszedł do kościoła, który był jeszcze zamknięty. Upadł więc na kolana na progu świątyni, jak to czynił zwykle, i tak długo klęczał zatopiony w modlitwie, dopóki nie przyszli inni chłopcy i drzwi nie otworzono.

Spowiedź, nabożeństwo, przygotowanie do komunii świętej i dziękczynienie trwało blisko pięć godzin. Dominik pierwszy wszedł do kościoła, a wyszedł z niego ostatni. Przez cały ten czas nie wiedział, czy jest w niebie, czy na ziemi.

Dzień ten uroczysty wyrył się głęboko w jego duszy i bez wahania można go nazwać początkiem, albo raczej dalszym ciągiem życia, które może służyć za wzór dla każdego dobrego chrześcijanina. Kilka lat później gdy mu ktoś wspominał o pierwszej komunii św., można było zauważyć, jak się jego oblicze rozpromieniało niebiańską radością. — O, mawiał wtenczas, był to dla mnie najpiękniejszy i najwznioślejszy dzień! Zapisał sobie kilka postanowień, które przechowywał starannie w książeczce do nabożeństwa i często je odczytywał. Dostały mi się one do ręki i podaję je w ich pierwotnej prostocie. Brzmiały, jak następuje:

„Postanowienia uczynione przezemnie Dominika Savio w roku 1849, kiedy przystąpiłem do

pierwszej komunii św. w siódmym roku mego życia.

1. Będę się często spowiadał i kiedy tylko otrzymam pozwolenie od spowiednika, przystąpię do stołu Pańskiego.
2. Będę święcił dni świąteczne.
3. Moimi przyjaciółmi będą Jezus i Marya.
4. Raczej umrzeć niż zgrzeszyć!“

Te postanowienia, które sobie często powtarzał, były jakoby drogowskazem aż do końca jego życia.

Jeśliby się pomiędzy czytelnikami tej książeczki znalazł ktoś, coby miał przystąpić dopiero do pierwszej komunii św., temu gorąco polecam wziąć sobie Dominika za wzór do naśladowania. Ale nadewszystko najusilniej polecam ojcom i matkom, oraz wszystkim, którzy wywierają jakikibądź wpływ na młodzież, aby zwracali jak największą uwagę na ten tak ważny akt naszej św. religii. Bądźcie przekonani, że pierwsza komunია święta, dobrze przyjęta, stanowi silną podwalinę moralną na całe życie i rzadko się zdarzy, aby ten, który dobrze dopełnił tego uroczystego aktu, nie prowadził później życia przykładnego i enotliwego. Przeciwnie, liczy się setki i tysiące młodzieńców lekkomyślnych, którzy są prawdziwym zmartwieniem dla swoich rodziców i dla tych, którzy zajmują się ich wychowaniem. Gdy się atoli szuka korzenia tego zła, przychodzi się nie-

bawem do przekonania, że właśnie nieodpowiednie przygotowanie do pierwszej komunii św. było powodem ich złych obyczajów. Lepiej jest odłożyć czas przystąpienia do pierwszej komunii świętej, lub wcale jej nie przyjmować, aniżeli przyjąć ją niegodnie.

ROZDZIAŁ IV.

Dominik uczęszcza do szkoły w Castelnovo d'Asti —
Budujący wypadek — Mądra odpowiedź na złe namowy.

Po ukończeniu szkół ludowych, Dominik powinien był jak najrychlej być wysłany na dalsze nauki; pragnął on tego gorąco, a również i jego rodzice, lecz było to niemożliwe z powodu ich ubóstwa. Gorącym jego i rodziców życzeniom stało się zadość, gdyż Pan Bóg, zarządca wszech rzeczy, postarał się o środki, aby Savio mógł iść za głosem swego powołania. „Gdybym był pta-kiem, — mawiał często mały Dominik — leciałbym codzień rano i wieczór do Castelnovo, aby się tam dalej kształcić“.

Jego pociąg do nauk sprawił, że przewyciężył wszelkie trudności i zaczął uczęszczać do szkoły miejskiej w Castelnovo, jakkolwiek była ona o 4 kilometry oddaloną. I oto widzimy chłopczyka zaledwie dziesięcioletniego, odbywającego codziennie prawie szesnaście kilometrów, to jest

przeszło dwie mile drogi, byle tylko módz się uczyć. Nieraz ostry wiatr przenikał ciało aż do szpiku kości; nieraz słoneczny upał strasznie dopiekał lub błoto i ślota utrudniały mu drogę; to wszystko było niczem wobec wytrwałości Dominika. Posłuszeństwo rodzicom i chęć nabycia zbawiennych nauk były najlepszym bodźcem do znoszenia wszelkich niewygód. Pewna osoba starsza wiekiem, widząc Dominika samotnie idącego do szkoły o drugiej południu podczas największego żaru słonecznego, chcąc go pocieszyć, zbliżyła się do niego i rzekła:

— Mój drogi, nie boisz się ty iść sam tą drogą?

— Nie jestem sam, odrzekł, mam Anioła Stróża, który mi towarzyszy na każdym kroku.

— Ale z pewnością jest ci uciążliwa ta droga podczas takiego skwaru, zwłaszcza, że ją musisz przebywać aż cztery razy dziennie!

— Nie, nic nie jest trudnem, ani uciążliwem, gdy się pracuje dla Pana, który płaci bardzo hojnie.

— A kto jest tym Panem?

— Jest nim Bóg, nasz stwórca, który płaci nawet za kubek zimnej wody, podanej spragnionemu z miłości ku Niemu.

Ta sama osoba opowiadała to spotkanie swoim znajomym i to swoje opowiadanie kończyła zawsze słowami:

— Chłopczyk, który w tak młodym wieku ma już tak wzniosłe pojęcie o Bogu, stanie się zapewne chlubą tego stanu, któremu się poświęci.

W drodze do szkoły i z powrotem był narażony na różne niebezpieczeństwa z przyczyny niektórych towarzyszków.

Wielu chłopców podczas letnich upałów ma zwyczaj chodzić się kąpać w rzekach, stawach. Ileż to niebezpieczeństw duszy i ciała grozi dzieciom, gdy się kąpią we większych gromadach, całkiem rozebrane i to często w miejscach otwartych. Jakże często musimy opłakiwać przedwczesną śmierć chłopców lub nawet starszych osób wskutek utonięcia? Ale czy nie większe niebezpieczeństwo grozi ich duszy? Ach! iluż młodzieńców opłakuje teraz utratę swej niewinności z tej właśnie przyczyny, iż za namową towarzyszków poszli się kąpać w owe miejsca nieszczęsne!

Kilku współuczniów Dominika miało także ten zwyczaj. Nie dosyć na tem, że sami chodzili się kąpać, lecz chcieli i jego do tego nakłonić, co im się też rzeczywiście raz udało. Lecz, gdy mu zwrócono uwagę, że to jest rzeczą niebezpieczną, niezmiernie się zasmucił i od tego czasu nie dał się już więcej namówić, owszem żałował i opłakiwał bardzo często niebezpieczeństwa, na jakie się był naraził, tak co do duszy, jak i co do ciała. Dwóch atoli jego kolegów śmielszych

i sprytniejszych kusiło go jeszcze i namawiało, by poszedł się z nimi kąpać.

— Dominiku, odezwał się pewnego razu jeden z nich, chcesz pójść z nami na wyścigi?

— Na jakie wyścigi?

— Wyścigi w pływaniu.

— Nie pójdę, nie umiem pływać, boję się.

— Chodź, zobaczysz, jak to miło człowiekowi ochłodzić się cośkolwiek. Ci, co chodzą się kąpać, nie czują już gorąca, mają dobry apetyt i są zawsze zdrowi.

— Lecz ja się obawiam, abym nie utonął.

— Bajki! Nie lękaj się, my cię nauczymy, jak masz robić; najprzód będziesz uważał na nas, a potem uczynisz taksamo. Zobaczysz, będziemy pływać, jak ryby!

— A czy nie jest grzechem iść w miejsce, gdzie jest tyle niebezpieczeństw?

— Wcale nie, owszem, wszyscy tam chodzą.

— Że wszyscy tam chodzą, to jeszcze nie dowód, że to nie jest grzechem.

— Jeżeli nie chcesz wejść do wody, możesz się innym przypatrywać.

— Hm, nie wiem, co na to odpowiedzieć.

— Chodź, chodź; polegaj na nas, nie ci się złego nie stanie; wyrwiemy cię z wszelkiego niebezpieczeństwa.

— Dobrze, udam się z wami, ale wprzód popro-

sze mamę o pozwolenie; jeśli ona się zgodzi na to, to pójdę; inaczej nie!

— Milcz! Nie mów tego matce, bo ona cię z pewnością nie puści; owszem, powie to naszym rodzicom, którzyby nam sprawili porządną łaźnię!

— O, jeśli mi moja mama iść nie pozwoli, to znak, że to jest rzeczą złą, dlatego też nie pójdę! Jeśli zaś mam szczerze mówić, to wiedźcie, że jeden raz dałem się uwieść i poszedłem z wami, lecz na przyszłość nie zdołacie mnie już więcej namówić; w takich bowiem miejscach jest zawsze niebezpieczeństwo śmierci, albo obrazy Boga. Od-tąd wcale nie chcę słyszeć o pływaniu. Jeśli się to nie podoba waszym rodzicom, nie powinni-byście więcej tego czynić, gdyż Bóg karze te dzieci, które postępują wbrew woli ojca lub matki.

W taki to sposób nasz Dominik dał mądrą odpowiedź złym doradcom i nie wystawił się więcej na niebezpieczeństwo utraty nieocenionego skarbu niewinności.

ROZDZIAŁ V.

Zachowanie się Dominika w szkole w Castelnovo d'Asti.
Słowa jego nauczyciela.

Uczęszczając do szkoły, począł Dominik nabierać coraz większego doświadczenia w obcowaniu z towarzyszami. Jeżeli poznał kogo uważnego, pilnego i posłusznego w szkole, pełnego uszanowania dla drugich, chwalonego przez nauczyciela,

to go sobie obierał za przyjaciela. Natomiast, jeśli zauważał jakiegoś chłopaka niesfornego i zuchwalego, który zaniedbywał swoje obowiązki, obmawiał innych lub przeklinał, to go unikał, jak zaraży. Tych zaś, którzy byli nieco niedbali, pozdrawiał, oddawał im jaką usługę, ile razy sposobność się nadarzyła, ale żadnej ściślejszej nie zawiązywał z nimi przyjaźni.

Jego zachowanie się w szkole w Castelnovo d'Asti może służyć za wzór dla każdego ucznia, który pragnie postępować w nauce i pobożności. Z tego też względu przytaczam tu sprawozdanie, przesłane mi przez jego nauczyciela, ks. Aleksandra Allorę. Oto, jak ono opiewa:

„Bardzo mnie cieszy, iż mogę wypowiedzieć swoje zdanie o chłopcu Dominiku Savio, który w krótkim czasie umiał sobie zjednać moją życzliwość tak dalece, iż pokochałem go miłością iście ojcowską. Udzielam chętnie niniejszych notatek, gdyż żywo tkwi mi jeszcze w pamięci jego pilność, obyczajność i cnoty przepiękne.

Nie mogę wiele powiedzieć o jego zachowaniu się religijnem z tego powodu, że mieszkał bardzo daleko za miastem, ponieważ nie mógł uczęszczać na nauki katechetyczne. Gdyby był mógł brać w nich udział, byłby bez wątpienia zajaśniał pobożnością i cnotą.

Po ukończeniu pierwszej klasy ludowej w Murialdo, dobry ten chłopczyk został przypuszczony

do drugiej 21 czerwca 1852 r., w dniu poświęconym czci świętego Alojzego Gonzagi, patrona młodzieży. Dominik był szczupłej budowy ciała, o twarzy poważnej, na której malowała się słodcz anielska; jednocześnie były od niej wdzięki i powaga. Miał charakter bardzo łagodny, słodki i stały. Jego uwaga i skupienie w szkole, na ulicy i w kościele były takie, że każde spojrzenie, każda myśl i każde słowo nauczyciela, odnoszące się do niego, sprawiały na nim głębokie wrażenie. Jestto może dla nauczyciela jedna z największych pociech za niezliczone trudy, jakich się tylekroć napróżno podejmuje w kształceniu i wychowaniu młodzieży. Stąd mogę powiedzieć, że Dominik był nietylko *savio* — mądry — z nazwiska, ale takim okazywał się również w czynie, mianowicie w naukach, w pobożności, w obeowaniu z swymi towarzyszami, słowem: w każdym swym uczynku. Od wstąpienia do mej klasy aż do końca roku szkolnego i przez cztery miesiące roku następnego, postępował w naukach w sposób zadziwiający. Stąd zasłużył sobie przez ten czas na pierwsze miejsce między współuczniami, na różne względy w szkole i był prawie zawsze celujący w każdym przedmiocie. Ten pomyślny wynik nauki nietylko należy przypisać jego nadzwyczajnym zdolnościom, lecz także jego wielkiej enocie. zwłaszcza wielkiemu zamiłowaniu do pracy.

„Podziwu godną jest też jego gorliwość, z jaką się starał wypełniać najmniejsze obowiązki ucznia chrześcijańskiego, a mianowicie: sumienność i zadziwiająca pilność w uczęszczaniu do szkoły. Choć był zawsze bardzo wątłego zdrowia, przebiegał jednak dziennie cztery razy przeszło cztery kilometry drogi, a czynił to z dziwnym spokojem ducha i pogodą umysłu, nawet w zimie podczas ostrych mrozów i zamieci śnieżnych, tak, iż jego nauczyciel i towarzysze nie mogli się temu nadziwić i budowali się tak wzniosłym przykładem. Tymczasem w tymże roku szkolnym 1852—1853 zachorował Dominik, a wkrótce potem rodzice jego zmienili pomieszkanie, przeto z wielkim dla mnie bólem serca nie mogłem już nadal udzielać nauki kochanemu uczniowi, rokującemu tak piękne nadzieje. Lecz jednocześnie ogarnął mnie żal i obawa, że ten dobry chłopczyzna dla braku zdrowia i środków pieniężnych, będzie niestety zmuszony zaniechać swych nauk.

„Niezmierznie mnie zatem ucieszyło, gdym się później dowiedział, że został przyjęty między wychowanków Oratorium św. Franciszka Salezego, bo tu miał otwartą drogę do kształcenia swego niepospolitego umysłu i serca“.

ROZDZIAŁ VI.

Szkoła w Mondonio — Dominik znosi ciężką potwarz.

Zdaje się, że Opatrzność Boska chciała dowieść Dominikowi, że ten świat jest prawdziwym wygnaniem, gdzie jesteśmy zmuszeni tułać się z miejsca na miejsce; albo raczej chciała go dać poznać także w innych okolicach, gdzieby się znów budowano jego cnotami.

Pod koniec roku 1852 rodzice Dominika przenieśli się na mieszkanie z Murialdo do Mondonio, wioski, przyległej do Castelnovo. Ani tu nie zmienił Dominik w niczem trybu życia, jaki wiódł w Murialdo i w Castelnovo, wskutek czego musiałbym powtórzyć rzeczy, które o nim napisali jego dwaj pierwsi nauczyciele. — Ksiądz Cubiero bowiem, którego był uczniem, zestawił sprawozdanie, do poprzednich niemal podobne. Wyciągam z niego niektóre tylko, szczególniejsze zdarzenia, omijając to, co byłoby powtórzeniem innych, już przytoczonych sądów i wydarzeń.

„Mogę powiedzieć, pisał ks. Cubiero, że w 20 latach, w ciągu których zajmowałem się wychowaniem młodzieży, nie miałem ani jednego chłopca, któryby w enocie dorównał Dominikowi Savio. Był on młodziuchny, lecz roztropnością przewyższał dojrzałych. Jego pilność, dokładanie się do nauk i uprzejmość jednały mu poważanie nauczyciela i miłość współuczniów. Gdym patrzył na niego w kościele, byłem zdjęty podziwieniem, wi-

dząc nadzwyczajne skupienie w tak młodym chłopezyku. Często mówiłem sobie: „Oto dusza niewinna, dla której otwierają się rozkosze niebieskie, która duchem swoim przebywa z aniołami w niebie.“

Miedzy innemi zdarzeniami opowiada jego nauczyciel następujące:

„Pewnego dnia dopuścili się niektórzy moi uczniowie wykroczenia, które należało ukarać wydaleniem ze szkoły. Winowajcy atoli uprzedzili dochodzenia i udawszy się do nauczyciela, rzucili całą winę na Dominika, zupełnie niewinnego. Ja nie chciałem dać wiary, żeby Dominik był zdolny do takiego wybryku, lecz oszczercy umieli nadać potwarzy tyle prawdopodobieństwa, że trzeba im było uwierzyć. Wchodzę więc do szkoły, słusznie rozgniewany za spowodowany nieporządek; karzę ogólnikowo winowajcę, a potem zwracam się wprost do Dominika i mówię: — Trzeba było, żebyś ty właśnie dopuścił się tego uchybienia? — czyż nie wiesz, że za to mógłbyś natychmiast być wydalony ze szkoły? szczęście twoje, że to po raz pierwszy zdarzyło ci się coś podobnego, bo inaczej... Zapamiętaj sobie, aby to było po raz pierwszy i ostatni. — Dominik mógł być powiedzieć tylko jedno słówko, a jego niewinność byłaby się wykryła. Lecz on milczał, spuścił głowę i jak gdyby był rzeczywiście winowajcą, nie podnosił więcej oczu.

„Lecz Bóg opiekuje się niewinnymi; jakoż niebawem winowajcy zostali rzeczywiście wykryci, a niewinność Dominika stała się jasną. Rozżalony, że go niesłusznie zganilem, wziąłem go na bok i zapytałem: dlaczego milczałeś i nie powiedziałeś mi zaraz, żeś niewinny? Dominik odrzekł: ponieważ tamten był już winnym innych uchybień, więc byłby został wydalony ze szkoły; ja zaś spodziewałem się, że otrzymam przebaczenie, gdyż był to pierwszy wypadek, że zostałem w szkole oskarżony. Zresztą myślałem wtedy o naszym Boskim Zbawicielu, który był również niewinnie spotwarzany.

„Umilkłem wtedy, lecz wszyscy podziwiali cierpliwość Dominika, który umiał oddać dobrem za złe, gotów znieść nawet ciężką karę, aby przyjść z pomocą samemu potwarczy“.

ROZDZIAŁ VII.

Moje pierwsze z nim spotkanie — Ciekawe epizody.

Wydarzenia, które tu zamierzam opowiedzieć, mogę przedstawić w obfitszem świetle szczegółów, ponieważ wszystkie prawie zaszły pod mojemi oczyma i zazwyczaj w obecności także wielkiej liczby chłopców, którzy je wszyscy jednoznacznie potwierdzają.

Było to w roku 1854, kiedy wspomniany ks. Cubiero przyjechał do Turynu, by polecić mi je-

dnego ze swoich uczniów, zasługującego dla swej pobożności na szczególniejsze względy.

— Ksiądz Dobrodziej będzie może miał wielu podobnych chłopców w swym zakładzie, lecz z trudnością znajdzie takiego, któryby go przewyższał w zdolnościach i cnocie. Niech jeno ksiądz Dobrodziej zechce się przekonać, a zobaczy, że to drugi święty Alojzy.

Stało na tem, że miał mi go przysłać do Murialdo, dokąd zamierzałem urządzić wycieczkę z swymi wychowankami, aby tam zażyli cośkolwiek wiejskiego powietrza i odprawili nowennę, a później przyczynili się do wspanialszego obchodu uroczystości Matki Boskiej Różańcowej.

Wczesnym rankiem, w pierwszy poniedziałek października przedstawił mi się młody chłopczyna w towarzystwie swego ojca. — Jego czoło pogodne, twarz uśmiechnięta, a jednak skromna zwróciły na siebie moją uwagę.

— Coś ty za jeden — zapytałem go — skąd pochodzisz?

— Nazywam się Dominik Savio, — odpowiedział — o którym mówił Waszej Wielebności ks. Cubiero, mój nauczyciel. Przychodzę z Mondonio.

Wziąłem go wtedy do siebie i zacząłem wypytować o odbyte nauki, o dotychczasowe jego życie i tak od słowa do słowa spoufaliliśmy się wkrótce zupełnie.

o a n c a



„...nazywam się Dominik Savio...” (str. 28).

Poznałem w młodzieniaszku tym serce iście według ducha Bożego i zdumiałem się niemało, rozważając, ile to łaska Boża działała już w tak młodym chłopczyku.

Po dosyć długiej rozmowie, gdym chciał zawołać jego ojca, Dominik odezwał się do mnie w te słowa:

— Cóż się więc zdaje Przewielebnemu Księdzu? czy zabierze mnie ze sobą na nauki do Turynu?

— Zdaje mi się, że z ciebie materyał dobry.

— A na cóż może posłużyć ten materyał?

— Aby zrobić piękne ubranie jako podarunek dla Pana Jezusa.

— Więc ja jestem sukmem, Wasza Przewielebność niech będzie krawcem; proszę mnie zatem wziąć ze sobą i zrobić piękne ubranie dla Pana Jezusa.

— Wątpię, czy dla braku zdrowia będziesz odpowiednim do nauki.

— Niech się Ksiądz nie obawia; ten Bóg, który mnie aż dotąd darzył zdrowiem i łaską, będzie mnie wspomagał także na przyszłość.

— Ale cóż poczniesz potem, gdy ukończysz naukę łaciny?

— Jeżeli Pan Jezus raczy mi użyczyć tyle łaski, pragnę gorąco poświęcić się stanowi duchownemu.

— Dobrze! teraz chcę się przekonać, czy masz dostateczną zdolność do nauki. Weź tę książkę (był to zeszyt Czytanek katolickich), naucz mi się dzisiaj tej stronicy na pamięć, a jutro mi ją wygłosisz.

Po tej rozmowie pozwoliłem mu odejść i pobawić się z towarzyszami, a tymczasem wdałem się w rozmowę z jego ojcem. Nie upłynęło więcej nad ośm minut, a Dominik, uśmiechając się, powraca i mówi mi:

— Jeżeli Książdz Dobrodziej sobie życzy, wypowiem z pamięci zaraz moją stronicę.

Wziąłem książkę i z niemałym zdziwieniem przekonałem się, że nie tylko dosłownie nauczył się naznaczonego ustępu, ale, że doskonale pojął jego treść.

— Dobrze — rzekłem mu — wywiązałeś się przed czasem ze swego zadania, ja ci też przed czasem daję odpowiedź. Wezmę cię z sobą do Turynu i odtąd już zaliczam cię do swych drogich wychowanków. Zacznij także i ty odtąd prosić Boga, aby pomógł mnie i tobie spełnić swoją świętą wolę.

Nie wiedząc, w jaki sposób najlepiej wyrazić swoje zadowolenie i wdzięczność, ujął mię za rękę, uściskał ją i ucałował kilkakrotnie, a wreszcie rzekł:



— Ufam, iż będę postępował w taki sposób, że Przewielebny Ksiądz Dobrodziej nie będzie potrzebował na mnie narzekać.

ROZDZIAŁ VIII.

Dominik przybywa do Oratorium św. Franciszka Salezego — Jego początkowy sposób życia.

Zmienność postanowień i zachcianek jest wrodzona każdemu prawie dziecku; dlatego też nie rzadko się zdarza, że dzisiaj postanawia jedną rzecz, jutro drugą; dzisiaj ćwiczy się w pewnej cnocie w sposób heroiczny, jutro naodwrot; i jeżeli w tej sprawie ktoś nie trzyma się roztropnego kierunku, natenczas wychowanie, któreby mogło być uwieńczone jak najwspanialszym wynikiem, kończy się źle i nie osiąga swego celu. Nie tak się rzecz miała z naszym Dominikiem. Wszystkie te cnoty, które powstawały i rosły w różnych okresach jego życia, wzrastały jednostajnie, a wzrastały razem, nie przeszkadzając jedna drugiej.

Przyszedłszy do Oratorium, nasamprzód skierował kroki swe do mego pokoju, aby się oddać, jak mówił, całkowicie w ręce swych przełożonych. Jego wzrok padł wtedy na karteczkę, na której wielkimi literami wypisane były następujące słowa, powtarzane zwykle przez świętego Franciszka Salezego: „Da mihi animas, caetera tolle, daj mi dusze, resztę zabierz sobie“. Począł je czytać z uwagą, a ja pragnąc, aby zro-

zumiał ich znaczenie, kazałem, raczej pomogłem mu je przetłumaczyć i wysnuć z nich takie znaczenie: „Panie, daj mi dusze, resztę zabierz“. On zastanowił się na chwilę, potem dodał: „Zrozumiałem, zrozumiałem! tu nie idzie o pieniądze, lecz o dusze; mam nadzieję, że dusza moja weźmie także udział w tej sprzedaży“.

Jego sposób życia był przez pewien czas całkiem prosty, zwykły i nie nadzwyczajnego w nim się nie objawiało, prócz sumiennego wypełniania przepisów zakładowych. — Oddawał się z zapalem nauce, wykonywał z całą żarliwością wszystkie swoje obowiązki, z radością słuchał kazań. Miał wyryte głęboko w duszy to przekonanie, że słowo Boże jest dla człowieka drogowskazem do nieba. Dlatego każda zasada, którą usłyszał ra kazaniu, była dla niego trwałą, niezatartą na przyszłość pamiątką; każda nauka moralna, każda lekcyja katechizmu, każde kazanie, choćby najdłuższe, było dla niego zawsze rozkoszą. Jeśli usłyszał jakie zdanie, którego treści dobrze nie rozumiał, natychmiast prosił o objaśnienie. Stąd wziął początek ten przykładny sposób życia, to ciągle postępowanie z enoty w enotę, ta dokładność w wypełnianiu obowiązków, bez której trudno postępować na drodze doskonałości. Ażeby poznać dobrze reguły i karność zakładową, zbliżał się z grzecznością do swych przełożonych, pytał ich o reguły, objaśnienia i rady, prosząc,

aby raczyli zwrócić mu uwagę, ilekroć zauważa u niego jakie uchybienie lub przekroczenie najmniejszego przepisu domowego. Niemniej podziwu godnem było jego zachowanie się względem towarzyszków. Unikał roztrzepanych, niedbanych w spełnianiu swoich obowiązków, albo oziębłych w pobożności; za przyjaciół zaś i paufnych towarzyszków obierał sobie przykładnych, pilnych w nauce i innych obowiązkach i takich, którzy pod każdym względem zasługiwali na uznanie swoich nauczycieli i przełożonych.

Gdy się zbliżało święto Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny, każdego wieczora zachęcał dyrektor swoich wychowanków, by się jak najgorliwiej przygotowali do uroczystości tej Matki najukochańszej; w szczególniejszy jednak sposób polecał, aby każdy prosił tę Szafarkę niebieską o te łaski, których najwięcej potrzebuje.

Rok 1854 był dla całego świata chrześcijańskiego rokiem duchowego zapału i nadzwyczajnego ruchu, z powodu toczącej się w Rzymie sprawy dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. Także u nas czyniono wielkie przygotowania, aby ta uroczystość wypadła jak najwspanialej i z jak największym pożytkiem duchownym dla naszych wychowanków.

Dominik był jednym z najgorliwszych i pragnął gorąco, aby to święto obchodzić z najwię-

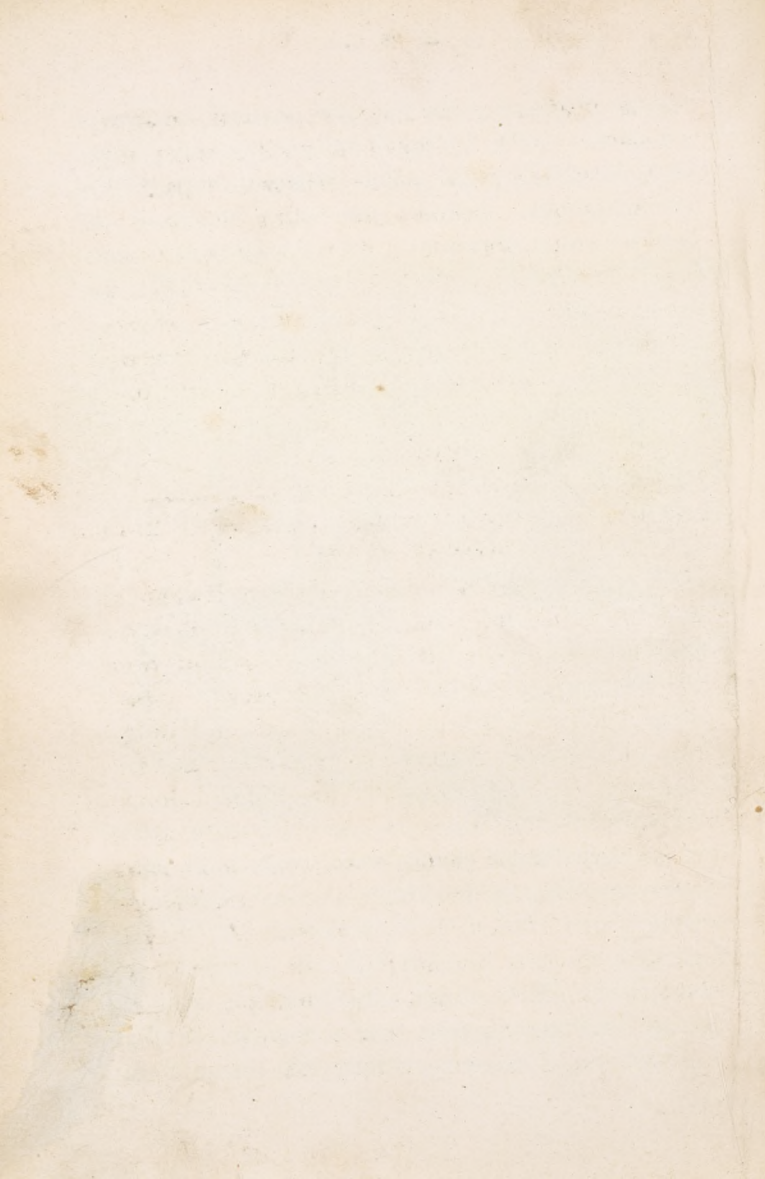
kszem skupieniem. Wypisał sobie dziewięć wiązanek duchownych, czyli dziewięć aktów cnoty, na każdy dzień nowenny jeden, które postanowił sobie spełniać codziennie według wyciągniętego losu. Przygotował się i odprawił z niezmierną radością swej duszy spowiedź generalną i z najgorętszem nabożeństwem przystąpił do komunii świętej. Po wieczornem nabożeństwie tego samego dnia, 8-go grudnia, ukląkł Dominik za radą spowiednika przed ołtarzem Najświętszej Maryi Panny, odnowił obietnice, uczynione przy pierwszej komunii świętej, a potem kilkakrotnie w świętem uniesieniu powtarzał tę modlitwę: „O Maryo, Tobie ofiaruję serce swoje; spraw, aby ono pozostało zawsze Twojem. O Jezu, bądź radością mej duszy; o Maryo, bądź moją Opiekunką! Nie dozwał, o Jezu drogi, nie dopuść Matko Najświętsza, aby grzech zagnieździł się w duszy mojej; raczej umrzeć, aniżeli Boga, choćby jednym tylko grzechem, obrazić!”

Od chwili, gdy sobie obrał Maryę za opiekunkę swojej pobożności, jego moralne postępowanie stało się tak budujące i połączone z takimi aktami cnót, że począłem je sobie spisywać, aby ich nie zapomnieć.

Doszedłszy do tego punktu w opisie o postępowaniu młodzieniaszka Savio, widzę przed sobą mnóstwo zdarzeń i cnót, zasługujących na szczególną uwagę. Dla większej jasności i pożytku czy-



„...o Maryo! Tobie ofiaruję serce swoje...” (str. 34).



telnika uważam za rzecz stosowną nie trzymać się w opisywaniu tych zdarzeń porządku czasu, lecz raczej podobieństwa i pokrewieństwa wypadków, między którymi zachodzi jaki szczególniejszy stosunek i które odnoszą się do tego samego przedmiotu. Podzielię zatem swoje opowiadanie na różne rozdziały, rozpoczynając od nauki łaciny, będącej głównym powodem, dla którego Dominik przybył i kształcił się w zakładzie na Valdoko.

ROZDZIAŁ IX.

Dominik Savio uczy się łaciny — Ciekawe zajęcia — Zachowanie się w szkole — Zapobiega bójce — Unika niebezpieczeństwa.

Początki łaciny pobierał Dominik w Mondonio. Dzięki swej wielkiej pilności i niezwykłym zdolnościom, został w krótkim czasie przypuszczony do drugiej klasy gimnazyalnej. Studya te odbywał pod kierownictwem bogobojnego i ucziwego profesora Józefa Bonzanino; w Oratorium bowiem nie było jeszcze podówczas szkół gimnazyalnych. Profesor Bonzanino mówił wiele razy, że nie przypominał sobie, aby miał kiedy uważniejszego, uleglejszego i grzecniejszego ucznia od Dominika. Był on wzorem dla wszystkich. W ubraniu i w noszeniu się nie był wyszukany, atoli w swem skromnem odzieniu i w swej pokornej postawie okazywał się do tego stopnia chędogi, dobrze wychowany i greczny,

że jego towarzysze mieszczańskiego, a nawet szlacheckiego rodu, którzy licznie uczęszczali do tej szkoły, cieszyli się bardzo, gdy się mogli zabawić z Dominikiem; a to nietylko dla jego wiedzy i pobożności, lecz także z powodu jego grzecznego i uprzejmego obcowania. Jeżeli kiedy nauczyciel spostrzegł, iż jaki uczeń był gadatliwy i roztrzepany, sadzał przy jego boku Dominika, a ten z ręcznie starał się go nakłonić do milczenia, do nauki, do wypełniania swoich obowiązków.

W tym właśnie roku zaszedł wypadek w życiu Dominika, trudny do uwierzenia, bo zakrawający na heroizm, niezwykajny w tak młodym wieku. Zauważył pewnego dnia, że między dwoma jego współuczniami zanosilo się na niebezpieczną bójkę. Sprzeczka rozpoczęła się od wymiany ostrych słów, obrażających rodzinę przeciwnika. Następnie przyszło do przezwisk i obelg, poczem obaj wyzwalali się na pojedynek, na kamienie, by tym sposobem dowieść swojej słuszności. Dominikowi udało się odkryć niebezpieczeństwo, lecz jakżeż mu przeszkodzić, kiedy przeciwnicy przewyższali go siłą i wiekiem? Próbował ich nakłonić do zaniechania tego rodzaju walki, zwracając uwagę, że zemsta sprzeciwia się rozumowi i prawu Bożemu, napisał list do jednego i drugiego; groził im, że doniesie o tej sprawie nauczycielowi, a nawet rodzicom; lecz wszystko daremnie. Tak byli rozjątrzeni i rozgoryczeni, że żadne słowa nie

skutkowały. Prócz niebezpieczeństwa pokaleczenia się, jakie groziło obydwom, była to jeszcze ciężka obraza Boga. Dominik niezmiernie się tem martwił, pragnął udaremnić złe zamiary zapaśników, lecz nie wiedział, w jaki sposób. Bóg natęchnął go jednak i pouczył, jak sobie miał postąpić. Zaczekał na nich po lekeyi i wzięwszy ich na ubocze, rzekł im:

— Ponieważ nie chcecie odstąpić od waszego złego zamiaru, proszę was, przyjmijcie przynajmniej jeden warunek.

— Przyjmujemy — odpowiedzieli — byle tylko nie przeszkadzał pojedynkowi.

— To łotr skończony — zawołał prędko jeden z nich, odgrażając się swemu przeciwnikowi.

— Ja się z nim nie zgodzę — oświadczył drugi — dopóki sobie obaj lbów nie potrzaskamy.

Dominik drżał, słysząc te nienawistne przy mówki i wyzwiska, mając atoli ciągle na myśli przeszkodzić większemu złu, zadał sobie gwałt i rzekł:

— Warunek, jaki wam myślę stawić, nie przeszkodzi bynajmniej pojedynkowi.

— Jakież jest ten warunek?

— Powiem wam go dopiero na miejscu, gdzie chcecie się bić kamieniami.

— Ty sobie z nas kpisz, albo nam chcesz przeszkodzić.

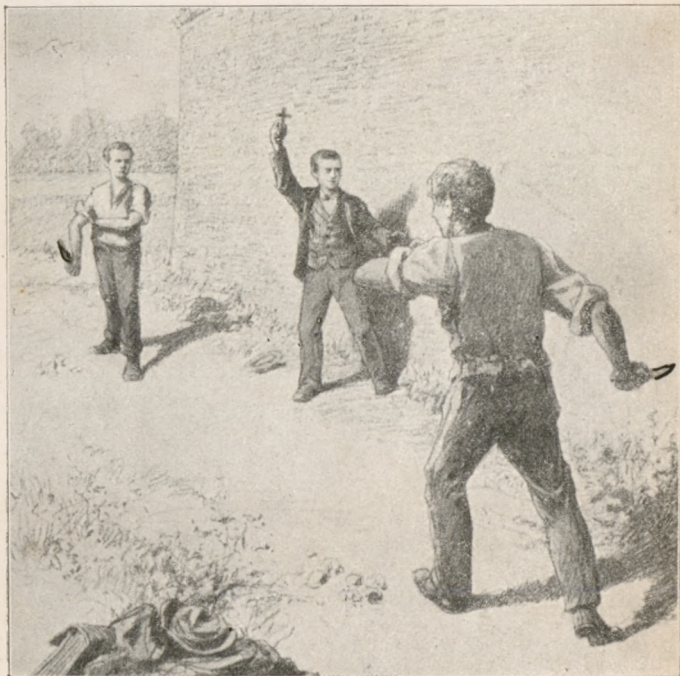
— Pójdę z wami, a do drwinek wcale nie mam ochoty, bądźcie pewni!

— Może chcesz kogo przywołać?

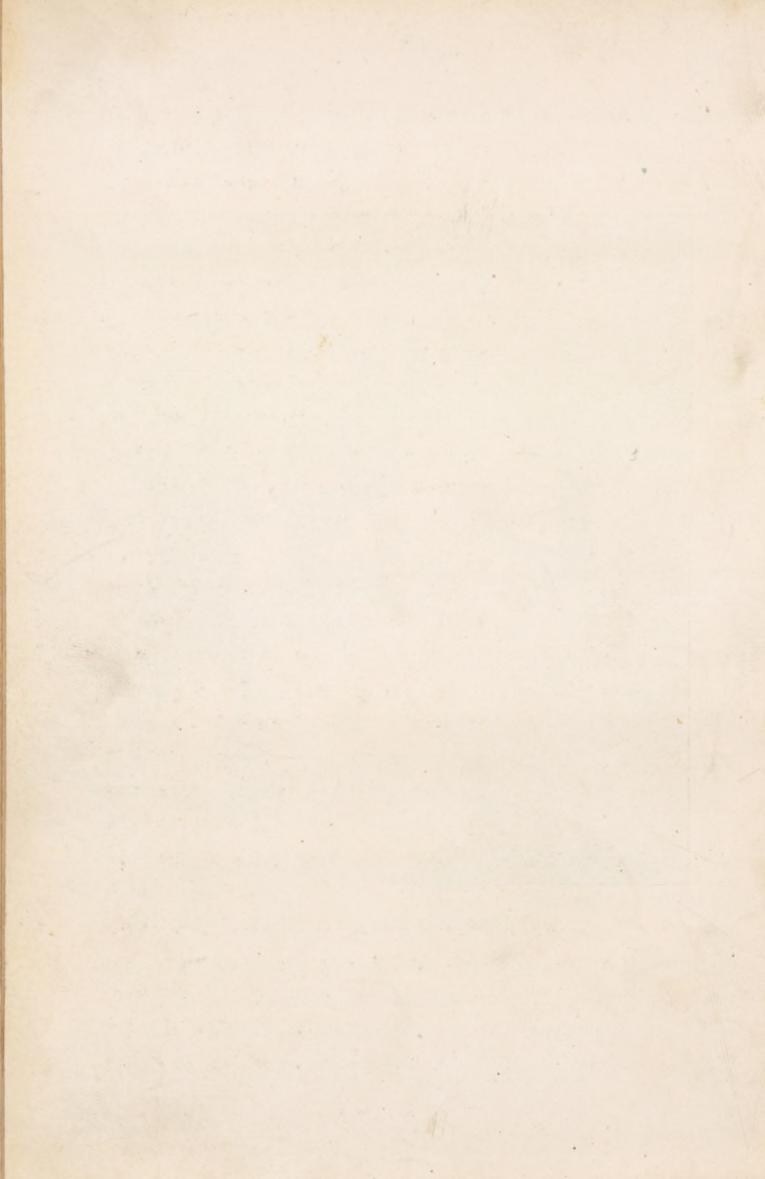
— Pewniebym to zrobił i powinienbym to uczynić, lecz dam spokój; chodźmy, ja idę z wami. Tylko dotrzymajcie mi słowa.

Przyrzekli mu. Udali się więc na łąki pod cytadelą, za dzielnicą, zwaną Porta Susa. Tak wielka była nienawiść obu zapaśników, iż Savio z trudem tylko mógł zapobiedz, żeby już w drodze nie przyszło do bójki. Gdy przybyli na oznaczone miejsce, Dominik pozwolił, aby się ustawili w pewnej odległości. Skoro chwycili za kamienie, stało się coś niespodziewanego. Oto nagle Dominik rzucił się pomiędzy nich i głosem drżącym od wzruszenia zawołał:

— Zanim przystąpicie do rozprawy, żądam, abyście wypełnili przyjęty warunek. Dobywszy prędko z pod odzieży mały krucyfiks, który nosił na szyi i trzymając go wysoko, mówił: — Chcę, aby każdy z was spojrzał na ten krzyż, a potem rzucił na mnie kamieniem, wymawiając głośno te słowa: „Jezus Chrystus umarł niewinny i krzyżującym Go przebaczył; a ja grzesznik chcę Go obrazić, mszcząc się na swoim wrogu!“ — To powiedziawszy, rzucił się na kolana przed tym, który okazywał się bardziej rozjątrzonem, mówiąc: „Pierwszy kamień rzuć na mnie. Bij w głowę z całej mocy!“ Ten nie spodziewając się czegoś



„...wyjął prędko mały krucyfiks...” (str. 38).



podobnego, zadrżał cały: „Nigdy! — zawołał — przenigdy! Ja nie mam nic przeciw tobie, owszem, broniłbym cię, gdyby ci kto chciał jaką krzywdę wyrządzić“ Dominik usłyszawszy to, zwrócił się do drugiego, mówiąc te same słowa. Ten również zmieszał się i drżąc odpowiedział, że są przecież przyjaciółmi i nigdyby się nie odważył uczynić mu co złego. Wtedy Dominik powstał i przybrawszy surowy wyraz twarzy, rzekł wzruszonym głosem: „Jakto? Obaj jesteście gotowi narażać się na niebezpieczeństwo, by tylko stanąć w mojej obronie, choć jestem tylko nędznym stworzeniem, a nie jesteście w stanie przebaczyć sobie wyrządzonej obelgi, dla zbawienia swojej duszy, za którą Boski nasz Zbawiciel wylał wszystką Krew Swoją? I tę waszą duszę chcecie przez ten grzech do piekła wtrącić?“ To powiedziawszy, zamilkł, trzymając krzyżyk ciągle do góry wzniesiony. Na widok takiej miłości i odwagi towarzysze ochłonęli z gniewu i zapalczywości: „W tej chwili — mówi jeden z nich — zostałem skruszony; dreszcz przebiegł po członkach moich i zawstydzilem się bardzo, że zmusiłem tak zaennego przyjaciela, jakim był Savio, do użycia ostatecznych środków, by przeszkodzić naszemu niegodziwemu zamiarowi. Chcąc go w jakiś sposób zadowolić, przebaczyłem ze serca przeciwnikowi i poprosiłem Dominika, aby mi wskazał jakiego cierpliwego i miłosiernego kapłana, przed

którym mógłbym się wypowiadać. Pogodziwszy się więc ze swym zapaśnikiem, pojednałem się także z Panem Bogiem, którego ową nienawiścią i żądzą zemsty napewno ciężko obraziłem.“ — Wzniosły to, naprawdę, przykład, którym się powinien przejąć każdy młodzieniec chrześcijański, ilekroć zdarzy mu się spostrzedz swego bliźniego w stanie rozgoryczenia, gdy tenże szuka zemsty, lub znieważa swego wroga. Co zaś w tem wydarzeniu zasługuje na szczególniejszą uwagę i nie małą przynosi chlubę Dominikowi, jest to, że całą tę sprawę pokrył milczeniem i nie bylibyśmy się wcale o niej dowiedzieli, gdyby ci sami, którzy brali w niej udział, nie byli nam tego zdarzenia kilkakrotnie i szczegółowo opowiedzieli.

Droga do szkoły i napowrót, tak niebezpieczna dla chłopców wiejskich, świeżo przybyłych do wielkiego miasta, była dla Dominika prawdziwym ćwiczeniem się w cnocie. Wytrwały w wykonywaniu rozkazów swych przełożonych, szedł do szkoły i powracał do domu, nie oglądając się na żadną stronę, ani nie przysłuchując się rozmowom, któreby nie przystawały dla młodzieńca chrześcijańskiego. Jeżeli spostrzegł kogo, co się zatrzymywał, biegał, skakał, rzucał kamieniami lub chodził na miejsca niedozwolone, natychmiast oddalał się od niego. Owszem, gdy pewnego dnia zapraszano go na przechadzkę bez pozwolenia,

a innym razem, gdy go namawiano, aby opuścił lekcję a poszedł się bawić, on zawsze dawał odmowną odpowiedź. „Najpiękniejszą moją zabawą — odpowiadał — jest wypełnienie moich obowiązków, a jeżeli jesteście prawdziwymi przyjaciółmi, to powinniście mnie zachęcać do ściślejszej w ich wypełnianiu dokładności, a nie do ich przekraczania!“ Jednak razu pewnego kilku towarzyszków tak go obsaczyło, że grożąc i prosząc, tyle sprawiło, iż biedny Savio znalazłszy się między młotem a kowadłem, już miał wpaść w ich sidła i w tym dniu opuścić lekcye, by sobie poswawolić. Lecz uszedłszy kawałek drogi, spostrzegł się, że poszedł za złą radą, uczuł wyrzuty sumienia i zwróciwszy się do swych niegodziwych doradców, rzekł: „Moi drodzy, obowiązki nakazuje mi iść do szkoły i ja tam pójdę! My wykraczamy teraz przeciw woli Pana Boga i naszych przełożonych. Żałuję tego, com uczynił; jeżeli mi jeszcze kiedy dacie podobną radę, to przestaniecie być moimi przyjaciółmi!“ Chłopcy ci przyjęli napomnienie swego przyjaciela; poszli z nim do szkoły i nigdy go potem nie odводzili od wypełniania obowiązków.

Za dobre prowadzenie i wytrwałą pilność w nauce otrzymał Dominik w końcu roku świadectwo celujące i został przypuszczony do wyższej klasy. Ponieważ na początku trzeciego roku łaciny zdrowie jego nieco się pogorszyło, dlatego

pozwolono mu odbyć ten kurs prywatnie w Oratoryum, a to w tym celu, aby miał więcej czasu wolnego od nauki i zajęć.

W następnym roku szkolnym, czując się zdrowym, mógł rozpocząć pierwszy kurs retoryki, czyli gimnazyum wyższe i uczęszczać na wykłady zasłużonego profesora księdza Mateusza Picco, który już wiele był słyszał o pięknych założeniach, zdobiących Dominika. Chętnie też przyjął go bezpłatnie do swej szkoły, uchodzącej za jedną z najlepszych w Turynie. W trzeciej klasie gimnazjalnej i w pierwszej retoryki zostawił Savio wiele budujących przykładów. Przypatrzmy się tu po kolei z towarzyszącymi im okolicznościami.

ROZDZIAŁ X.

Dominik postanawia stać się świętym.

Przypatrzywszy się postępowaniu Dominika podczas nauk w niższem gimnazyum, opowiemy teraz, jak sobie postanowił starać się usilnie o nabycie prawdziwej świętości.

Sześć miesięcy upłynęło od czasu, gdy Savio przybył do Oratoryum. Pewnego razu usłyszał na kazaniu, jak łatwym sposobem można dojść do doskonałości. Kaznodzieja rozwijał szczególnie trzy myśli, które wywarły na duszy Dominika

głębokie wrażenie, mianowicie: „Jest wolą Bożą, abyśmy się wszyscy stali świętymi; jest rzeczą nader łatwą, dopiąć tego celu; wielka nagroda czeka w niebie tego, który stanie się świętym“. Kazanie to było dla Dominika niby iskrą, która zapaliła jego serce miłością ku Bogu. Przez kilka dni nie o tem nie wspominał, lecz był poważniejszy, niż zwykle, tak, iż zwróciło to uwagę moją i towarzyszków. Sądząc, że to skutek nowego osłabienia, zapytałem się go, czy mu co nie dolega. „Tak jest“, odrzekł. „Co chcesz przez to powiedzieć?“ „Chcę powiedzieć, że mi dolega... że czuję w sobie pragnienie i potrzebę stać się świętym: nie wiedziałem, że mogę to uczynić z taką łatwością; lecz skoro zrozumiałem, że to rzecz nie tak trudna i że to bynajmniej nie przeszkadza wesołości, chcę i muszę stanowczo stać się świętym! Proszę zatem o radę, jak sobie mam postąpić, by to przedsięwzięcie wykonać.“

Pochwaliłem jego zamiar, lecz poleciłem mu, aby przedewszystkiem nie tracił spokoju, gdyż duch wzburzony nie poznaje głosu Pańskiego; zażądałem prócz tego na pierwszym miejscu stać się i umiarkowanej wesołości, a radząc mu, by był wytrwały w spełnianiu swych obowiązków religijnych i szkolnych, poleciłem mu także, by brał udział we wspólnej rekreacyi.

Pewnego dnia obiecałem mu sprawić podarunek taki, jaki sobie sam wybierze. „Podarunkiem,

którego pragnę gorąco, rzekł zaraz Dominik, niech będzie to, żeby mnie Ksiądz Dobrodziej uczynił świętym. Chcę się oddać całkiem i na zawsze Panu Bogu i czuję nieprzepartą potrzebę stania się świętym, bo jeżeli nie będę świętym, nie będę niczem! Pan Bóg chce mnie mieć świętym, a ja muszę się takim stać koniecznie“.

Przy pewnej okoliczności chciał znów dyrektor sprawić chłopcom przyjemność i w tym celu polecił im, by każdy napisał na bileciku swoje pragnienie, obiecując im, że się postara zaspokoić każdego, o ile to będzie dla niego możliwe. Każdy sobie łatwo wyobrazi, jak dziwaczne i śmieszne prośby zewsząd mu przedstawiono. Nasz Dominik, wzięwszy kartkę papieru, te tylko słowa napisał: „Proszę, aby Przewielebny Ksiądz dobrodziej zbawił moją duszę i uczynił mnie świętym!“

Innego razu chłopcy zaczęli rozbierać wyrazy według ich pochodzenia. „A Dominik — zapytałem — co znaczy?“ Odpowiedzieli: „Dominik znaczy — Pański.“ „A więc — dodał tenże natychmiast — czy nie mam słuszności, gdy proszę księdza dyrektora, aby mnie uczynił świętym? Samo już moje imię mówi, że należę do Pana Boga. Przeto powinienem i chcę być własnością Pana Boga i pragnę stać się świętym. Nie będę szczęśliwy, dopóki tego nie osiągnę“.

To żywe pragnienie świętości nie oznaczało bynajmniej, jakoby Dominik nie prowadził już

życia prawdziwie świętego, ale raczej, że pragnął czynić surową pokutę, spędzać długie godziny na modlitwie, czego mu dyrektor zabronił, jako rzeczy niezgodnych z jego wiekiem, zdrowiem i zajęciami.

ROZDZIAŁ XI.

Gorliwość Dominika o zbawienie dusz.

Pierwszym środkiem, jaki mu wskazano do nabywania doskonałości, miało być pozyskiwanie dusz Panu Bogu; niema bowiem na świecie nie świętszego nad pracę około zbawienia dusz, za które nasz najukochańszy Zbawiciel przelał do ostatniej kropli Krew Swoją Przenajświętszą. Poznał Dominik całą doniosłość tej pracy i często mawiał do innych: „Gdybym mógł pozyskać Bogu wszystkich moich towarzyszków, jakże byłbym szczęśliwy!“ W tym celu korzystał z każdej sposobności, by służyć każdemu dobrą radą i by upominać tych, którzy przekraczali przykazania Boże.

Klątwy towarzyszków i wzywania imienia Pana Boga nadaremnie, przejmowały go grozą i szkodziły nawet jego zdrowiu. Jeśli przypadkiem usłyszał na ulicy lub gdzieindziej podobne słowa, spuszczał zasmucony głowę i mówił z nabożeństwem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Gdy pewnego razu prze-

chodził z jednym ze swych towarzyszków przez rynek, doszły do jego uszu bluźnierstwa jakiegoś woźnicy. Zmartwiony Dominik zdejmując kapelusz i szepce coś po cichu. „Co ty robisz?“, rzecze doń towarzysz, „co mówisz?“ — „Czy nie słyszałeś“, odrzekł Dominik, „jak ten woźnica wzywał imienia Bożego nadaremnie? Gdybym wiedział, iż to przyniesie pożytek, byłbym pobiegł i upomniął go, by tego już nigdy nie czynił; ale obawiając się, by nie powiedział jeszcze coś gorszego, zdjąłem tylko kapelusz i wymówiłem słowa: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Czynię to zawsze, celem wynagrodzenia Panu Jezusowi za zniewagi, jakie się wyrządza Jego świętemu Imieniu.“

Towarzysz ów podziwiał tę piękną praktykę pobożną i odwagę Dominika i często opowiadał ten wypadek ku wielkiemu zbudowaniu współtowarzyszków.

Gdy pewnego razu wracał ze szkoły, usłyszał straszną klątwę, wymówioną przez jakiegoś starszego mężczyznę. Dominik zadrżał cały, cicho pochwalili imię Pana Boga, a następnie, z obliczem pełnem godności i uszanowania pobiegł ku nieostrożnemu bluźniercy i zapytał go, czyby mu nie mógł wskazać drogi do Oratorium św. Franciszka Salezego. Na widok tego anielskiego oblicza człowiek ów zmienił swój dziki wyraz twarzy i rzekł łagodnie: „Żał mi, drogi chłopczyku, ale nie wiem,

gdzie ono się znajduje“. „O jeśli pan tego nie wie, to możeby mi pan wyświadczył inną przysługę?“ — „Bardzo chętnie; powiedz tylko, czego sobie życzysz?“ — Dominik zbliżył się do niego i rzekł mu pocichu do ucha, aby inni nie usłyszeli: „Uczyni mi pan wielką przyjemność, jeżeli w gniewie swoim nie będzie nigdy przeklinał, ani bluźnił imieniu Boskiemu“. — „Dobrze, rzekł ów człowiek, zdumiony temi słowami, dobrze, masz słuszość, szkaradna to moja wada, którą chcę przecież raz zwyciężyć, chociażby mnie to bardzo wiele kosztować miało.“

Imnym razem zdarzyło się, że jakiś dziewięcioletni chłopiec sprzeczał się ze swoim towarzyszem w pobliżu bramy Oratoryum i w kłótni wymówił imię J e z u s. Dominik uczuł wtedy słyszne wzburzenie w swem sercu, jednakże z obliczem pogodnem wmieszał się między nich i pogodził obydwóch; następnie rzekł do tego, który wezwał imienia Boskiego nadaremnie: „Chodź ze mną, a będziesz zadowolony“. Ujmujące obejście pociągnęło chłopca za Dominikiem, który wziął go za rękę, zaprowadził do kościoła przed ołtarz, a rozkazawszy mu uklęknąć, rzekł: „Proś Pana Jezusa o przebaczenie za obrazę, którąś Mu wyrządził, wzywając Jego imienia nadaremnie.“ A ponieważ ów chłopiec nie umiał aktu żalu, od mówili go obydwaj razem. Potem rzekł: „Mów za mną te słowa, by wynagrodzić zniewagę, wy-

rzządzoną Panu Jezusowi: „Niech będzie uwielbiony Jezus Chrystus, a Jego święte i czcigodne Imię niech będzie zawsze uwielbione!“

Czytał z zajęciem żywoty Świętych, a zwłaszcza tych, którzy w sposób szczególny pracowali około zbawienia dusz. Mówił chętnie o misjonarzach, którzy w dalekich krajach ponoszą tyle pracy i trudów dla zbawienia dusz, a nie mogąc im posłać żadnego materialnego zasiłku, modlił się za nich codziennie i przynajmniej raz w tygodniu przyjmował Komunię św. w ich intencji.

Kilkakrotnie słyszałem, jak mówił z westchnieniem: „Ileż to dusz w Anglii oczekuje naszej pomocy; o! gdybym miał siłę i cnoty, chciałbym się tam udać w tej chwili i kazaniami i przykładem pozyskać je Bogu“. Żalił się często i ubolewał, że wielu ludzi zaniedbywało zupełnie obowiązki nauczania młodzieży prawd wiary świętej. „Skoro tylko będę klerykiem, mawiał, pójdę natychmiast do Mondonio, aby gromadzić młodzież pod jakim dachem, uczyć ją katechizmu, opowiadać jej wiele budujących przykładów i wskazywać drogę do życia świątobliwego. — Iluż to młodzieńców pójdzie może na wieczne potępienie jedynie dlatego, że nie było nikogo, co by ich w wierze pouczył!“ — Co mówił słowem, potwierdzał uczynkiem, gdyż skoro mu tylko wiek i wykształcenie pozwoliły, uczył z przyjemnością katechizmu w kościółku,

a jeżeli ktoś tego potrzebował, udzielał lekcyi, lub uczył go katechizmu w każdej porze dnia i w każdym dniu tygodnia, a to jedynie w tym celu, aby mózdz rozmawiać o rzeczach duchownych i dać każdemu poznać ważność zbawienia duszy.

Pewnego dnia jakiś lekkomyślny towarzysz chciał mu przerwać opowiadanie budującego przykładu w czasie rekreacyi i szyderczo zawołał: „Cóż cię to wszystko obchodzi?“ — „Co mnie to obchodzi?“ odpowiedział Dominik; „obchodzi mnie, ponieważ dusza każdego z mych towarzyszków jest odkupiona krwią Jezusa Chrystusa; obchodzi mię to, ponieważ jesteśmy wszyscy braćmi, a jako tacy, powinniśmy kochać wzajemnie swoje dusze; obchodzi mnie to, ponieważ Bóg poleca, aby jeden drugiemu pomagał osiągnąć zbawienie; obchodzi mię to, ponieważ, jeżeli zdołam zbawić duszę bliźniego, mam zapewnione zbawienie swojej duszy.“

Ta gorliwość o dobro dusz nie zmniejszyła się bynajmniej w Dominiku podczas krótkich wakacyi, spędzonych w rodzinnej wiosce. Zachowywał sobie pilnie na czas wakacyi każdy obrazeczek, każdy medalik, każdy krzyżyk, każdą książeczkę, albo inny przedmiot, który podczas roku szkolnego otrzymywał w nagrodę w szkole, albo na nauce katechizmu. Przed wyjazdem z Oratorium prosił usilnie swoich przełożonych o takie rzeczy.

któreby mogły ucieszyć jego przyjaciół i współników zabawy.

Zaledwie powrócił do rodzinnej wioski, otaczali go wszyscy jego rówieśnicy i inni chłopcy, młodszy i starsi, którzy chętnie spędzali wolne chwile w jego towarzystwie. On zaś rozdzielał im przy sposobności podarunki i zachęcał ich do uważnego słuchania jego wykładów katechizmu, pouczając zarazem wszystkich o obowiązkach stanu. Swoją ujmującą grzecznością tak sobie zjednał chłopców, że wielu chodziło z nim do kościoła na katechizm, na modlitwy, na mszę świętą i na inne ćwiczenia pobożne.

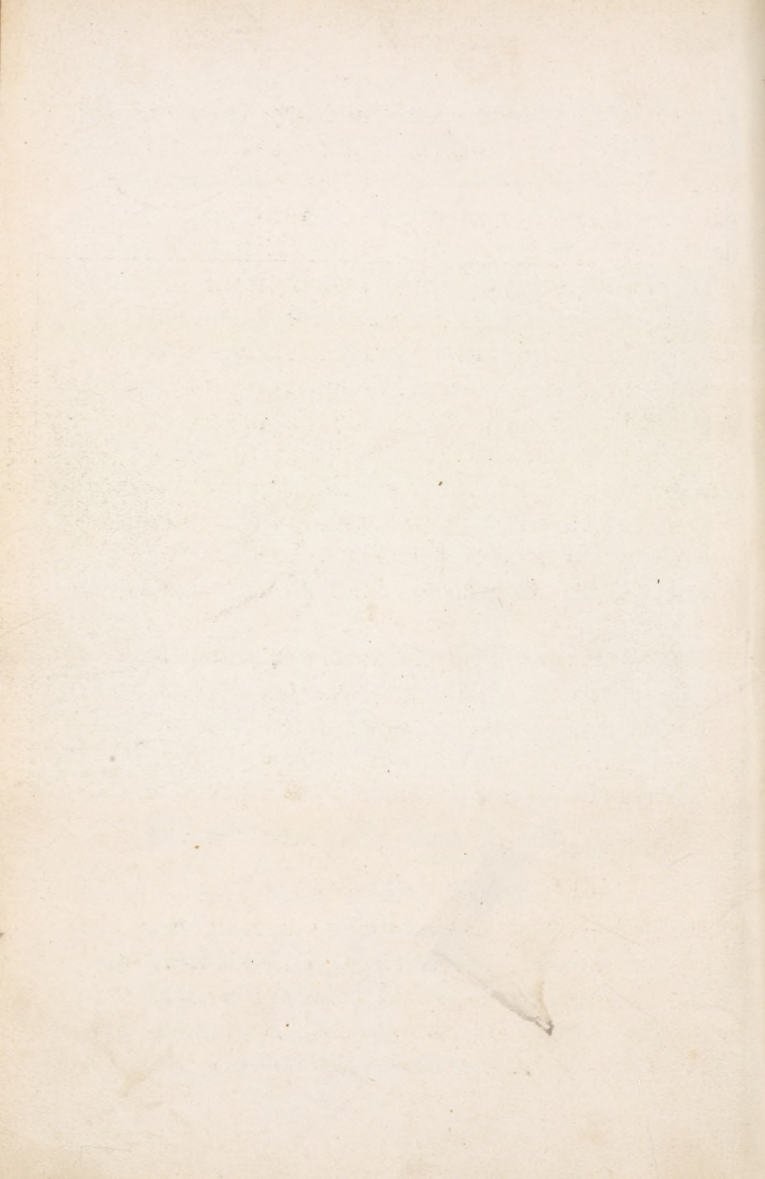
Zapewniano mię, że nie mało się natrudził, aby nauczyć jednego tępego chłopca czynienia dobrze znaku krzyża św. „Jeżeli się dobrze przeżegnasz, mówił mu, podaruję ci śliczny medalik, a potem poproszę księdza, aby ci podarował jaką piękną książeczkę. Lecz chciałbym, abyś się naprawdę dobrze żegnał i wymawiając słowa odpowiednie, pomagał mu, prawą jego ręką dotykając czoła, potem piersi, następnie ramienia lewego, potem prawego; wkońcu składał mu nabożnie ręce, mówiąc: Amen“. Pragnął gorąco, aby ten znak naszego odkupienia dobrze czyniono i on sam żegnał się wielokroć w obecności drugich, zachęcając ich, by czynili tak samo.

Prócz dokładnego wypełniania każdego swego chociażby najmniejszego obowiązku, troszczył się



„...jeżeli się dobrze przeżegnasz...” (str. 50).





także o dwóch swych braciszków, których uczył czytać, pisać, objaśniał im prawdy wiary i przewodził im w odmawianiu porannego i wieczornego pacierza. Prowadził ich ze sobą do kościoła, podawał im wodę święconą i pokazywał im, jak mają należycie czynić znak krzyża świętego.

Wszystek czas, który mógł przepędzić na jakiej godziwej rozrywce, wołał raczej poświęcić na opowiadanie budujących przykładów rodzeństwu albo towarzyszom, którzy bardzo chętnie mu się przysłuchiwali. Nawet podczas wakacyi zachował piękny zwyczaj nawiedzać każdodziennie Najśw. Sakrament. Cieszył się, jakoby czegoś wielkiego dopiął, jeżeli zdołał namówić jakiego towarzysza do nawiedzenia Pana Jezusa, więźnia miłości na naszych ołtarzach.

Można zatem powiedzieć, że umiał jak najlepiej korzystać z każdej nadarzającej mu się sposobności czyto przysłużenia się drugim, czyto udzielenia jakiej dobrej rady, mającej na celu pożytek duszy bliźniego.

ROZDZIAŁ XII.

Jak umiał Dominik obcować z towarzyszami — Przykłady.

Myśl pozyskania dusz dla Boga, nie odstępowała go nigdy. W czasie wolnym był duszą zabawy; lecz cokolwiek mówił lub czynił, zawsze miał na celu dobro moralne własne i bliźnich.

Przytem trzymał się ściśle zasady dobrego wychowania, żeby nie przerywać innym, gdy ci mówią.

Jeżeli towarzysze nie umieli nawiązać rozmowy i stali milczący, on natychmiast wyciągał różne kwestye naukowe z historyi, arytmetyki i t. p. Miał też zawsze w pogotowiu wiele powiastek, któremi rozweselał i przyciągał do siebie całe towarzystwo. Jeżeli się kiedy zdarzyło, że ktoś skierował rozmowę na temat, który łatwo mógł się skończyć szemraniem lub czemś podobnem, w tej chwili przerywał mu jakim żarcikiem lub bajką. Towarzysze wybuchali śmiechem, a Dominik zręcznie zmieniał przedmiot rozmowy. W ten sposób chronił kolegów swoich od szemrania i obrazy Boga.

Z powodu jego wesołego i nadzwyczaj żywego usposobienia przywiązywali się do niego nawet mniej przykładni towarzysze, tak dalece, że każdy cieszył się, gdy mógł z nim obcować, a wszyscy przyjmowali chętnie uwagi i napomnienia, które im od czasu do czasu dawał.

Pewnego dnia jeden z towarzyszków chciał włożyć na twarz maskę, lecz Dominik odradzał mu stanowczo. — Czybyś był zadowolony, rzekł, gdybyś się stał istotnie takim, jakim się w masce chcesz pokazać? Z dwoma rogami na czole, z nosem długim, jak ogórek, w komedyanckiem ubraniu? — O nie, rzekł tamten. — A zatem,



„...zostawcie go!... on chce wam duszę zatruć...” (str. 53).

mówił dalej Dominik, jeżeli sobie tego nie życzysz, dlaczegóż chcesz się pokazać tak przebranym i zeszpecić piękną twarz, daną ci przez Boga?

Pewnego dnia podczas rekreacyi zbliżył się jakiś nieznajomy człowiek do gromadki bawiących się chłopców, a zwróciwszy się do jednego z nich, zaczął z nim rozmawiać, ale tak głośno, że go drudzy mogli usłyszeć. Chcąc ich wszystkich do siebie przyciągnąć, zaczął w swej chytrości sypać żarcikami i dowcipami, tak iż chłopcy wiedzeni ciekawością, wkrótce otoczyli go kołem i z największym napięciem słuchali jego opowiadania. Ten wysłannik szatana skoro spostrzegł, że go wszyscy uważnie słuchają, zmienił temat i zaczął miotać przeciw religii takie bluźnierstwa, na jakie tylko zdobyć się mogą ludzie, co Boga i cnoty nienawidzą. Natrząsał się z najświętszych rzeczy i szydził z kapłanów i osób duchownych. Niektórzy z chłopców, nie mogąc znieść takich bezbożności, a nie śmiejąc mu stawić oporu, oddalili się natychmiast. Dosyć atoli liczna gromadka nierozważnych przysłuchiwała mu się dalej. Tymczasem nadbiegł Dominik. Zaledwie spostrzegł, o co chodzi, bez najmniejszego względu ludzkiego zawołał na towarzyszków: — A co? chcecie się przysłuchiwać temu nędznikowi? Zostawcie go samego; on wam chce duszę niewiarą i grzechem zatruć i wykraść

z serca cnotę i łaskę Bożą! Na głos ulubionego i cnotliwego towarzysza wszyscy natychmiast odbiegli, a wysłaniec szatana, widząc się sam, nie miał już co robić; oddalił się szybko i więcej się już w Oratoryum nie pokazał.

Innego znów dnia niektórzy chcieli się iść kąpać. Jeżeli takie wycieczki są już gdzieindziej niebezpieczne, to o tyle więcej w okolicach Turynu, gdzie, nie mówiąc już o niebezpieczeństwach moralnych, wody są tak głębokie i bystre, że często nietylko chłopcy, ale i doświadczeni pływacy stają się ich ofiarą. Dominik chciał odwieść towarzyszków od tego postanowienia, wynajdywał coraz to inne zabawy, opowiadał coraz to weselsze powiastki; gdy jednak spostrzegł, że chcą iść koniecznie, rzekł im śmiało:

— Nie, stanowczo nie chcę, abyście poszli.

— Przecież to nie złego.

— Stajecie się nieposłuszni waszym przełożonym, możecie się zgorszyć, albo dać innym zgorszenie, co więcej, narażacie się na niebezpieczeństwo utonięcia. Czy to nie jest złem?

— Lecz nam tak gorąco, że już wytrzymać nie możemy.

— Jeżeli nie możecie znieść gorąca tego świata, będziecie kiedyś znosić straszny żar ognia piekielnego, na który sobie teraz chcecie zasłużyć.

Przekonani temi słowy, odstąpili od swego zamiaru i bawili się dalej.

Niektórzy chłopcy z Oratoryum, mając na celu dobro swych towarzyszków, założyli rodzaj stowarzyszenia, którego zadaniem było pouczanie i przyciąganie do ćwiczeń religijnych chłopców gnuśnych i opuszczonych. Savio zaraz się do niego zapisał i odznaczał się wielką gorliwością i podziwu godną bystrością w krzewieniu tego towarzystwa. Używał wszystkich środków, by nieuków i leniwców przyciągać do siebie. — Kto chce obrazek? kto chce ciasteczko? wołał na chłopców. — Ja, ja! odpowiadali wszyscy, biegnąc ku niemu. — Oho, powoli; otrzyma ten, kto lepiej odpowie na zapytanie z katechizmu. — Wtedy stawiał pytanie najswawolniejszym i byle mu tylko dali jaką taką odpowiedź, dawał im mały podarunek. Innych zaś pozyskiwał w inny sposób: zapraszał ich na przechadzkę, na rozmowę, albo, w razie potrzeby, do gry wesołej.

Często widziano go, jak z grubym kijem na ramieniu, niby jaki Herkules, zabawiał się grą w dołki. Lecz oto nagle zatrzymuje grę i pyta towarzysza: — A co, pójdziemy w sobotę do spowiedzi? — Towarzysz, czy to dlatego, iż do soboty było jeszcze daleko, czy też dlatego, aby znów coprędzej rozpocząć przerwana grę, lub, by może zadowolić Dominika, odpowiadał: — Tak, dobrze. — To wystarczyło Dominikowi; ciągnął

dalej grę, lecz odtąd nie spuszczał towarzysza z oka; każdego dnia pod tym lub owym pozorem przypominał mu jego: tak i pouczał go, jak się trzeba przygotować, żeby się dobrze wyświadać. Z nadejściem soboty, jak myśliwy, który piękną upolował zwierzynę, Dominik towarzyszył koledze do kościoła, sam pierwszy przystępował do spowiedzi, następnie zatrzymywał się, by wspólnie odprawić dziękczynienie.

Wypadki takie, które zachodziły bardzo często, napępniały go niewysłowioną radością, a towarzyszom przynosiły wielki pożytek. Nieraz bowiem były takie wypadki, iż ten lub ów nie odnosił najmniejszego owocu z kazania słyszanego w kościele, a przeciwnie stawał się uległym, pobożnym, gdy go Dominik do tego zachęcił.

Zdarzyło się i to, że jakiś chłopak obiecywał przez cały tydzień, a w sobotę, gdy nadeszła pora do spowiedzi, przepadał magle, jak kamień we wodę, tak, że Dominikowi niemożliwem było go odszukać i do konfesyonału poprowadzić. Mimo to gdy go później spotkał, nie okazywał mu urazy, ale żartując, w te do niego odzywał się słowa:

— A łotrzyku, udało ci się!

— Widzisz — odpowiadał tamten — nie byłem przygotowany, nie miałem odwagi...

— Ejże, bratku — dodawał Dominik — wpadłeś w ręce złego ducha, który aż nadto był przygotowany, aby cię przyjąć; teraz bowiem je-

steś jeszcze mniej przygotowany, owszem, widzę, żeś w bardzo złym humorze. Otóż, spróbuj się tylko wypowiadać, zadaj sobie ten gwałt, a gdy to spełnisz należycie, zobaczysz, jaką radością napelni się twoje serce.

I zazwyczaj towarzysz, wypowiadawszy się, z sercem pełnem zadowolenia, powracał co tehu do Dominika, mówiąc:

— Miałeś słusność; czuję się rzeczywiście bardzo zadowolony i wesoły; w przyszłości będę jak najczęściej przystępował do spowiedzi świętej.

W zakładach można często napotkać chłopców, którzy czyto z powodu szorstkiego charakteru, nieuetwa, braku wychowania lub wreszcie dręczeni jakimi cierpieniami lub wyrzutami sumienia bardzo często zostają unikani przez towarzyszków. Ci biedacy muszą znosić ciężkie brzemie samotności, podczas gdy więcej niż inni potrzebują ciepłego słowa pociechy. Tych obierał sobie Dominik za przyjaciół. Zbliżał się do nich, pocieszał ich wesołą rozmową i udzielał im rad mądrych i pożytecznych. Stąd też często się zdarzało, że chłopcy zniechęceni, co się już chcieli zupełnie opuścić i zaniedbać, pokrzepieni serdecznemi przestrogami Dominika, wracali na dobrą drogę. Niemniej i ci, którzy z powodu choroby potrzebowali jakiej usługi, prosili, aby im przywołano Dominika; kto zaś miał duchowe dolegliwości, wyjawiał je Dominikowi, przekonany,

że znajdzie u niego skuteczną pociechę. W ten sposób miał zawsze sposobność do nieustannego ćwiczenia się w miłości bliźniego, skarbiąc sobie przez to wielkie zasługi u Boga.

ROZDZIAŁ XIII.

**Duch modlitwy — Nabożeństwo do Matki Boskiej —
Miesiąc Maryi.**

Miedzy łaskami, któremi Bóg Dominika obdarzył, była także wielka żarliwość w modlitwie. Dusza jego tak była przyzwyczajona do łączności z Bogiem, że w każdym miejscu, nawet wśród głośnych krzyków hałaśliwej młodzieży skupiał myśli swoje i pobożnymi aktami strzelistymi wznosił swe serce do Boga. Kiedy zaś modlił się wspólnie z innymi, wydawał się prawdziwym aniołem. Kłęcząc nieruchomo, nabożnie ułożony, nie opierając się o nic, z twarzą uśmiechniętą, głową cokolwiek pochyloną, oczyma spuszczone, rzekłbyś: to drugi św. Alojzy.

Wystarczyło nań spojrzeć, by się zbudować. W roku 1854 hrabia Cays został obrany w Oratorium przełożonym towarzystwa św. Alojzego. Kiedy pierwszy raz brał udział w nabożeństwie, przepisaniem w regulaminie, zauważył jakiegoś chłopca, modlącego się tak nabożnie, że go ogarnęło zdumienie. Po nabożeństwie chciał się do-

wiedzieć, co to za młodzieniaszek, który był przedmiotem jego podziwu: chłopcem tym był właśnie Dominik Savio. Nawet rekreacja była u niego podzielona: jedną jej część spędzał prawie zawsze na nabożnem czytaniu lub modlitwie, i w tym celu udawał się z kilkoma towarzyszami do kościoła, aby się pomodlić za dusze w czyśćcu cierpiące, lub uczcić Najświętszą Pannę.

Nabożeństwo Dominika do Matki Boskiej było naprawdę gorące. Na Jej cześć czynił każdego dnia jakie umartwienie. W skromności wiernie naśladował św. Alojzego, tak że nawet idąc do szkoły, nie podnosił oczu. Wiele razy przechodził około widowisk publicznych, na które jego towarzysze patrzeli z taką ciekawością, że zapominali o tem, gdzie się znajdują, Dominik zapytany, czy mu się te widowiska podobały, odpowiadał, że nie widział; czem zgniewany raz jeden jego towarzysz, złażał go mówiąc:

— Na co więc masz te gałki w głowie, jeśli nie chcesz patrzeć na tak piękne rzeczy?

— Chcę je zachować — odpowiadał Dominik — aby mózgi niemi oglądać oblicze naszej niebieskiej Królowej, kiedy pójdę do nieba, jeśli sobie na to za łaską Bożą zasłużę.

Miał nadzwyczajne nabożeństwo do Najśw. Panny niepokalanie poczętej. Każdym razem, gdy udawał się do kościoła, szedł przed Jej ołtarz i prosił Ją o łaskę, by mógł zawsze zachować

wać swe serce wolne od wszelkiego przywiązania nieczystego.

— Maryo — mówił — ja zawsze chcę być Twym synem. Wyproś mi łaskę, abym umarł raczej, niż miał w czem wykroczyć przeciw enocie czystości.

Co piątek zaś skracał nieco czas rekreacji i szedł do kościoła z innymi towarzyszami, aby odmówić koronkę do siedmiu boleści Najśw. Maryi Panny, albo przynajmniej litanie do Matki Boskiej Bolesnej.

Nietylko, że sam był nabożny do Matki Najświętszej, lecz starał się jeszcze wedle sił rozszerzać to nabożeństwo i cieszył się niezmiernie, gdy mógł kogo nakłonić do odprawienia ku Jej czci jakiego nabożeństwa. Pewnej soboty poprosił jakiegoś towarzysza, aby się udał z nim do kościoła dla odmówienia niesporów o Najśw. Pannie. Tamten wymawiał się, mówiąc, że mu zimno w ręce. Dominik zdjął swoje rękawiczki i dał mu je, poczem obaj udali się do kościoła. Innym razem zdjął ze siebie płaszczyk, pożyczył go drugiemu, aby się chętnie poszedł z nim pomodlić. — Któżby nie podziwiał aktów, tak wspaniałomyślnej pobożności!

Lecz największe nabożeństwo do Maryi Panny okazywał Dominik w miesiącu maju. Umówił się z innymi, aby każdego dnia tego miesiąca spełnić jakieś pobożne ćwiczenie, oprócz tych, które

zwyczajnie odbywały się publicznie w kościele.— Zbierał zewsząd budujące opowiadania, któremi potem z wielką gorliwością wzbudzał w innych nabożeństwo do Maryi P. Często mówił o Niej podczas rekreacyi, zachęcał innych do spowiedzi, do komunii św., zwłaszcza w tym miesiącu. Pod tym względem on sam dawał jak najlepszy przykład, przystępując każdodziennie do stołu Pańskiego ze skupieniem, na jakie się tylko on mógł zdobyć. Ciekawę zdarzenie z tego czasu wykazuje, jak tkliwe były jego uczucia pobożności do Maryi.

Wychowankowie z tej samej co on sypialni postanowili urządzić sobie własnym kosztem ołtarzyk na zakończenie majowego nabożeństwa. Dominik zabrał się do tego z całym zapalem; jednakże, gdy przyszło do złożenia kwoty, jaka na każdego przypadła, zawołał: — Oj! tom się porwał z motyką na słońce! Tu potrzeba pieniędzy, a ja nie mam w kieszeni ani szeląga. A jednak muszę coś uczynić, niech kosztuje, co chce. Pobiegł po książkę, którą był otrzymał w nagrodę, a uzyskawszy od przełożonego pozwolenie, wrócił pełen radości, mówiąc: Towarzysze! oto i ja mogę się przyczynić do czei Maryi! weźcie tę książkę i sprzedajcie ją, za ile chcecie; to mój datek.

Ofiarność taka rozrzewniła towarzyszków, którzy również chętnie ofiarowali książki i inne

przedmioty, byle osiągnąć tyle pieniędzy, ile potrzeba było na ołtarzyk. Z zebranych rzeczy urządzono małą loteryjkę, której dochód przewyższył potrzebne wydatki. Ukończywszy ołtarzyk, pragnęli chłopcy obchodzić swe święto z największą możliwie okazałością. Każdy dokładał wszystkich sił, aby przygotowania ukończyć na czas, lecz napróżno. Trzeba było kończyć pracę w nocy, poprzedzającej święto. — Ja chętnie będę pracował w nocy, rzekł Dominik. Towarzysze atoli na to się nie zgodzili, gdyż on dopiero co był wyzdrowiał z ciężkiej choroby. Zrazu obstawał przy swoim, lecz nakoniec z posłuszeństwa poszedł do łóżka.

— Przynajmniej — rzekł do jednego z towarzyszków — jak tylko będzie wszystko skończone, przyjdź mnie natychmiast obudzić, abym mógł pierwszy oglądać ołtarz, przystrojony na cześć naszej Matuchny ukochanej.

ROZDZIAŁ XIV.

Jak Dominik uczęszczał do św. sakramentów Pokuty i Ołtarza.

Jest rzeczą doświadczeniem stwierdzoną, że najsilniejszymi filarami moralności u młodzieży są św. sakramenta Pokuty i Ołtarza. Dajcie mi młodzieńca, który uczęszcza do tych Sakramen-

tów, a ja was zapewniam, że będzie on rósł w pobożności, dojdzie do męskiego wieku, i jeżeli się Bogu będzie podobało, doczeka się sędziwej starości; ale zawsze będzie zbudowaniem dla całego otoczenia. Młodzież niechaj zrozumie dobrze tę zasadę, aby według niej postępować; niechaj ją dobrze rozumieją i wpajają w młodzież ci wszyscy, którzy zajmują się jej wychowaniem.

Zanim Dominik przyszedł do Oratorium, uczęszczał do tych Sakramentów raz na miesiąc według istniejącego w szkołach zwyczaju. Później począł przystępować coraz częściej. Dnia pewnego usłyszał z kazalnicy te słowa: Kochamy młodzieńcze! Jeśli chcesz wytrwać na drodze do nieba, to radzę ci używać tych trzech środków: przystępuj często do sakramentu Pokuty; uczęszczaj do Komunii św.; wybierz sobie spowiednika, otwórz mu tajniki twego serca i nie zmieniaj go bez potrzeby. — Dominik odrazu pojął całą doniosłość tych rad zbawiennych.

Wybrał sobie tedy spowiednika, którego się trzymał przez cały czas pobytu w Oratorium. By zaś spowiednik mógł poznać właściwy stan jego sumienia, odprawił, jak się rzekło, spowiedź generalną. Spowiadał się i komunikował co dwa tygodnie, a potem co tydzień. Spowiednik, widząc wielkie korzyści, jakie odnosił z rzeczy duchownych, radził mu przystępować do Komunii

św. trzy razy na tydzień, a po upływie roku pozwolił mu na Komunię św. codzienną.

Przez jakiś czas dręczyły go skrupuły; dlatego chciał spowiadać się co cztery dni, a nawet częściej; jednakże jego kierownik duchowny nie pozwolił mu na to i kazał mu się spowiadać tylko raz na tydzień. W swoim ojcu duchownym pokładał ufność bezgraniczną. — Także poza spowiedzią rozmawiał z nim o sprawach sumienia. Niektórzy radzili mu, aby zmieniał od czasu do czasu spowiednika; Dominik jednakże nie chciał się nigdy na to zgodzić. — Spowiednik, mówił, jest lekarzem duszy, a lekarza zmienia się tylko wtenczas, gdy mu się nie ufa, albo jeśli się już zwątpiło o wyzdrowieniu. Ja zaś nie znajduję się w tych okolicznościach. Mam całkowite zaufanie do spowiednika, który z ojcowską troskliwością i dobrocią stara się o dobro mej duszy; nie widzę w sobie takiego zła, z którego bym się za jego pomocą nie mógł poprawić. — Jednakże kierownik zwyczajny radził mu kilka razy wysspowiadać się u innego kapłana, zwłaszcza z okazji ćwiczeń duchownych; nie stawiając żadnego oporu, słuchał rady swego ojca duchownego.

Sam na tem najlepiej wychodził. „Jeśli mnie trapi czasem jakie zmartwienie wewnętrzne — mawiał — idę do spowiednika, aby mi wskazał wolę Bożą; bo Jezus Chrystus powiedział, że głos spowiednika jest dla mnie głosem Bożym. Jeżeli

zaś chcę uzyskać jakąś łaskę nadzwyczajną, przyjmuję Komunię świętą, w której znajduje się to samo ciało, krew, dusza i bóstwo, które Jezus Chrystus ofiarował swemu Ojcu niebieskiemu za nas na krzyżu. Czegóż mi brakuje do całkowitego szczęścia? Nic, zgoła nic na tym świecie. Brakuje mi tylko tego, że nie mogę oglądać jeszcze Boga twarzą w twarz i cieszyć się Tym, którego teraz oczyma wiary podziwiam i uwielbiam na ołtarzu“.

W takich myślach przepędzał Dominik swoje dni w rzeczywistym szczęściu. Stądto rodziła się owa wesołość, owa radość niebiańska, przebijająca się we wszystkich jego czynnościach. Pojmował dobrze ważność każdego swego uczynku, dlatego też jego życie było takie, jakiego się wymaga od tych, którzy pragną często przystępować do stołu Pańskiego. Jego zachowanie się było pod każdym względem nieposzlakowane. Prosiłem jego towarzyszy, aby mi powiedzieli, czy w owych trzech latach, które spędził z nami, spostrzegli w Dominiku jaką wadę lub potrzebę zalecenia mu jakiej cnoty; jednakże wszyscy zgodnie oświadczyli, że nie spostrzegli w nim nic, coby wymagało poprawy, nie wiedzieli też, jakiej mu nie dostawało cnoty.

Jego przygotowanie się do Komunii świętej było nadzwyczaj budujące. Już dnia poprzedniego, zanim się udawał na spoczynek, modlił się

gorąco w tej intencji i kończył modlitwę temi słowy: Chwała i dziękczynienie bądź w każdym momencie, Panu Jezusowi w Najśw. Boskim Sakramencie. Rano odprawiał należyte przygotowanie, dziękczynieniom zaś jego po Komunii św. nie było końca. Zazwyczaj, jeżeli go nie zawołano, zapominał o śniadaniu, rekreacyi, a wiele razy o szkole, trwając na modlitwie lub rozmyślaniu o boskiej dobroci, która w sposób niewysłowny rozdziela ludziom skarby swego nie skończonego miłosierdzia.

Było to dla niego prawdziwą rozkoszą, gdy mógł przepędzić kilka godzin przed Jezusem, utajonym w Najśw. Sakramencie. Przynajmniej raz na dzień szedł odwiedzić Go, namawiając zarazem innych, aby mu towarzyszyli. Najmilszą jego modlitewką była koronka do Najśłodszego Serca Jezusowego, w której mógł rozważać zniewagi, wyrządzane Panu Jezusowi przez heretyków, przez niewiernych i złych chrześcijan.

Aby jego Komunie św. były korzystniejsze dla duszy, a równocześnie, by mu dodawały każdego dnia nową zachętę do przyjmowania Pana Jezusa z coraz większą żarliwością, wyznaczył sobie na każdy dzień odmienną intencję.

Oto, jak je sobie podzielił na wszystkie dni tygodnia:

W niedzielę: na cześć św. Trójcy.

W poniedziałek: za moich dobrodziejów duchownych i doczesnych.

We wtorek: na cześć św. Dominika i mego Anioła Stróża.

W środę: na cześć M. B. Bolesnej o nawrócenie grzeszników.

W czwartek: na intencję dusz w czyśćcu cierpiących.

W piątek: na cześć Męki Pana Jezusa.

W sobotę: na cześć Matki Boskiej, aby uzyskać Jej pomoc w życiu i przy śmierci.

Z radością brał udział we wszystkich praktykach, które się odnosiły do Najśw. Sakramentu. Jeśli przypadkiem spotkał kapłana, niosącego Wiatyk do chorego, klękał zaraz na drodze, a jeżeli czas mu pozwalał, towarzyszył mu aż do domu chorego i tam pozostawał aż do końca. Pewnego razu spotkał księdza, niosącego choremu Przenajświętszy Sakrament podczas deszczu. Ponieważ na drodze ziemia wszędzie była rozmokła, ukląkł bez względu na swoje ubranie w to błoto. Jeden z towarzyszków skarcił go później, zwracając mu uwagę, że nie jest rzeczą potrzebną zanieczyszczać tak ubrania, gdyż nawet P. Bóg tego nie wymaga. Ale on odrzekł z całą prostotą: — Kolana i spodnie — wszystko należy do Pana Boga, dlatego wszystko powinno służyć do oddawania Mu czci i chwały. Kiedy Go spotykam, nie tylko rzuciłbym się w błoto, aby Go

uczcić, ale rzuciłbym się w rozpaloną czeluść, ponieważ w taki sposób stałbym się uczestnikiem tego ognia miłości nieskończonej, która Go skłoniła do ustanowienia Najśw. Sakramentu.

W podobnej okoliczności spostrzegł jakiegoś oficera, który stał, gdy obok niego niesiono Najśw. Sakrament. Dominik nie śmiał go napomnieć, aby ukląkł; wyciągnął przeto chusteczkę z kieszeni, rozłożył ją na błotnistej ziemi, potem dał znak oficerowi, aby zechciał na niej uklęknąć. Żołnierz zrazu się zmieszał, a potem usunąwszy chusteczkę, ukląkł na środku drogi.

W święto Bożego Ciała ubrano go wraz z innymi towarzyszami za ministranta i wysłano na procesję do parafii. Uczynił to z największą radością i uważał to sobie za najmiłszy podarunek.

ROZDZIAŁ XV.

Duch pokuty Dominika.

Młody wiek Dominika, jego słabowite zdrowie, niewinność jego życia, uwalniały go bezwątpienia od każdego rodzaju pokuty; lecz on widział, jak trudno młodzieńcowi jest zachować niewinność bez umartwienia i tą myślą tak się przejmował, że droga cierpień zdawała mu się być wysłaną różami.

Nie mówię tu o umartwieniach takich, jak cierpliwe znoszenie krzywd i nieprzyjemności, nie mówię o ujarzmieniu i powściąganju wszystkich

swoich zmysłów, zwłaszcza podczas modlitwy, w szkole, w sali naukowej, na rekreacji. Te umartwienia były u niego na porządku dziennym. Mówię tu tylko o umartwieniach ciała. W swoim zapale postanowił pościć każdej soboty o chlebie i wodzie na cześć Najśw. Maryi Panny, lecz spowiednik zabronił mu tego; w ten sposób chciał także pościć podczas wielkiego postu, lecz zaraz pierwszej niedzieli dowiedział się o tem dyrektor zakładu, który mu tego natychmiast zabronił. Chciał przynajmniej pozostać bez śniadania, lecz ani na to nie dostał pozwolenia. Przyczyna, która spowodowała przełożonych do takiego postępowania względem niego była ta, aby sobie nie niszczył już i tak nadwątlonego zdrowia.

Gdy mu zabroniono powstrzymywania się od pokarmów, postanowił umartwiać ciało w inny sposób: zaczął kłaść w łóżko kawałki drzewa i cegły, aby przynajmniej spoczynek przykrym sobie uczynić. Chciał nawet nosić pewien rodzaj włosienicy, lecz i tego mu również zabroniono. Chwytał się więc mowego środka. Nadeszła dżdżysta jesień i ostra zima, a Dominik nie zmienił nakrycia na łóżku, tak, iż przyszedł styczeń, a on sypiał tylko pod letnią kołderką ¹⁾. Pewnego poranku, czując

¹⁾ Trzeba zauważyć, iż zima w Turynie z powodu bliskości gór, pokrytych lodowcami, jest nadzwyczaj dokuczliwa i mało się różni od naszej; klimat zaś jest bardzo wilgotny i mglisty.

się słabym, pozostał w łóżku. Niebawem dyrektor poszedł go odwiedzić. Widząc go zwiniętego w kłabek, przybliżył się do niego i spostrzegł, że jego nakrycie było bardzo lekkie.

— Dlaczego to uczyniłeś — zapytał go — chcesz zmarznąć?

— Nie — odrzekł Dominik — nie zmarznę! Pan Jezus w stajence Betleemskiej i na krzyżu jeszcze mniej odemnie był okrytym!

Wtedy zabroniono mu jakiegobądź rodzaju umartwienia, na które uprzednio nie otrzyma szczególnego pozwolenia spowiednika.

Dominik, aczkolwiek z żalem, zastosował się do tego rozkazu. Pewnego dnia spotkałem go bardzo smutnego i wzdychającego.

— Ach! bieda ze mną! Nie wiem, co począć! Zbawiciel mówi, że jeśli nie będę czynił pokuty, nie wnijdę do królestwa niebieskiego, a mnie zabroniono surowo umartwiać się w czemkolwiek! Jakież więc będzie to moje niebo?...

— Pokuta, jakiej Bóg żąda od ciebie — odpowiedziałem mu — jest posłuszeństwo! Bądź posłuszny, a to ci wystarczy.

— Czy mnie mógłby ksiądz dobrodziej pozwolić mi na jakie lekkie umartwienie?

— Tak, pozwalam ci na znoszenie z cierpliwością krzywd i obelg, jeśliby cię kiedy spotkały; na znoszenie z cierpliwością gorąca i zimna, wiatru, deszczu i znużenia; na znoszenie innych

dolegliwości i choroby, jeżeli się spodoba Panu Bogu nawiedzić cię niemi.

— Lecz to trzeba znosić z konieczności!

— To, co powinienbyś znosić z konieczności, ofiaruj Bogu ochotnem sercem, a w ten sposób stanie się cnotą i zasługą dla twojej duszy.

Zdany na wolę Bożą, posłuszny temu poleceniu, oddalił się całkiem uspokojony.

ROZDZIAŁ XVI.

Zewnętrzne umartwianie zmysłów.

Przyglądając się zewnętrznemu zachowaniu się Dominika i dostrzegając w nim tyle swobody i wdzięku, chciałoby się prawie zawołać: Takim go już Bóg stworzył! — Lecz ci, którzy go z blizka poznali, albo zajmowali się jego wychowaniem, mogą zapewnić, że było w tej duszy wiele wysiłków ludzkich, wspieranych łaską Bożą.

Oczy jego były bardzo żywe i musiał je dobrze trzymać na wodzy, aby zachować się w skupieniu.

— Z początku — tak powtarzał kilkakrotnie swojemu przyjacielowi — zawarłem przymierze ze swojemi oczyma i nie mało mię kosztowało trudu, zanim zupełnie nad niemi zapanowałem; nieraz nawet napadał mnie z tego powodu straszny ból głowy.

Oczy swoje umiał tak powściągać, iż żaden z jego towarzyszków nie przypominał sobie, aby się choć jedno jego spojrzenie sprzeciwiało nawet najdelikatniejszej skromności. Zwykł był mawiać, że oczy to dwa okna; przez nie przedostaje się wszystko, co wchodzi do naszej duszy. My zatem przez te okna możemy przepuścić anioła albo szatana i pozwolić, by albo jeden, albo drugi rozgościł się w naszym sercu. Razu pewnego jakiś obcy chłopak przyniósł bezmyślnie ze sobą gazetę z nieskromnymi obrazkami. Gromada chłopców zleciała się, aby podziwiać te bezwstydne malowidła, które mogły wzbudzić wstręt nawet u bisurmanina, albo najgorszego poganina. Nadbiega także Savio, myśląc, iż chłopcy pokazują sobie jakiś nabożny obrazek. Lecz, gdy się zbliżył, zdziwił się nie mało, a potem, jakby z żartu, wydarł dziennik i potargał go na kawałeczki. Wszyscy osłupieli, spoglądali na siebie, nie wiedząc, co na to powiedzieć.

Wtedy on tak się do nich odezwał:

— Wszak Pan Bóg dał nam oczy na to, abyśmy podziwiali piękności, które On stworzył, a wy śmiecie posługiwać się niemi, aby patrzeć na te bezwstydne malowidła, wymyślone przez złość ludzką dla zatracenia dusz? Czy może zapomnieliście o tem, co wam tyle razy polecano? Najukochańszy nasz Zbawiciel powiedział, że jednym złem spojrzeniem palimy du-



„...wydarł dziennik i potargał go na kawałki... (str. 72).

sze, a wy karmicie swe oczy i lubujecie się w podobnych brudach?

— My, powiada jeden z nich, patrzeliśmy tylko dlatego, aby się uśmieć cośkolwiek.

— Tak, tak, aby się uśmieć; a tymczasem torujecie sobie drogę do piekła... odechce wam się śmiać, jeżeli się, co broń Boże, tam dostaniecie.

— Ale przecież, dodał inny, my nie widzimy takiej złości w tych malowidłach!

— Tem gorzej! nie widzieć złego w tych rzeczach, to znak, że niestety oczy wasze już się do nich przyzwyczaiły i to was bynajmniej nie uwalnia od winy, lecz owszem, jeszcze ją powiększa. O Hiobie! Hiobie! Ty byłeś starcem, byłeś świętym, byłeś dotknięty chorobą, z powodu której musiałeś leżeć na gnoju, a mimo to zawarłeś przymierze ze swemi oczyma, że nie pozwolisz im nigdy spoglądać na jakiegokolwiek nieskromności!

Na te słowa wszyscy umilkli i żaden nie odważył się uczynić mu jakiegoś wyrzutu, ani uwagi.

Ze skromnością oczu łączył wielką ostrożność w mowie. Gdy kto inny mówił, czy miał słuszość lub nie, nie przerywał mu Dominik nigdy. Nieraz sam nie kończył zdania, gdy inny chciał coś powiedzieć. Nauczyciele i wszyscy inni jego przełożeni twierdzą jednoznacznie, że nie po-

trzebowali go nigdy upominać ani za jedno bodaj słówko wymówione nie w swoim czasie, czy to w sali naukowej, w szkole, w kościele lub podczas wypełniania innych obowiązków szkolnych i praktyk pobożnych. Owszem, nawet wtedy, kiedy go łżono, potrafił panować nad sobą i ani słówkiem nie odpowiadał.

Razu pewnego Dominik zwrócił towarzyszowi uwagę na jakąś jego wadę. Tamten atoli, zamiast przyjąć upomnienie z wdzięcznością, pogniwał się i począł obsypywać Dominika słowami zelżywemi, a niedość na tem, rzucił się na niego i nuże go okładać kulakami i kopać nogami.

Chociaż Dominik mógł się łatwo obronić, bo był starszy i silniejszy, zemścił się jednak na nim prawdziwie po chrześcijańsku. Zacerwienił się wprawdzie na twarzy, lecz hamując wybuch gniewu, na tych tylko ograniczył się słowach:

— Wybaczam ci; źleś sobie postąpił; z innymi nie postępuj w podobny sposób.

Cóż dopiero powiedzieć o umartwieniu innych zmysłów ciała? — Nadmieniam tylko niektóre wydarzenia.

W zimie miał całe ręce odmrożone. Lecz aczkolwiek odczuwał dojmujący ból, nigdy się nie żalił, ani drugim tego nie okazywał. Owszem, zdawało się, jakoby mu to sprawiało radość.

— Im więcej mam ręce odmrożone — mawiał — tem więcej wychodzi mi to na zdrowie —

mając na myśli zdrowie duszy. Wielu z jego towarzyszków zapewniało mnie, iż nieraz zimą, chociaż mu ostry mróz dokuczał, on szedł umyślnie powoli do szkoły, aby cierpieć i umartwić się, w czem tylko nadarzyła mu się sposobność.

— Kilka razy widziałem go — tak mi opowiadał pewien jego towarzysz — że podczas największych mrozów rozcinał sobie skórę, a nawet kłuł swoje ciało ostrymi przedmiotami, aby wywołać na nim rany, któreby uczyniły go podobnym do Boskiego Mistrza.

W zakładach wychowawczych znajdują się zawsze tacy chłopcy, którzy nigdy z niczego nie są zadowoleni. To narzekają na nabożeństwo w kościele, to na karność, na wypoczynek, to znowu na wikt — słowem: chcieliby, żeby wszystko szło podług ich widzimisie i na wszystko się użalają. Tacy są prawdziwym krzyżem dla przełożonych; gdyż niezadowolenie jednego udziela się innym, jak zaraza, z wielką niekiedy szkodą dla całego domu.

Postępowanie Dominika Savio było wręcz przeciwne. Z ust jego nie wyszło nigdy słowo skargi ani na letnie upały, ani na zimowe mrozy. Czy była pogoda, czy deszcz, on zawsze był jednakowo wesół. Cokolwiek przed nim postawiono na stole, z wszystkiego okazywał się zadowolony.

Owszem i tym środkiem posługiwał się zre-
cznie do umartwienia. Gdy inni odsuwali po-
trawy, jeżeli były przypalone lub niedogotowane,
jałowe lub przesolone, on przeciwnie zjadał je
z apetytem, mówiąc, że mu takie właśnie sma-
kują.

Miał zwyczaj po wyjściu chłopców zatrzyma-
się w jadalni i zbierać z pod stołu kawałki
i okruszyny chleba i zjadać je, niby przysmaki.
Gdy się temu niektórzy dziwili, Dominik, aby
pokryć swe umartwienie, mawiał:

— Całych bułek nie można naraz wziąć
w usta, a te są podrobione na kawałeczki, zęby
więc mają z nimi mniej roboty, bo nie potrzeba
tyle gryźć.

Zbierał chętnie resztki zupy, potraw i innych
pokarmów i te często stanowiły jego posiłek. Nie
robił zaś tego z łakomstwa, gdyż swoje potrawy
dawał zazwyczaj towarzyszom.

Zapytany pewnego razu, dlaczego tak skrzę-
tnie zbierał te resztki, które w niejednym
wstręty budziły, odpowiedział:

— Wszystko, co mamy na świecie, jest dro-
gocennym skarbem, darem udzielonym nam przez
dobrotliwego Boga; a największym ze wszystkich
darów, po łasce poświęcającej jest pożywienie,
które nas przy życiu zachowuje. Dlatego powin-
niśmy być wdzięczni za najmniejszą część tego
daru i strzedz jej jak najstaranniej.

Było dla niego najprzyjemniejszą rozrywką, jeśli mógł czyścić drugim buciki, ubranie, oddawać chorym najniższe usługi, zamiatać i tym podobne spełniać zajęcia.

— Każdy niech robi to, co może — zwykły był mawiać — ja nie jestem zdolny do wielkich rzeczy, więc co mogę, to czynię na większą chwałę Bożą; ufam, że Bóg w nieskończonej swej dobroci raczy przyjąć te nędzne moje ofiary.

Jeść to, do czego czuł wstręt naturalny, unikać tego, co mu się mogło podobać, nie spoglądać na rzeczy nawet obojętne, umartwiać zmysł powonienia, wyrzekać się własnej woli, znosić z doskonałym poddaniem się wszelkie przeciwności, przykre dla ciała lub ducha — oto akty cnót, w których ćwiczył się ten młodzieniaszek każdodziennie i możemy powiedzieć przez całe swoje życie.

Zamilezam tymczasem o bardzo wielu innych tego rodzaju uczynkach, które wszystkie razem wykazują, w jak wysokim stopniu posiadał Dominik ducha pokuty i umartwienia wszystkich zmysłów.

Widać stąd także, jak przemyślną była jego cnota, jak umiał korzystać z wielkich i z małych sposobności, owszem z rzeczy na pozór obojętnych, aby się uświęcić i zaskarbić sobie coraz więcej zasług u Boga.

ROZDZIAŁ XVII.

Stowarzyszenie Najświętszej Panny Maryi Niepokalanie Poczętej.

Całe życie Dominika, rzec można, było ciągłym ćwiczeniem się w nabożeństwie do Najświętszej Panny Maryi. Korzystał z każdej sposobności, by rozszerzać cześć tej Matki najdroższej. W r. 1854 najwyższy pasterz Kościoła katolickiego ogłosił dogmat o Niepokalanem Poczęciu Najsw. Maryi Panny. Dominik pragnął gorąco ożywić między towarzyszami i utrwalić pamięć tego tytułu, którym Kościół św. ozdobił skronie Królowej niebios.

— Pragnąłbym — zwykł był mawiać — uczynić coś na cześć Najsw. Maryi Panny, lecz pragnąłbym uczynić to jak najprędzej, bo się obawiam, że mi czasu zabraknie.

Wiedziony tedy zwykłą swą skrzętną miłością wybrał niektórych swych towarzyszków i poprosił ich, aby z nim razem założyli towarzystwo pod wezwaniem Niepokalanie Poczętej.

Celem tego towarzystwa było zapewnienie sobie pomocy i opieki Matki Najświętszej w tem życiu, a osobliwie w godzinie śmierci. Aby to osiągnąć, podał Dominik dwa środki: ciągłe ćwiczenie się i rozszerzanie ćwiczeń pobożnych ku czci Najsw. Panny oraz częstą Komunię św.

W porozumieniu ze swymi towarzyszami ułożył regulamin, a po wielu staraniach dnia 8-go

lipca 1856 r., dziewięć miesięcy przed swą śmiercią, odczytał go razem z nimi przed ołtarzem Niepokalanej Dziewicy. Przytaczam go tutaj w całości, bo myślę, że będzie mógł posłużyć za wskazówkę dla innych, pragnących wstąpić w jego ślady. Brzmi, jak następuje:

„Ja, Dominik Savio (następują imiona reszty towarzyszków), pragnąc zapewnić sobie pomoc i opiekę Najśw. Panny Niepokalanej, po przyjęciu świętych Sakramentów, poświęcam się dzisiaj całkowicie Jej świętej służbie; pragnę kochać Matkę Najświętszą i czcić Ją synowskimi i stałem nabożeństwem. W porozumieniu ze swym kierownikiem duchownym oświadczam, że chcę naśladować, o ile na to pozwolą mi moje siły, Alojzego Comollo ¹⁾). Dlatego zobowiązuję się:

1. Przestrzegać starannie wszystkich przepisów domowych.
2. Być przykładem dla swoich towarzyszków, upominając ich w razie potrzeby z miłością i zachęcając do dobrego słowem i czynem.
3. Nie trwonić ani chwili czasu. Aby się zaś utwierdzić w tym sposobie życia, do jakiego zmierzam, przedłożę dyrektorowi swojemu następujący regulamin:

¹⁾ Alojzy Comollo urodził się w Cinzano, roku 1818, a umarł roku 1839 w seminaryum w Chieri w 22-gim roku życia. Zyciorys tego wzoru młodzieży został już drugi raz wydany po włosku w drugim roczniku „Czytanek katolickich“.

4. Pierwszą naszą regułą będzie zupełne posłuszeństwo względem przełożonych, którym zobowiązujemy się ulegać z nieograniczonym zaufaniem.
5. Wypełnienie obowiązków będzie naszym pierwszym i głównym zadaniem.
6. Z wszystkimi bez różnicy towarzyszami złączę się węzłem wzajemnej miłości, upominając się wzajemnie ze słodyczą, ilekroć z tego napomnienia będzie się można spodziewać pożytku.
7. Na zebranie wszystkich członków oznaczy się co tydzień pół godziny, a po wezwaniu Ducha św. i po krótkim czytaniu duchownem, omówi się postęp towarzystwa w enotach i pobożności.
8. Jeden będzie napominał drugiego, odnośnie do tych uchybień, z których powinien się poprawić.
9. Będziemy się starali żyć ze sobą w największej zgodzie, znosząc cierpliwie towarzyszy i inne choćby natrętne osoby.
10. Nie wyznacza się żadnych osobnych modlitw, ponieważ czas wolny, który nam pozostanie po spełnieniu naszych obowiązków, będzie poświęcony na to, co w danej chwili okaże się najpożyteczniejszem dla naszej duszy.
11. Zaprowadzamy jednak te kilka następujących ćwiczeń:

- a) Przystępować do świętych Sakramentów ilekroć będzie nam to możliwe.
 - b) Przystępować do Stołu Pańskiego we wszystkie niedziele, święta, nowenny i uroczystości Najświętszej Panny i śś. Patronów Oratorium.
 - c) Podczas tygodnia będziemy przystępować do Komunii św. we czwartek, chyba, żeby to było niemożliwym z powodu jakiegoś innego zajęcia.
12. Każdego dnia będziemy polecać nasze Stowarzyszenie Matce Najśw., zwłaszcza w różańcu, prosząc Ją o łaskę wytrwałości.
 13. W każdą sobotę urządzimy szczególne nabożeństwo na cześć Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny.
 14. Zachowamy budującą postawę podczas modlitw, czytania duchownego, podczas wypełniania naszych obowiązków w sali naukowej i w szkole.
 15. Będziemy zachowywali w sercu z wielką starannością Słowo Boże, rozważając w myśli usłyszane prawdy.
 16. Będziemy unikać najmniejszej straty czasu, aby się ustrzedz od pokus, które zwykle napadają na dusze w czasie bezczynności; dlatego:
 17. Po spełnieniu wszystkich obowiązków, które do każdego z nas należą, poświęcimy resztę

czasu na jakie pożyteczne zajęcie, jak na czytanie pobożnych i pouczających ksiązek lub na modlitwę.

18. Rekreacya jest nakazana, a przynajmniej pozwolona po jedzeniu, po szkole i nauce.
19. Chętnie będziemy przedstawiać naszym przełożonym każdą rzecz, mogącą się przyczynić do naszego postępu duchownego.
20. Będziemy się starali rzadko korzystać z pozwoleń, jakich przełożeni z wielkiej swej dobroci udzielają, bo głównym naszym celem jest bezwątpienia zachowywanie reguł domowych, bardzo często przekraczanych różnemi nadużyciami.
21. Przyjmiemy od naszych przełożonych to, co nam przeznaczą na pokarm, bez żadnych narzekań i będziemy się starali odwodzić i innych od szemrania.
22. Kto sobie będzie życzył wstąpić do tego Stowarzyszenia, musi przedewszystkiem przez Sakrament Pokuty świętej oczyścić swe sumienie i przystąpić do Stołu Pańskiego, następnie dać rękojmię dobrego prowadzenia się przez jeden tydzień próby, przeczytać niniejsze ustawy i przyobiecać Panu Bogu i Matce Najśw. ścisłe ich zachowanie.
23. W dniu przyjęcia nowego członka wszyscy przystąpią do Komunii świętej prosząc Boski Majestat o cnotę wytrwałości, posłuszeństwa

i prawdziwej miłości Bożej dla nowego towarzysza.

24. Stowarzyszenie pozostaje pod opieką Najśw. Panny Niepokalanie Poczętej i pod tą nazwą będzie się też rozszerzało. Każdy z nas będzie nosił medalik Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny. Szczera, synowska, bezgraniczna ufność w tej Matce Najdroższej, szczególna gorliwość i stałe nabożeństwo do Niej, uczynią nas silnymi w niebezpieczeństwach, niezłomnymi w postanowieniach, surowymi względem siebie, łagodnymi względem bliźnich naszych, dokładnymi we wszystkim. Prócz tego pragniemy, aby każdy z nas wypisał sobie Najświętsze Imiona Jezusa i Maryi najpierw w sercu i w pamięci, potem na książkach i przedmiotach, które mu często w oczy wpadają. Uprosimy naszego ks. dyrektora, aby zbadał te reguły i wydał swój sąd o nich. Zapewnimy go oraz, że zależyśmy całkowicie od jego woli. On będzie mógł wprowadzić do regulaminu zmiany, które uzna za stosowne.

A Marya? Ona niech raczy błogosławić naszym pracom, skoro sama natchnęła nas tą myślą, by założyć to nowe stowarzyszenie. Niech się raduje, patrząc na nasze postanowienia i wysiłki i niech uwzględnia nasze prośby, a my okryci Jej płaszczem, silni

Jej opieką, będziemy w stanie oprzeć się burzom tego rozhukanego świata i zwyciężymy wszystkie najazdy piekielnego wroga. W taki sposób, przez Nią wzmożeni, będziemy budować swych towarzyszków przykładem, staniemy się pociechą naszych przełożonych i wybranymi Jej synami. A jeśli Pan Bóg udzieli nam tej łaski, byśmy mogli Mu służyć w stanie kapłańskim, będziemy się starać z wszystkich sił, aby sprawować ten urząd anielski z największą gorliwością. Nie ufając swoim zabiegom, lecz pokładając nieograniczoną ufność w pomoc Bożą, możemy się spodziewać, że po naszym życiu na tej łez dolinie, pocieszeni obecnością Maryi i bezpieczni pod Jej opieką w owej ostatniej godzinie, osiągniemy niebieską nagrodę, którą Bóg zachowuje dla tych, co Mu służą w duchu i w prawdzie“.

Dyrektor Oratorium przeczytał powyższy regulamin, a po uważnem zbadaniu zatwierdził go z tymi warunkami:

1. Powyższe obietnice nie mają mocy ślubu.
2. Nie obowiązują też nikogo pod jakimkolwiek grzechem.
3. Na konferencyach postanowi się zawsze jakiś uczynek miłości zewnętrzny do praktykowania, jak np. czyszczenie kościoła, pil-

nowanie lub uczenie katechizmu jakiegoś chłopca zaniedbanego.

4. Należy podzielić dni Komunii św. w tygodniu tak, aby w każdy dzień przystąpiło kilku do tego Sakramentu.
5. Nie dołączać żadnej praktyki pobożnej bez osobnego pozwolenia przełożonych.
6. Jako cel główny niech będzie rozszerzanie nabożeństwa do Najśw. Maryi Panny Niepokalanie Poczętej i do Najśw. Sakramentu.
7. Przed przyjęciem nowego członka da mu się do czytania żywot Alojzego Comollo.

ROZDZIAŁ XVIII.

Szczególne przyjaźnie Dominika. — Jego stosunki z młodzieńcem Kamilem Gavio.

Dominik żył z każdym w przyjaznych stosunkach. Każdego miłował i cenił, ponieważ widział w nim duszę odkupioną Przenajdroższą Krwią Pana Jezusa. Umiał on się do wszystkich zastosować. Był tak ugruntowany w enocie, że radzono mu nawet obcować z chłopcami mniej przykładnymi, aby ich mógł pozyskać dla Boga. Korzystał też Dominik z rekreacji, zabaw i rozmów nawet całkiem obojętnych, aby tylko wyciągnąć stąd jakiś pożytek duchowny. Ci jednak, którzy należeli do Stowarzyszenia Niepokalanie Poczętej, byli zawsze jego szczególniejszymi przyjaciółmi i z nimi, jak się to już nadmieniło, scho-

dził się bądź na konferencye duchowne, bądź na odprawianie różnych ćwiczeń chrześcijańskiej pobożności.

Te konferencye odprawiały się za zezwoleniem przełożonych, lecz brali w nich udział i kierowali nimi sami chłopcy. Omawiano w nich sposób odprawiania nowenn z okazji większych uroczystości, naznaczano dzień, w którym miał każdy przyjąć Komunię św., aby codziennie był ktoś, któryby przystąpił do Stołu Pańskiego. Wskazywano tych chłopców, którzy potrzebowali szczególniejszej opieki moralnej, a każdy z członków otaczał jak największą troskliwością tego, który został polecony jego pieczy, używając wszelkich środków, jakie mu miłość chrześcijańska nastroczała, aby mu wskazać drogę do enoty.

Dominik należał do najgorliwszych i śmiało można powiedzieć, że on był duszą tych konferencyi.

Możnaby coś wspomnieć o kilku towarzyszach Dominika, którzy również brali czynny udział w tych konferencyach i wiele z nim obcowali; lecz żyją oni jeszcze, więc roztropność nakazuje milczenie. Napomknę tylko o dwóch, których już Bóg powołał do ojczyzny niebieskiej. Byli to Kamil Gavio z Tortony i Jan Massaglia z Marmorito.

Gavio był u nas tylko dwa miesiące, ale ten krótki czas wystarczył, aby pozostawił po sobie

jak najmiłsze wspomnienie u towarzyszków. Jego pobożność i wielkie zdolności malarskie i rzeźbiarskie skłoniły magistrat miasta Tortony do udzielenia mu potrzebnej subwencji, by się mógł udać do Turynu i kształcić się tam dalej w ulubionej sztuce. Przez pewien czas leżał w domu złożony ciężką chorobą i gdy przybył do Oratorium, bądź to dlatego, że był rekonwalescentem, bądź to, że oddalony od miejsca rodzinnego i rodziców, bądź także z powodu, że się znajdował w towarzystwie osób całkiem sobie nieznanych, usuwał się od wspólnych zabaw na podwórzu, zatopiony ciągle w posępnych myślach.

Spostrzegł to Savio i natychmiast poszedł do niego, począł go pocieszać i w ujmujący sposób rozpoczął z nim następującą rozmowę:

— Jakżeż, mój drogi, nie znasz jeszcze nikogo, nieprawdaż?

— Prawda — rzekł Gavio — ale zabawiam się patrząc na zabawę drugih.

— A jakże się nazywasz?

— Kamil Gavio z Tortony.

— Ile masz lat?

— Skończyłem niedawno piętnaście.

— A skądto ten smętny wyraz twej twarzy? musiałeś zapewne być chorym?

— Tak jest, byłem chory i to ciężko; cierpiałem na chorobę sercową i już byłem u brzegu

wieczności i jakoś dotąd jeszcze nie jestem całkowicie zdrowym.

— Pragniesz wyzdrowieć, nieprawdaż?

— Nie bardzo; pragnę tylko spełnić wolę Bożą; pragnę tego z całej duszy.

Z ostatnich słów poznał Dominik, że Kamil był chłopcem niezwykle pobożnym i to nappełniło jego serce szczerą radością. Z całą tedy poufałością tak mówił dalej:

— Kto pragnie spełnić wolę Bożą, pragnie się uświęcić; czy chcesz zostać świętym?

— Pragnę tego z całego serca.

— Dobrze, powiększymy liczbę naszych przyjaciół. Będziesz więc należał do tych, którzy wszystkimi siłami dążą do własnego i drugich uświęcenia.

— Wszystko piękne, co powiadasz, lecz ja nie wiem, co mam czynić.

— O tem pouczę cię w krótkich słowach; wiedz, że u nas świętość polega na wielkiej wesołości.

My będziemy się starali unikać tylko grzechu, jako naszego największego nieprzyjaciela, który pozbawia nas łaski Bożej i spokoju sumienia; będziemy wypełniali, ile możliwości, jak najgorliwiej swoje obowiązki i brali udział we wszystkich ćwiczeniach pobożnych. Rozpocznij już dzisiaj i zapisz sobie i zapamiętaj te słowa: „Służcie Panu w radości“.

Ta rozmowa była balsamem na serce zacnego Gavio, który doznał prawdziwego ukojenia; od tego dnia począwszy, został poufnym przyjacielem Dominika i wiernym enót jego naśladowcą.

Lecz choroba, która go przedtem już do brzegu wieczności doprowadziła, nie dała się wykorzenieć całkowicie i po dwu miesiącach znowu się pojawiła. Pomimo wszelkich zabiegów lekarskich i starań przyjaciół, śmierć zbliżała się szybkimi krokami. Po kilku dniach ciężkiej niemocy, przyjął z wielkiem dla drugich zbudowaniem ostatnie Sakramenta św. i oddał w ręce Stwórcy piękną swą duszę dnia 30-go grudnia 1856 roku.

Dominik odwiedzał go często podczas choroby i ofiarował się czuwać przy nim w nocy, lecz mu na to nie pozwolono. Kiedy się dowiedział, że już skonał, poszedł go zobaczyć po raz ostatni, a spoglądając na zmarłego, rzekł doń wzruszony:

— Do widzenia, drogi Kamilu; jestem najzupełniej przekonany, że jesteś już w niebie; dlatego proszę cię, przygotuj mi tam miejsce. Będę ci zawsze przyjacielem, a dopóki mnie Pan zostawi przy życiu, nie przestanę modlić się o spokój twej duszy.

Potem zaczął wraz z innymi towarzyszami odmawiać modlitwy za zmarłych, które przy zwłokach przyjaciela odprawiono. Przez cały

dzień odmawiano jeszcze wiele innych modlitw, następnie Dominik poprosił lepszych współuczniów, aby ofiarowali za duszę zmarłego Komunie św., którą i sam w tej intencji wielokroć przyjmował. Pomiedzy innemi rzekł raz do swoich przyjaciół:

— Moi drodzy, nie zapominajmy o duszy naszego towarzysza. Spodziewam się, że teraz już cieszy się chwałą niebieską; jednakże nie przestajmy się modlić za niego. Co my teraz uczynimy dla niego, to za sprawą Bożą inni kiedyś uczynią dla nas.

ROZDZIAŁ XIX.

Dominik Savio i Jan Massaglia.

Dłuższe i serdeczniejsze były stosunki Dominika z Janem Massaglią z Marmorito, wioski, leżącej blisko Mondonio.

Obaj przyszli równocześnie do Oratorium; obaj pochodzili z tych samych stron; obaj mieli to samo pragnienie, by się poświęcić służbie Bożej; obaj pragnęli też stać się świętymi.

— Nie wystarczy — rzekł Dominik pewnego dnia do swego towarzysza — nie wystarczy mówić, że chcemy zostać księżmi, lecz potrzeba, abyśmy się starali nabyć cnót, potrzebnych do tego stanu.

— To prawda — odpowiedział towarzysz — lecz, jeśli zrobimy wszystko, co możemy z naszej

strony, Bóg nie omieszką nam udzielić pomocy i siły, abyśmy sobie mogli zasłużyć na tak wielką łaskę, jaką jest zostać zastępcą Jezusa Chrystusa tu na ziemi.

Z nadejściem Wielkanocy, odprawili wraz z innymi towarzyszami ćwiczenia duchowne z wielką przykładnością. Po ich skończeniu rzekł Dominik do towarzysza:

— Pragnę, abyśmy byli prawdziwymi przyjaciółmi, a to przedewszystkiem w sprawach, dotyczących się naszej duszy; dlatego życzyłbym sobie, abyśmy od tego czasu upominali się wzajemnie we wszystkim, co się tylko może przyczynić do naszego postępu duchownego. Jeśli więc zauważysz jaką niedobłą skłonność we mnie, powiedz mi to zaraz, abym się mógł poprawić, albo, jeśli spostrzeżesz, że mogę coś dobrego uczynić, nie omieszkaj mi tego powiedzieć.

— Uczynię to z największą chęcią — odrzekł Jan — chociaż tego nie potrzebujesz; lecz ty powinienesz tem więcej czynić to względem mnie, bo jak sam widzisz, z powodu mego wieku i nauk, bywam wystawiony na większe niebezpieczeństwa.

— Zaniechajmy komplementów, a wspomagajmy się wzajemnie i ćwiczymy się w cnotach, jakich obaj potrzebujemy.

Od tego czasu Savio i Massaglia zostali prawdziwymi przyjaciółmi, a przyjaźń ich była trwała,

bo ugruntowana na cnocie. Starali się przyświecać sobie wzajemnie przykładem i wspomagać radami, aby unikać złego i ćwiczyć się w dobrem.

Po ukończeniu roku szkolnego i zdaniu egzaminów pozwalano każdemu wychowankowi zakładu udać się na wakacje albo do rodziców, albo do innych krewnych.

Niektórzy, pragnąc więcej postąpić w nauce i pobożności, woleli zostać w Oratorium; do nich należeli także Dominik i Massaglia. Wiedząc, z jaką tęsknotą rodzice ich oczekiwali i jak oni sami potrzebowali wypoczynku i wzmocnienia sił — rzekłem do nich:

— Dlaczego nie chcecie jechać na kilka dni do domu?

Oni zamiast odpowiedzieć, poczęli się śmiać.

— Dlaczego się śmiejecie?

Dominik odpowiedział:

— Wiemy, że nasi rodzice wyglądają nas z utęsknieniem i radością i mybyśmy też chętnie pojechali; lecz wiemy także, że ptak, dopóki jest w klatce, nie zażywa wprawdzie wolności, ale jest za to zupełnie bezpieczny. Przeciwnie, jeśli jest wypuszczony z klatki, lata gdzie chce, lecz w jednej chwili może wpaść w szpony srogiego jastrzębia.

Mimo to uważałem za stosowne, posłać ich na jakiś czas do domu, aby mogli odetchnąć rodzinnem powietrzem i nabrać sił do dalszych

nauk. Poddali się, ale tylko z posłuszeństwa, i zabawili w domu zaledwie tyle dni, ile im ściśle nakazałem.

Gdybym chciał opisać wielkie cnoty Massaglii, musiałbym powtórzyć większą część z tego, co powiedziałem o Dominiku, którego on wiernie naśladował. Cieszył się dobrem zdrowiem i rokował najlepsze nadzieje na przyszłość. Ukończywszy wyższe gimnazjum, zdał jak najświetniej egzamin przed przywdzianiem sukni duchownej. Lecz zaledwie kilka miesięcy miał szczęście nosić tak bardzo upragnioną sukienkę. Dotknięty chorobą żołądka, która zrazu zdawała się być prostem zaziębieniem, nie chciał nawet przerywać swoich nauk. Rodzice jednakże pragnęli poddać go gruntownej kuracyi i dlatego zabrali go do domu. W czasie tego pobytu w domu napisał do ukochanego przyjaciela list następującej treści:

Drogi Dominiku!

Myślałem, że spędzę tylko kilka dni w domu, a potem wrócę do Oratoryum. Zostawiłem tam przeto wszystkie przybory szkolne. Lecz jak mi się zdaje, zanosi się na dłuższy pobyt, a moje wyzdrowienie staje się coraz niepewniejsze. Lekarz mi mówi, że jest lepiej, a mnie się zdaje, że gorzej. Zobaczymy, kto ma słuszność. Drogi Dominiku, smucę się bardzo, że

jestem tak daleko od ciebie i od Oratoryum, ponieważ tu nie mam takiej swobody w ćwiczeniach pobożnych, jak tam. Pocieszam się jedynie wspomnianiem tych błogich dni, jakieśmy sobie wyznaczili na przygotowanie się i przystępowanie do Komunii św. Spodziewam się jednakże, że chociaż rozłączeni ciałem, duchem jesteśmy najściślej zespoleni.

Tymczasem proszę cię, abyś poszedł do sali naukowej i przeglądnał moje manatki w szafeczce. Znajdziesz tam kilka rękopisów, a przy nich książeczkę: O naśladowaniu Jezusa Chrystusa, Tomasza a Kempisa. Zapakuj to razem i przyslij mi. Zważ, że ta książka jest łacińska, bo chociaż mi się podoba tłumaczenie, zawsze ono jest tłumaczeniem, w którem nie znajduję takiego upodobania, jak w samym oryginale łacińskim. Czuję wielkie znużenie z powodu bezczynności, a jednak lekarz ciągle mi zabrania się uczyć. Przechadzam się często po pokoju i zapytuję siebie samego, czy ja wyzdrowieję z tej choroby? czy zobaczę swych towarzyszków? czy to dla mnie przypadkiem nie ostatnia choroba? — Lecz cokolwiek się ze mną stanie, Bóg o tem wie dobrze. Zdaje mi się, że jestem gotów uczynić we wszystkich tych trzech wypadkach świętą wolę Bożą.

Jeśli mi możesz co dobrego poradzić, bądź mi to łaskaw napisać. Powiedz mi, jak tam z twojem zdrowiem? Pamiętaj o mnie w swoich

modlitwach, a szczególnie gdy przystępujesz do Komunii świętej. Odwagi, kochaj mnie serdecznie w Panu, a choć nie będziemy mogli długo razem przebywać w tem życiu ziemskim, spodziewam się, że nadejdzie czas, kiedy będziemy mogli złączyć się na zawsze i żyć szczęśliwie w błogosławionej wieczności.

Pozdrów naszych przyjaciół, a szczególnie członków Towarzystwa Niepokalanie Poczętej. Niech Pan Jezus raczy Cię zachować zawsze w Swojej świętej łasce.

Twój zawsze najprzywiązańszy

Jan Massaglia.

Dominik wykonał polecenie przyjaciela i posyłając mu to, czego żądał, dołączył list następujący:

Mój drogi Massaglia!

List Twój bardzo mnie ucieszył, ponieważ zapewniłem się przezeń, że jesteś jeszcze przy życiu. Od Twego odjazdu nie mieliśmy żadnych wiadomości o Tobie i nie wiedziałem, czy mam mówić za Ciebie „Chwała Ojcu“, czy „Wieczny odpoczynek“. Otrzymasz żądane przedmioty. Muszę Ci jednak zwrócić uwagę, że Tomasz a Kempis, to pocciwy przyjaciel, ale nieżywy, nie rusza się z miejsca. Potrzeba zatem, abyś go ty po-

szukał, poruszył go, czytał i starał się zastosować w praktyce, co z niego wyczytasz.

Ubolewasz nad tem, że nie masz takich sposobności do ćwiczeń pobożnych, jakie my tu mamy, i słusznie. Podczas mego pobytu w Mondonio doznawałem tej samej przykrości. Starałem się, o ile mi to było możliwe, zastąpić to codziennem nawiedzaniem Najśw. Sakramentu, na które, o ile mi siły pozwalały, zabierałem jak najwięcej chłopców. — Oprócz Tomasza a Kempis czytałem także Skarb ukryty we Mszy świętej według błogosławionego Leonarda. Jeżeli Ci to sprawi przyjemność, czyni i Ty podobnie. Mówisz mi, że nie wiesz, czy powrócisz do Oratorium, aby nas odwiedzić; wiedz, że i moje zdrowie jest już także nadwyreżone i coś mi szepce, że zbliżam się szybkim krokiem do kresu nauk i swojego życia. Na wszelki wypadek uczynimy tak: módlmy się jeden za drugiego, abyśmy mogli obaj świątobliwie życie zakończyć. Ten, kto pierwszy z nas pójdzie do raju, przygotuje miejsce dla przyjaciela, a gdy drugi pójdzie go odwiedzić, poda mu rękę i wciągnie go do niebieskich przybytków. Niech nas Bóg zawsze zachowuje w Swej łasce świętej i niech nam pomoże stać się świętymi, lecz prędko, albowiem obawiam się, by nam czasu nie zabrakło. Wszyscy nasi koledzy oczekują Twego powrotu do Oratorium i pozdrawiają Cię serdecznie w Panu.

Ja zaś z bratnią miłością i przywiązaniem
oświadczam się zawsze

Twoim najprzywiązańszym przyjacielem

Dominik Savio.“

Choroba młodego Massaglia wydawała się z początku lekką. Często nawet myślano, że została całkowicie pokonana, lecz po niejakim czasie znowu wracała, aż oto prawie niespodzianie wybiła ostatnia godzina dla pocziwego Janka. „Przyjął — pisze ks. Valfre, proboszcz w Marmorito i kierownik duchowny Massaglii podczas wakacyi — z jak największą pobożnością ostatnie Sakramenta naszej wiary świętej; umarł śmiercią sprawiedliwego, który opuszcza ten świat, aby ulecieć do nieba w objęcia swego Stwórcy najukochańszego“.

Dominik bardzo był zmartwiony stratą swego towarzysza i aczkolwiek poddał się chętnie wyrokowi Boskim, gorzko jednak przez kilka dni go opłakiwał. Wtedy po raz pierwszy widziałem to anielskie jego oblicze zasmucone i zapłakane. — Jedyne jego pocieszeniem była modlitwa, którą razem z innymi zanosił przed tron Boga za zmarłego przyjaciela. Niekiedy wzdychał: Drogi Massaglia, tyś umarł i spodziewam się, że się już cieszysz w niebie w towarzystwie Kamila Gavio, a ja, ach! kiedyż pójdę złączyć się z wami

w nieskończonej szczęśliwości niebieskiej? Przez cały ten czas, jaki mu pozostał po śmierci towarzysza, miał go zawsze w pamięci w praktykach religijnych i zwykł był mawiać, że nie może iść słuchać Mszy, albo być obecnym na innem pobożnem ćwiczeniu bez polecenia Bogu duszy tego, który w życiu tak dbał o jego dobro. Ta strata była bardzo bolesna i dotkliwa dla czułego serca Dominika, a zdrowie jego znacznie się znowu pogorszyło.

ROZDZIAŁ XX.

Szczególne łaski. — Niezwykłe czyny Dominika.

Dotąd opowiadałem tylko rzeczy, które w sobie nie nadzwyczajnego nie zawierały, jeśli nie chcemy nazwać nadzwyczajnem nieskazitelnego i wzorowego zachowania się Dominika, udoskonalającego się coraz bardziej w niewinności życia pokutą i ćwiczeniem się w pobożności.

Bezwątpienia możnaby nazwać rzeczą nadzwyczajną jego żywą wiarę, silną nadzieję, miłość gorejącą, wytrwałość w dobrem aż do ostatniego tchnienia. Tutaj jednak pragnę podać łaski szczególne i niektóre uczynki niepospolite, które spotka może niejedną krytyka. Dlatego sędzę, że nie będzie od rzeczy, gdy zwrócę uwagę czytelnika na to, że wszystko, co tu przytaczam, ma zupełne podobieństwo do zdarzeń w biblii i w żywotach świętych; przedstawiam wypadki, na

które patrzałem własnymi oczyma i zapewniam, że piszę tylko świętą prawdę.

Chodząc często do kościoła, szczególnie w tych dniach, w których przystępował do Komunii świętej lub kiedy był Przenajświętszy Sakrament wystawiony, Dominik stawał się jakby pozbawiony zmysłów i to do tego stopnia, że nieraz przebywał tamże za długo i trzeba go było wołać, aby się nie spóźnił do swych zwykłych zajęć.

Pewnego dnia zdarzyło się, iż nie było go ani na śniadaniu, ani w szkole, ani też na obiedzie i nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. W studyum go nie było, również nie było go w sy-pialni. Ks. dyrektor, gdy mu o tem doniesiono, domyślił się odrazu, że będzie w kościele, gdyż coś podobnego zdarzyło się już kilka razy przedtem.

Idzie więc do kościoła, wstępuje do chóru (za ołtarzem) i znajduje tam Dominika w postawie nieruchomej, jak posąg. Miał jedną nogę opartą na drugiej, jedną rękę wsparł na pulpicie, a drugą trzymał na piersiach, twarz miał zwróconą ku Tabernakulum. Powieki trzymał nieruchome. Dyrektor zawołał go po imieniu — napróżno. Zbliżył się więc do niego i lekko chwycił za ramię. Wtenczas Dominik, zwracając oczy na dyrektora, pyta:

— O, czy Msza św. już się skończyła?

— Patrz — rzecze dyrektor, wskazując na zegarek — już druga po południu.

Dominik usłyszawszy to, przeprasza pokornie dyrektora za przekroczenie reguły domowej. Dyrektor przebacza mu chętnie, a wzięwszy go za rękę prowadzi na obiad, mówiąc doń po drodze:

— Jeżeli cię będą pytać, gdzie byłeś, odpowiedz im, że spełniałeś moje polecenie. W ten sposób unikniesz wielu niepotrzebnych pytań, którymi mogliby cię zasypać twoi towarzysze.

Innego dnia ukończywszy zwykle dziękczynienie po Mszy św., miałem wyjść ze zakrystyi, gdy wtém słyszę głos z chóru, jakby rozmawiającej osoby. Podchodzę tam i widzę Dominika, który mówił i zatrzymywał się, jakby czekając na odpowiedź. Między innemi słyszałem te słowa: Tak, mój Boże! już Ci powiedziałem i powtarzam Ci na nowo: Ja Cię kocham i chcę Cię kochać aż do śmierci. Jeżelibyś widział, że miałbym Cię kiedyś obrazić, ześlij mi śmierć, tak, raczej umrzeć, niż zgrzeszyć! Zapytałem go raz, co czynił w tych przerwach, a on z całą prostotą odpowiedział: Biedny ja! Przychodzi mi roztargnienie i w jednej chwili tracę wątek moich modlitw i zdaje mi się, iż widzę rzeczy tak piękne, że godziny uciekają mi, jak mała chwilka.

Pewnego dnia Dominik wszedł do mego pokoju, mówiąc:

— Niech ksiądz prędko idzie ze mną, bo mamy zrobić coś pięknego.

— Dokąd mię chcesz zaprowadzić?

— Niech się ksiądz spieszy, niech się spieszy!

Ja jeszcze wahałem się, lecz na jego natarczywe nalegania, pouczony już nieraz o pożytku podobnych wezwań, zgodziłem się. Idę więc za nim. On wychodzi z domu, mija jedną ulicę, drugą i trzecią, nie zatrzymując się, ani nie mówiąc ani słówka. Zbacza w jedną jeszcze ulicę, a ja towarzyszę mu ciągle; wreszcie przystaje. Wchodzi na schody, idzie na trzecie piętro i ciągnie silnie za dzwonek.

— Tutaj trzeba wejść — rzekł do mnie i natychmiast się oddalił. Otworzono mi drzwi. Słyszę z wnętrza głos:

— Prędko, prędko, inaczej będzie za późno. Mój nieszczęśliwy małżonek został protestantem, obecnie leży konający i życzy sobie zejść z tego świata pojednany z Bogiem, na łonie religii katolickiej.

Udałem się natychmiast do łóża chorego, który okazywał gorące pragnienie uporządkowania spraw sumienia. — Kiedy z jak największą możliwie dokładnością i pośpiechem zaspokoilem potrzeby tej duszy, przybył pleban parafii św. Augustyna, którego jeszcze wpierw doń zawezwano. Zaledwie zdążył udzielić Ostatniego Na-

maszczenia Olejem św. przez jedno pomazanie, a chory wyzionął ducha.

Później chciałem wybadać Dominika, skąd mógł wiedzieć o owym chorym. Spojrzał na mnie okiem żalosnem, a nie odpowiedziawszy nic, zaczął płakać. Zaniechałem więc dalszych pytań.

Niewinność życia, miłość ku Bogu, tęsknota za rzeczami niebieskimi, wprowadziły serce i umysł Dominika do stanu, rzecz można, całkowitego i nieustannego zatopienia się w Bogu. Często przerywał rekreacyę, kierował wzrok swój w jedną stronę i zaczynał przechadzać się sam na sam. Zapytywany, z jakiego powodu opuszcza towarzyszy, odpowiadał:

— Napadają mnie zwykle roztargnienia i zdaje mi się, że mi się niebo otwiera nad głową; ja muszę oddalić się od towarzyszków, aby nie mówić im o rzeczach, z którychby się może śmiali.

Pewnego razu rozmawiano na rekreacyi o wielkiej nagrodzie w niebie, zgotowanej tym, którzy zachowują cnotę czystości. Między innemi mówiono też: Niewinni są w niebie najbliżsi niepokalanego Baranka i będą mu śpiewali szczególne hymny pochwalne na wieki.

To wystarczyło, aby unieść jego ducha do Boga; stał się nieruchomym i padł jak martwy w ramiona obok stojącego chłopca. Te uniesienia, a raczej zachwyty ducha, zdarzały się także

w studyum, kiedy szedł do szkoły lub z niej wracał, a niekiedy nawet podczas lekcyi.

Rozmawiał bardzo chętnie o Papieżu i wyrażał swoje gorące pragnienie widzenia go przed Śmiercią, powtarzając często, że ma mu do powiedzenia rzeczy wielkiej doniosłości. Ponieważ to często powtarzał, chciałem się dowiedzieć, co to miał oznajmić Papieżowi.

— Gdybym mógł mówić z Papieżem, chciałbym mu powiedzieć, aby wśród utrapień, które go dręczą, nie przestawał się zajmować ze szczególniejszem staraniem Anglią. Bóg bowiem przygotowuje wielki tryumf katolicyzmowi w tym kraju.

Na te słowa zapytałem go:

— Na czemże opierasz to swoje twierdzenie?

— Powiem, ale chciałbym, aby ksiądz tego nie mówił innym, gdyż wystawiłby mnie na niepotrzebne żarty. Jednakże, jeżeli ksiądz pójdzie do Rzymu, niech powie Piusowi IX. co następuje: „Pewnego dnia, kiedym składał dziękczynienie po Komunii świętej, napadło mnie wielkie roztargnienie. Zdawało mi się, że widzę ogromnie szeroką równinę pełną ludu, otoczonego gęstą mgłą. Ludzie ci chodzili, błędząc wkoło, jako ci, co zgubiwszy prawą drogę, nie wiedzą, którędy wydostać się na zbawienny gościniec. Ta równina, rzekł mi jeden z sąsiadów moich, jest Anglia. Kiedy się chciałem zapytać o inne rzeczy, ujrzałem Piusa IX. tak, jak go widywałem na-

malowanego na niektórych obrazach. Ubrany w szaty wspaniałe, zbliżał się do tej niezmiernej masy ludu, trzymając płonącą pochodnię w rękach. W miarę jak się lud zbliżał do blasku tej pochodni, znikła ciemność, a wszystko stawało w pięknej jasności słonecznej.

— Ta pochodnia — powiedział mi przy jacieł — to religia katolicka, która ma oświecić Anglię.

W roku 1858 udawszy się do Rzymu opowiedziałem tę rzecz Papieżowi, który jej wysłuchał z dobrocią i przyjemnością i dodał: „To utwierdza mię w przedsięwzięciu, żeby z całą energią pracować na korzyść Anglii, ku czemu już poczyniłem szczególniejsze starania. Opowiadanie to, jeśli nie jest czem innem, to jest conajmniej radą dobrej duszy“.

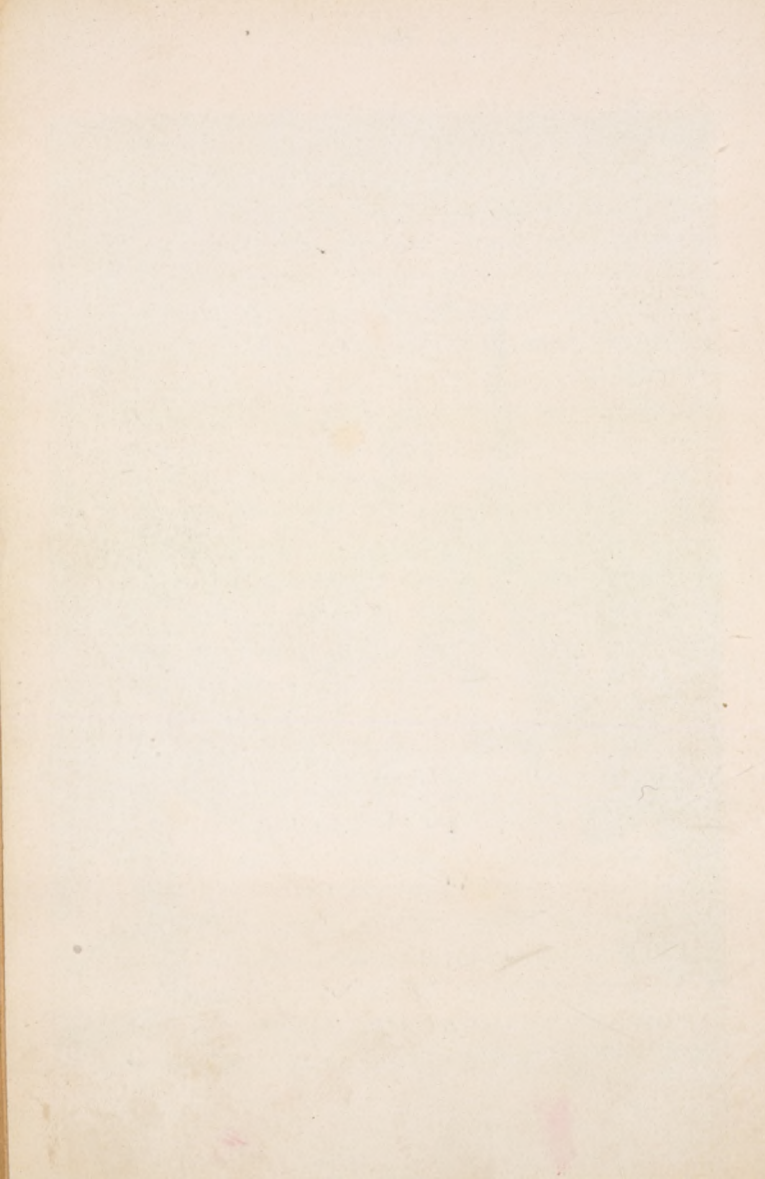
Opuszczam wiele innych podobnych zdarzeń, zadowalając się wzmianką o nich w nadziei, że je kto inny ogłosi, kiedy się to okaże pożyteczne na większą chwałę Bożą.

ROZDZIAŁ XXI.

Myśli Dominika o śmierci. — Przygotowanie do świątobliwego zgonu.

Kto przeczytał te kilka kartek, któreśmy dotąd o młodzienszku Dominiku napisali, poznał łatwo, że jego życie było ciąglem przygotowaniem do śmierci. Stowarzyszenie Niepokalanie Poczętej uważał on jako skuteczny środek do za-





pewnienia sobie opieki Najświętszej Panny Maryi w godzinę śmierci, która, jak ogólnie przewidywano, nie była już daleką. Ja nie wiem, czy Bóg objawił mu dzień i okoliczności śmierci, albo też miał on o tem tylko pobożne przeczucie; to jednak pewne, że dłuższy czas przedtem mówił o niej i to tak wyraźnie, że nie mógłby tego lepiej uczynić ten, coby o tem wszystkim już po jego śmierci opowiadał.

Mając na uwadze stan jego zdrowia, okazywano mu wszelkie względy, by go miarkować w naukach i pobożności; bądź atoli dla swej naturalnej słabości, bądź dla dolegliwości osobistych, bądź także dla ciągłego natężania umysłu, upadał codziennie na siłach. Sam to zresztą zauważył i mówił czasami: „Potrzeba, abym biegł prędko, inaczej zaskoczy mnie noc po drodze“. Chciał przez to powiedzieć, że już mało miał czasu do życia, że więc trzeba się było śpieszyć, by sobie zaskarbić przed śmiercią jak najwięcej dobrych uczynków.

Jest zwyczaj w zakładach salezyańskich, że wychowankowie odprawiają co miesiąc ćwiczenie dobrej śmierci. Polega ono na przygotowaniu się, odprawieniu spowiedzi i przyjęciu Komunii św. tak, jak gdyby one miały być ostatniemi w życiu. Papież Pius IX. wzbogacił to nabożne ćwiczenie różnymi odpustami. — Przy końcu modlitw dodaje się jedno Ojcze nasz i Zdrowaś za

tego z obecnych, który pierwszy będzie miał przejść do wieczności. Dominik odprawiał te ćwiczenia z jak największem skupieniem. Pewnego razu po ukończeniu ćwiczenia dobrej śmierci, żartując, rzekł:

— Zamiast mówić za tego, który pierwszy miał przejść do wieczności, ksiądz Dobrodziej miał powiedzieć tak: jeden Ojciec nasz i Zdrowas za Dominika Savio, który pierwszy z nas przeniesie się do wieczności. Powtórzył to kilkakrotnie.

Przy końcu kwietnia roku 1856 udał się do ks. dyrektora z prośbą o radę, jak sobie ma postąpić, by mógł święcie odprawić miesiąc Maryi. — Spędzisz go święcie, odpowiedział ks. dyrektor, jeśli ściśle będziesz wypełniał swoje obowiązki, a na cześć Najśw. Maryi Panny codzień opowiesz towarzyszom jaki budujący przykład i każdodziennie przystąpisz do Komunii św.

— Będę się tego ściśle trzymał; lecz o jaką łaskę mam prosić?

— Będziesz prosił Przczystą Dziewicę, aby ci wyjednała u Syna Swego zdrowie i łaskę, abyś się mógł stać świętym.

— Tak, aby mi dopomogła stać się świętym, szczęśliwie umrzeć i aby raczyła w ostatniej chwili życia mego być przy mnie i zaprowadzić mnie do nieba.

W samej rzeczy taką okazał gorliwość w ciągu tego miesiąca, że wyglądał jak anioł

w ludzkim ciele. Czy pisał, czy mówił, czy się uczył, śpiewał, albo szedł do szkoły, wszystko to czynił na cześć Maryi. Starał się mieć codziennie gotowy jaki przykład, by go opowiedzieć podczas rekreacyi to tej, to owej gromadce chłopców.

Pewnego dnia rzekł mu jeden z towarzyszy:

— Jeśli to wszystko robisz w tym roku, co będziesz robił w przyszłym?

— Zdaj się z tem na mnie; w tym roku chcę zrobić to, co mogę, na przyszły rok, jeśli dożyję, powiem ci, co czynić będę.

Aby użyć wszystkich środków możliwych celem przywrócenia mu zdrowia, zwołałem na radę kilku lekarzy. Wszyscy podziwiali wesołość, roztropność i mądrość w odpowiedziach Dominika. Doktor Franciszek Vallauri, najdzielniejszy z konsyliarzów, zawołał pełen podziwu:

— Jakże drogą perłą jest ten chłopiec!

— Jakaż jest — zapytałem — przyczyna choroby, która niszczy coraz bardziej jego zdrowie?

— Wątpła budowa jego ciała, przedwczesne rozwinięcie i ciągle nateżanie umysłu. To są te pilniki, które niespostrzeżenie niszczą jego organizm.

— Jakie lekarstwo mogłoby być dla niego najskuteczniejszym?

— Najskuteczniejszym lekarstwem — odrzekł lekarz — byłoby pozwolić mu spokojnie pójść do

nieba, dla którego, zdaje się, jest już należycie przygotowany. Chcąc mu przedłużyć życie, byłoby dobrze, uwolnić go na jakiś czas od nauk, a zająć go fizycznymi, do jego sił odpowiednimi pracami.

ROZDZIAŁ XXII.

Dominik służy chorym. — Opuszcza Oratoryum.

Oslabienie Dominika nie było tego rodzaju, aby go przykuwało do łóżka; dlatego siedł czasem do szkoły, do studyum, albo spełniał różne zajęcia domowe. Pomiedzy zatrudnieniami, którym się oddawał z zamięłowaniem, było usługiwanie chorym towarzyszom. Mawiał przytem: Nie mam żadnej zasługi przed Bogiem za to pielęgnowanie lub nawiedzanie chorych, ponieważ mam w tem zbyt wielkie upodobanie; owszem, jest to dla mnie miłą rozrywką.

Podczas gdy im usługiwał w doczesnych rzeczach, umiał bardzo zręcznie podsuwać im jakąś myśl duchowną. Te kości rozklekotane, mówił do chorego towarzysza, nie chcą jakoś trwać na wieki, nieprawda? Trzeba pozwolić, niechaj zniszczeją pomału, aż się dostaną do grobu; ale wtedy, mój drogi, dusza nasza uwolniona od więzów ciała, uleci pełna blasku do nieba, aby się tam cieszyć zdrowiem i szczęściem po wszystkie wieki.

Zdarzyło się, iż pewnego razu jeden z chorych nie chciał wypić przepisanego mu lekarstwa, ponieważ było gorzkie.

— Mój drogi — rzecze doń Dominik — powinniśmy przyjmować jakiebądź lekarstwo, postępując bowiem w ten sposób, wypełniamy wolę Boga, który ustanowił lekarzy i te lekarstwa, jako czynniki konieczne do odzyskania utraconego zdrowia. Jeżeli zaś sprawiają wstręt naszemu smakowi, to wyjdzie nam to na dobro duszy. A potem, czy ty myślisz, że twoje lekarstwo jest tak gorzkie, jak była żółć, którą napojono Pana Jezusa rozpiętego na krzyżu?

Te słowa wypowiedziane z prawdziwą prostotą sprawiły, że chory z chęcią wypił podane mu lekarstwo.

Aczkolwiek zdrowie Dominika znacznie się pogorszyło, to jednak wyjazd do domu sprawił mu jeszcze większą boleść; znaczyło to bowiem dla niego zaniechać swych ulubionych nauk i ćwiczeń pobożnych. Kilka miesięcy przedtem wysłałem go także do domu, lecz po paru zaledwie dniach zjawił się z powrotem w Oratorium.

Teraz żalność, muszę to wyznać, była obopólna. Ja byłem gotów trzymać go w Oratorium, chociażby mnie to nie wiem ile miało kosztować; kochałem go tak czułą miłością, jak tylko ojciec może kochać swe najdroższe dziecko. Taka jednak była rada lekarzy i do niej chciałem się ko-

niecznie zastosować, tem więcej, że od kilku dni dręczył go uporczywy kaszel.

Uwiadomiłem przeto o tem ojca i wyjazd Dominika został postanowiony na pierwszy marca 1857 roku.

Poddał się Dominik temu postanowieniu, lecz jedynie, aby z tego złożyć ofiarę Bogu.

— Dlaczego — pytano go — tak niechętnie udajesz się do domu?

— Ponieważ chcę dni swoje zakończyć w Oratorium.

— Pojedziesz do domu, a jak ci się polepszy, powrócisz do zakładu,

— Ach, nie, nie! pojedę, ale już nie wrócę.

W przeddzień odjazdu nie odalał się odemnie; stawiał mi ciągle różne pytania. Między innemi rzekł:

— Co przedewszystkiem powinien czynić chory, aby sobie zyskał zasługi przed Panem Bogiem?

— Ofiarować często Bogu swoje cierpienia.

— A cóż więcej mógłby jeszcze uczynić?

— Ofiarować Bogu życie swoje.

— Mogęli być pewny, że zostały mi odpuszczone moje grzechy?

— Zapewniam cię w imieniu Bożem, że grzechy twoje zostały ci odpuszczone.

— A mogę też być pewny, że się zbawię?

— Tak, Bóg miłosierny, który czuwa nad tobą, sprawi, że się zbawisz.

— A gdyby zły duch przyszedł mię kusić, co powinienem mu odpowiedzieć?

— Powiedz mu, że już sprzedałeś duszę Panu Jezusowi, który ją kupił Krwią Swoją Przenajdroższą; jeżeliby cię jeszcze dalej kusił, zapytaj go, co on dla twej duszy uczynił. Jezus Chrystus natomiast wylał wszystką Krew Swoją, aby wybawić duszę naszą z otchłani piekielnej i zaprowadzić ją ze sobą do przybytków niebieskich.

— Czy z nieba będę widział swoich kolegów z Oratorium i swoich rodziców?

— Owszem, z nieba zobaczysz wszystkie koleje, przez jakie przechodzić będzie nasze Oratorium, zobaczysz swoich rodziców i wszystko, co się ich dotyczy, i tysiące innych pięknych rzeczy.

— A czy ich będę mógł kiedy odwiedzić?

— Będiesz mógł, byleby to było na większą cześć i chwałę Bożą.

Takimi i tym podobnemi obsypywał mię pytaniami i zdawało się, że już stoi jedną nogą w niebie, a przed zupełnem wejściem do niego chciał się dobrze dowiedzieć, co się tam dzieje.

ROZDZIAŁ XXIII.

Pożegnanie i wyjazd.

W dniu swego wyjazdu odprawił Dominik z towarzyszami ćwiczenie dobrej śmierci z takim

uniesieniem pobożności przy spowiedzi i Komunii świętej, iż ja, który byłem tego świadkiem naocznym, nie znajduję słów, by to godnie wyrazić.

— Potrzeba — mówił — bym dobrze odprawił to ćwiczenie, ponieważ spodziewam się, że będzie ono dla mnie rzeczywiście ćwiczeniem dobrej śmierci. W razie, gdyby mi przypadło umrzeć w drodze, będę już po Komunii świętej.

Całe przedpołudnie porządkował swoje rzeczy. Przygotował sobie kuferek, układając każdy przedmiot tak, jak gdyby go już nigdy nie miał ruszać. Potem towarzysze przychodzili odwiedzać go kolejno. Wtedy udzielał im rady; tego upominał, aby się poprawił z jakiej niedoskonałości, tamtego zachęcał do wytrwania w dobrem. Jednego, któremu był winien dwa soldy (10 centesimów), zawołał do siebie i rzekł mu:

— Chodź tutaj, uregulujemy nasze długi, inaczej mogłoby mi to sprawić zamieszanie w rachunkach z Panem Bogiem.

Przemówił kilka słów do kolegów ze stowarzyszenia Niepokalanego Poczęcia i z wielkim zapalem zachęcał ich do wytrwałości w zachowaniu obietnic, uczynionych Matce Najświętszej i do pokładania w niej najżywszej ufności. W chwili wyjazdu zawołał mnie i wyrzekł te właśnie słowa:

— Ksiądz Dobrodziej nie chce więc tych moich rozklekotanych kości i zmuszony jestem

zanieść je do Mondonio. Byłbym tu zawadzał kilka dni tylko... a potem byłby koniec; wszakże niech się stanie wola Boża. Jeżeli Ksiądz Dobrodziej będzie kiedy w Rzymie, niech sobie przypomni o poleceniu dla Ojca św. co do Anglii. Proszę o modlitwę, abym umarł dobrą śmiercią i abyśmy się kiedyś mogli zobaczyć w niebie.

Tak doszliśmy do bramy, prowadzącej na ulicę, a on ciągle ścisnął mi rękę. Naraz obrócił się do towarzyszków, którzy go otaczali i rzekł:

— Żegnam was, kochani towarzysze, żegnam was wszystkich, módlcie się za mnie. Do miłego zobaczenia tam, gdzie będziemy na zawsze z Panem Jezusem!

Gdy już był w bramie, zwrócił się jeszcze do mnie i rzekł:

— Niech mi Ksiądz Dobrodziej podaruje coś na pamiątkę.

— Powiedz mi, czego pragniesz, a dam ci natychmiast. Czy chcesz jaką książeczkę?

— Nie, coś lepszego!

— Może pieniędzy na podróż?

— Tak, tak! pieniędzy na podróż do wieczności. Ksiądz mi powiedział, że otrzymał od Papieża jakieś odpusty zupełne na godzinę śmierci, błagam pokornie, żebym i ja mógł należeć do tych, którzy mogą z nich korzystać.

— Tak, drogie dziecko, możesz w nich mieć udział i zaraz pójde zapisać twoje imię.

Wtedy chłopczyzna uchwycił rękę swego przełożonego, przycisnął ją rzewnie do ust, a rzucawszy jeszcze raz zażawionem okiem dookoła, wyszedł na ulicę. Dominik opuszczał Oratoryum, gdzie przeżył blisko trzy lata, z wielką dla siebie pociechą, ze zbudowaniem dla towarzyszków, a nawet i przełożonych, opuszczał je, aby już nigdy za życia do niego nie wrócić.

Wszystkich zdziwiło to jego niezwykle pożegnanie. Wiedzieliśmy, że bardzo często niedomagał, ponieważ jednak rzadko zostawał w łóżku, z tego powodu nie wieleśmy na tę jego słabość uważali. Owszem, dlatego, że był ciągle wesół, nie można było nawet z jego twarzy wyczytać jakiegokolwiek większego cierpienia lub choroby. I chociaż to niezwykle pożegnanie nieco nas zasmuciło, spodziewaliśmy się jednak, że wkrótce znowu go zobaczymy. Choroba tymczasem wzięła inny obrót. Dominik dojrzał już był dla nieba. W krótkim swem życiu wysłużył sobie nagrodę sprawiedliwych, jak gdyby już był przeżył lat wiele, a Pan Bóg chciał go w kwiecie wieku powołać do siebie, aby go uwolnić od niebezpieczeństw, o które się często, niby okręt o skały, rozbijają nawet dusze najdoskonalsze.

ROZDZIAŁ XXIV.

Przebieg choroby — Ostatnia Spowiedź Dominika —
Przyjęcie Wiatku — Wypadki budujące.

Z Turynu wyjechał nasz drogi Dominik 1 marca o godzinie 2-giej po południu w towarzystwie swego ojca. Podróż odbył szczęśliwie; owszem zdawało się, że przejażdżka i różnorodność widoków wpłynęły dodatnio na jego zdrowie. Dlatego, przybywszy do domu, przez cztery dni nie położył się do łóżka. Lecz ponieważ mu ubywało i sił i apetytu, a kaszel coraz silniej go pociągał, uważano za stosowne poddać go badaniu lekarza. Lekarz oświadczył, że choroba wzmogła się bardziej, niż się to wydawało. Poleciał mu natychmiast położyć się do łóżka, a sądząc, że ma zapalenie, puścił mu krew. Puszczanie krwi napędza młodzież zwykle wielkim strachem. Dlatego też chirurg przed operacją radził Dominikowi, aby odwrócił twarz w inną stronę i uzbroił się w cierpliwość i odwagę. On zaś roześmiał się i rzekł:

— Czemże jest to małe ukłucie w porównaniu z wbijaniem gwoździ w ręce i nogi mego najniewinniejszego Zbawiciela?

Potem, żartując, z największym spokojem i bez znaku obawy wpatrywał się przez cały czas operacji w krew z żył sączącą. — Po kilkakrotnem puszczeniu krwi, zdawało się, że niebezpieczeństwo już zostało zażegnane i że cho-

roba złagodniała. Tak zapewniał lekarz, tak też wierzyli rodzice, lecz Dominik myślał inaczej.

Kierowany myślą, że lepiej wcześniej niż za późno przyjąć święte Sakramenta, zawołał ojca i rzekł mu:

— Tato, dobrze będzie, jeśli się poradzimy Lekarza Niebieskiego. Pragnę się wyświadczyć i przyjąć Komunię św.

Rodzice, przekonani, że synowi o wiele się już polepszyło, słysząc to, bardzo się zasmucili i tylko dla jego zaspokojenia poprosili ks. proboszcza, który też przyszedł niezwłocznie i wysłuchał go spowiedzi; następnie zaś przyniósł mu także Wiatyk święty. Łatwo sobie każdy wyobrazi, z jaką pobożnością i skupieniem przyjął Dominik tę Komunię świętą. Ile razy przystępował do Sakramentów, przypominał swoją pobożnością św. Alojzego. A teraz, kiedy sądził, że komunikuje już po raz ostatni, jakaż musiała być jego żarliwość, jak podniosłe wzloty delikatnych uczuć, płynących z niewinnego serca ku ukochanemu Jezusowi!

Przypominał sobie wtedy obietnice, uczynione przy pierwszej Komunii św. Często szeptał:

O Jezu, Maryo, wy będziecie teraz i zawsze przyjaciółmi mej duszy. Skończywszy dziękczynienie, odezwał się zupełnie uspokojony: Teraz czuję się szczęśliwy; muszę wprawdzie odbyć

jeszcze długą podróż do wieczności, lecz w towarzystwie Jezusa nie mam się czego obawiać. O, mówcie zawsze, mówcie to wszystkim: Kto ma Jezusa za przyjaciela i towarzysza, ten nie lęka się żadnego nieszczęścia ani nawet śmierci.

We wszystkich swoich poprzednich chorobach odznaczał się Dominik przykładną cierpliwością, w tej zaś ostatniej zajaśniał jako przedziwny wzór świętości.

Nie wymagał żadnej pomocy od drugich w zwykłych potrzebach.

— Dopóki mogę — mawiał — chcę ulżyć w pracy moim drogim rodzicom. Ponieśli oni dla mnie już tyle niewygód i przykrości; ach! gdybym się im mógł bodaj w jaki sposób wywdzięczyć!

Obojętnie przyjmował lekarstwa; nawet pozwalał sobie więcej razy puścić krew bez najmniejszego wahania.

Po czterech dniach lekarz ucieszył się stanem chorego i rzekł do rodziców:

— Podziękujmy Boskiej Opatrzności, bo jest znaczne polepszenie; teraz potrzeba tylko roztropnie przeprowadzić rekonwalescencję.

Rodzice uradowali się tą wiadomością. Dominik zaś uśmiechnął się tylko i dodał:

— Świat już zwyciężony; teraz muszę tylko roztropnie przeprowadzić proces przed Panem Bogiem.

Gdy lekarz odjechał, Dominik, niełudzący się bynajmniej tem, co powiedziano, zażądał, by mu udzielono Sakramentu ostatniego Namaszczenia. Rodzice przystali i na to, by mu tylko sprawić przyjemność; zresztą ani oni, ani ks. proboszcz nie zauważyli w nim żadnych oznak blizkiej śmierci, owszem, pogoda na twarzy i wesołe jego żarty sprawiły, że wszyscy ludzili się, jakoby istotnie nastąpiło polepszenie. Lecz on, czyto z pobożności, czy też z natchnienia Boskiego, liczył swe dni i godziny tak, jakby wykonywał zadanie matematyczne i korzystał z każdej chwili, by się przygotować do stawienia się przed obliczem Boga.

Zanim otrzymał ostatnie Olejem św. Namaszczenie, odmówił tę modlitwę:

— O Boże, odpuść mi grzechy moje! Kocham Cię i pragnę Cię kochać na wieki. Ten Sakrament, który mi z nieskończonego miłosierdzia Swego przyjąć pozwalasz, niechaj wymaże z duszy mojej winy, popełnione przez słuch, wzrok, smak, przez ręce i nogi; ciało moje i dusza moja niech będą uświęcone zasługami Twojej męki. Amen.

Na pytania odpowiadał tak wyraźnie i rozumnie, że każdyby przysiągł, iż ten chłopiec jest zupełnie zdrowy.

Był to 9-ty marca, czwarty dzień jego choroby, ostatni jego życia. Już po raz 10-ty puszczono mu krew i próbowano innych środków,

ale daremnie. Czuł się już zupełnie wycieńczony na siłach, dlatego udzielono mu błogosławieństwa papieskiego. On sam odmówił spowiedź powszechną i odpowiadał w modlitwach kapłanowi. Kiedy usłyszał, że tym aktem religijnym Papież udzielał mu błogosławieństwa apostolskiego z odpustem zupełnym, niezmiernie się ucieszył.

— Bogu dzięki — mawiał — zawsze i za wszystko!

Potem zwrócił się do krzyża i odmówił wierszyk, który sobie często za życia powtarzał:

— Tobie, Panie, siebie całego daję.
Oto me władze, ciało, wszystko moje;
Wszystko Ci daję, wszak to wszystko Twoje,
I na Twą wolę, moją wolę zdaję.

ROZDZIAŁ XXV.

Ostatnie chwile Dominika. — Świątobliwa śmierć.

Jest to prawda wiary, że człowiek w chwili śmierci zbiera owoce swojej pracy. Jeśli w życiu swem siał dobre uczynki, zbierać będzie w tych ostatnich chwilach błogie owoce pociechy. Często się jednak zdarza, że dusze nawet po życiu świątobliwem trwożą się i lękają, gdy się zbliża godzina śmierci. Dzieje się to z najświętszej woli Boga, który chce oczyścić te dusze z małych skaz grzechowych, jakimi się może w życiu splamiły, a tak zapewnić im niebo i uczynić piękniejszą ich koronę chwały. Z naszym

Dominikiem tak nie było. Zdaje mi się, że Bóg chciał mu już dać stokrotną nagrodę, którą często obdarza dusze sprawiedliwe pierwej nim je ukoronuje chwałą w niebie. W rzeczy samej niewinność zachowana aż do ostatniej chwili jego życia, jego żywa wiara, ustawiczne modlitwy i długie jego pokuty i życie pełne nieprzerwanych cierpień zjednały mu niezawodnie tę łaskę w chwili zgonu. Patrzał więc na zbliżającą się śmierć ze spokojem niewinnej duszy. Zdawało się nawet, że ani jego ciało nie doznawało boleści i ucisków, jakie zwykle towarzyszą odłączeniu się duszy od ciała. Słowem, zgon Dominika można nazwać raczej zaśnięciem niż śmiercią. Dnia 9-go marca 1857 roku został zaopatrzony wszystkimi pociechami naszej wiary św. katolickiej na drogę do wieczności. Kto słyszał jego rozmowę i patrzał na jego pogodne oblicze, mógłby mniemać, że leży w łóżku dla wypoczynku. Twarz uśmiechnięta, spojrzenia zawsze żywe, zupełna przytomność umysłu, wszystko to dziwiło obecnych i nikt, krom niego, nie przypuszczał, że już wybiła dla niego ostatnia godzina. Półtorej godziny przed śmiercią przybył go odwiedzić ks. proboszcz, a na widok tak pogodnego konania stanął zdziwiony i przysłuchiwał się, jak Dominik polecał swą duszę Bogu.

Odmawiał on częste i długie akty strzeliste,

które ujawniały, jak żywo pragnął corychlej pójść do nieba.

— Cóż ja mam mówić takiemu konającemu jak on? — rzekł ksiądz proboszcz — raczej mi się uczyć od niego, jak swoją duszę polecać Bogu w ostatniej godzinie.

Gdy się obaj nieco pomodlili, ks. proboszcz zamierzał już wyjść; wtem Savio odezwał się do niego:

— Czcigodny Księżu Proboszczu, proszę przed odejściem zostawić mi jaką pamiątkę.

— Jakąż ja ci — rzekł kapłan — mogę dać pamiątkę?

— Taką pamiątkę, któraby mnie wzmocniła na duchu.

— Nic ci innego nie polecam, tylko, abyś pamiętał na Mękę Pana Jezusa.

— Bóg zapłać — odpowiedział. — Męka Pana Jezusa niech będzie zawsze w moich myślach, na moich ustach i w mojem sercu. Jezu, Maryo, Józefie święty, bądźcie ze mną przy skonaniu. Jezu, Maryo, Józefie święty, niechaj przy was wyzionę ducha mego!

Po tych słowach zasnął i spoczął przez pół godziny. Potem, zbudziwszy się, zwrócił swój wzrok na rodziców:

— Tato — zawołał — nadeszła chwila.

— Mój synu, czego sobie życzysz?

— Czas już, mój drogi tato, tak, już czas! Weźmijcie moją książeczkę do nabożeństwa i czytajcie mi modlitwy o dobrą śmierć.

Na te słowa matka wybuchnęła płaczem i wyszła z pokoju. Serce ojca krajało się z bólu, a łkanie tłumilo mu głos, jednak zadał sobie gwałt i począł czytać modlitwy. Dominik powtarzał uważnie i wyraźnie każde słowo, a na końcu każdej części sam odpowiadał:

— Jezu miłosierny, zmiłuj się nademną.

Doszedłszy do słów: Kiedy dusza moja stanie przed Tobą i po raz pierwszy zobaczy mieśmiertelny blask Majestatu Twego, nie odrzuć jej od Twego oblicza — racz ją przyjąć na łono miłosierdzia Twego, abym chwałę Twoją wyśpiewywał wiecznie:

— Tak, tak — dodał — to jest właśnie, czego ja pragnę. O drogi ojcze! śpiewać wiecznie chwałę Boga!...

Następnie zmrużył oczy i spoważniał jak ten, co ma przed sobą jakąś ważną sprawę.

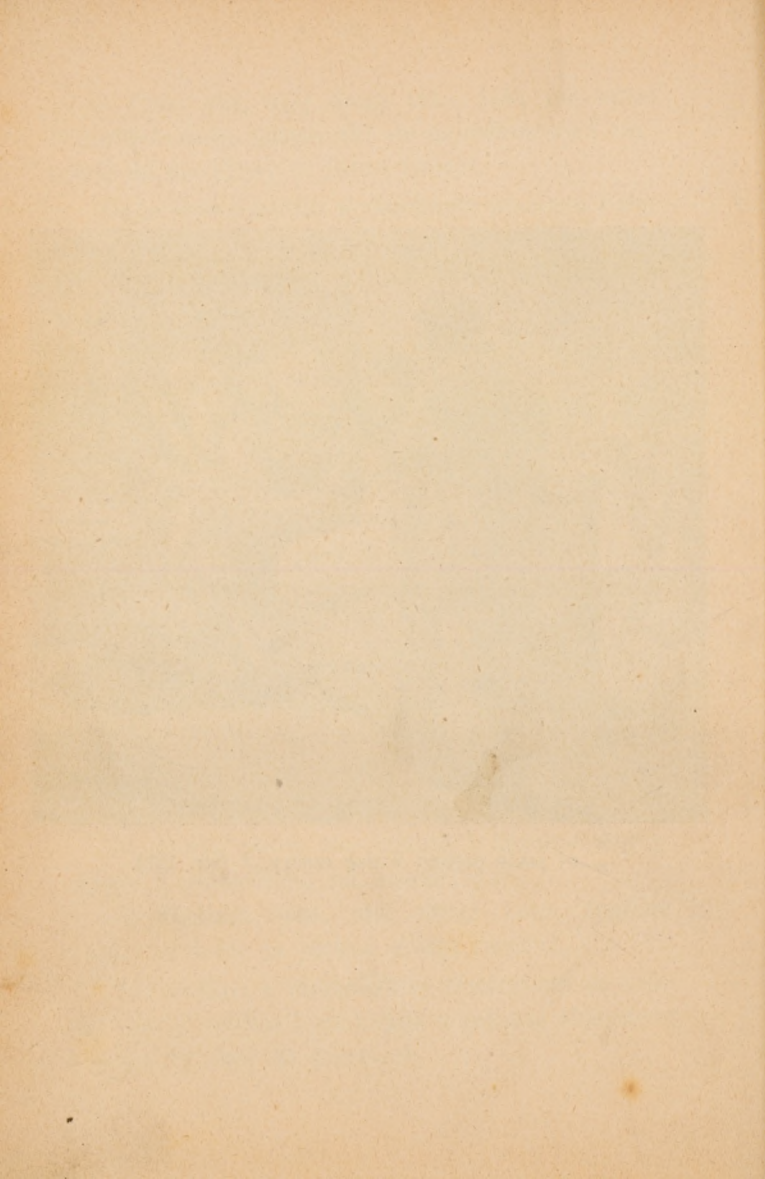
Po chwili znów się ocknął i głosem dzwicznym z uśmiechem na ustach rzekł:

— Żegnam was, mój drogi tato, żegnam was!... O, jakie ja piękne widzę rzeczy!...

To mówiąc, z niebiańskim uśmiechem na twarzy zasnął słodko i spokojnie z rękami złożonemi i z krzyżykiem na piersiach.



„...o! jakie piękne widzę rzeczy...” (str. 122).



Idź, duszo wierna do swego Stwórcy — niebo otwarło się przed tobą — a Aniołowie i święci zgotowali ci uroczyste przyjęcie! — Ten Jezus, którego tak miłowałeś, zaprasza cię: Chodź, sługo dobry i wierny, chodź, walczyłeś i odniosłeś zwycięstwo; niech zapłonie twoje serce radością wielką, której nie będzie końca! — Wejdź do wesela Pana swego.

ROZDZIAŁ XXVI.

Wiadomość o śmierci Dominika — Słowa prof. Picco do uczniów.

Ojciec Dominika, patrząc na to, cośmy wyżej opisali i widząc, że skłonił głowę, jakby chciał chwilę odpocząć, mniemał istotnie, że syn znova się zdrzemnął. Przez kilka chwil zostawił go przeto w takim położeniu; po chwili jednak odezwał się do niego i wtedy spostrzegł, że on już nieżywy.

Trudno sobie wyobrazić, jaka żałość ogarnęła rodziców z powodu straty kochanego syna, który prócz niewinności i pobożności posiadał miłą powierzchowność i inne zalety, potęgujące miłość rodzicielską.

W Oratorium wyczekiwaliśmy z upragnieniem wiadomości o naszym kochanym towarzyszu i przyjacielu, aż oto nagle otrzymaliśmy od jego ojca list, tak się zaczynający:

„Ze łzami w oczach oznajmiam Księdzu Dobrodziejowi najboleśniejszą nowinę: mój drogi syn Dominik, a Ks. Dobrodzieja wychowanek, jak biała lilia, jak Alojzy Gonzaga oddał Bogu ducha wczoraj wieczorem dziewiątego marca po otrzymaniu świętych Sakramentów i błogosławieństwa papieskiego.“

Ta smutna wiadomość dotknęła jego towarzyszków bardzo boleśnie. Jeden opłakiwał stratę przyjaciela i wiernego doradcy; inny narzekał, że stracił wzór prawdziwej pobożności. Niektórzy poszli do kościoła modlić się o spokój jego duszy. Lecz większa część mówiła między sobą:

— On był świętym, teraz cieszy się już w niebie.

Inni polecali mu się, jako pośrednikowi u Boga. Każdy starał się posiąść jaki przedmiot, który kiedyś do niego należał.

Ks. prof. Picco, po otrzymaniu tej wiadomości niezmiernie się zasmucił. Skoro się tylko zgromadzili jego uczniowie, głęboko wzruszony podzielił się z nimi tą bolesną nowiną następującymi słowami:

„Drodzy chłopcy! Nie upłynęło jeszcze wiele czasu od dnia, kiedy mówiąc do was przypadkowo o znikomości życia ludzkiego, zaznaczyłem, że często śmierć nie oszczędza nawet waszego młodocianego wieku. Jako przykład przytoczyłem wam młodzieńca Leona Chochisa, który przed

dwoma laty w tym samym czasie uczęszczał do tej szkoły, siedział tu wśród was i słuchał mnie, jako wy obecnie, pełen życia i sił. Pojechał on do domu rodzinnego, a po kilku dniach pożegnał się z tym światem, oplakiwany przez towarzyszków i rodziców. Gdy tu wspominałem o tym bolesnym wypadku, nie przypuszczałem nigdy, że i w tym roku spotka nas podobny smutek z powodu straty drugiego z moich obecnych uczniów. Tak, moi drodzy! przynoszę wam bolesną wiadomość. Śmierć wydarła wczoraj życie jednemu z waszych najcenniejszych towarzyszy, dobremu młodziankowi, Dominikowi Savio. Z pewnością przypominacie sobie, jak w ostatnich dniach, gdy jeszcze chodził do szkoły, widoczne były na nim ślady strasznej gorączki, która już zwiastowała ciężką chorobę; stąd nikt się z nas nie zdziwił, gdy usłyszał, że Dominik musiał przerwać naukę. Aby się lepiej wyleczyć z tej choroby, a także przewidując już blizki swój koniec, co wyraźnie powiedział jednemu z nas, poszedł za radą lekarzy i przełożonych i wrócił do swoich rodziców. Choroba jego wzmogła się tam w nadzwyczajny sposób i po czterech dniach oddał Stwórcy niewinną swą duszę.

Czytałem wczoraj list, w którym niepokieszony ojciec donosił o tym smutnym wypadku dyrektorowi Oratoryum, ks. Janowi Bosko i w swojej prostocie nakreślił obraz światobliwej śmierci

tego aniołka — obraz, który mnie do łez wzruszył. Nie mógł znaleźć odpowiedniejszych wyrazów na pochwałę ukochanego syna, jak mianując go drugim Alojzym Gonzagą tak dla jego świętości życia, jak i dla zupełnego poddania się wyrokom Bożym przy śmierci. Zapewniam was, iż czuję prawdziwy żal, że młodzieniec ten tak krótko uczęszczał do tej szkoły, że w tym krótkim czasie jego wątłe zdrowie nie pozwoliło mi go bliżej poznać i częściej z nim obcować, jak to jest możliwe w klasie tak licznej. Pozostawiam zatem jego przełożonym, żeby wam opowiedzieli, jak święte były jego uczucia, jak żarliwą modlitwa i pobożność; pozostawiam jego towarzyszom i przyjaciołom, którzy się codziennie stykali i na poufnej stopie z nim żyli, żeby wam powiedzieli, jaką była jego skromność w odzieniu i noszeniu się, jaką uwaga w czasie nauki; pozostawiam jego rodzicom, żeby wam powiedzieli, jakie było jego posłuszeństwo, jego uszanowanie i jego pilność! I cóż mogę wam o nim przypomnieć, czego by już każdy z was nie wiedział? Chyba to tylko, iż zawsze był wzorowy, tak co do ułożenia swej osoby, jak i w spokojnem zachowaniu się w szkole; był pilny i staranny w spełnianiu wszystkich swych obowiązków i z wielką uwagą słuchał moich wykładów, tak że byłbym szczęśliwy, gdyby każdy z was wziął go sobie za wzór do naśladowania.

Wprzód jeszcze, nim jego wiek i nauki pozwołyły mu uczęszczać do naszej szkoły, należał przez trzy lata do tych wychowanków, którzy mają przytułek i pobierają nauki w Oratoryum świętego Franciszka Salezego. Słyszałem wtedy bardzo często, jak dyrektor tego Oratoryum wspominał o nim jako o jednym z najlepszych i najcenniejszych młodzieńców swego zakładu. Wielki był jego zapal do nauki i zadziwiający uczynił postęp w niższych klasach gimnazjalnych tak, że żywo pragnąłem mieć go w gronie swych uczniów, a potem patrzeć na błogie owoce jego niepospolitych zdolności. I nim go dostałem do tej klasy, oznajmiłem niektórym z uczniów, że wkrótce będą mieli rywala, z którym chlubą będzie pójść w zawody nie tylko w nauce, ale także i w cnocie. Zwiedzając często Oratoryum i widząc w Dominiku taki anielski wyraz twarzy, któryście sami podziwiali, patrząc na te jego tak niewinne spojrzenia, nie można było nie pokochać go i nie uwielbiać. Nie zawiodł pięknych nadziei, jakie w nim pokładałem, zwłaszcza w bieżącym roku szkolnym, gdy począł uczęszczać do mojej klasy. Do was się odwołuję młodzieńcy kochani, którzyście byli świadkami jego skupienia, jego uwagi i korzystania z czasu nie tylko wtedy, gdy go do tego obowiązku nawoływał, ale także wtenczas, kiedy to wielu chłopców,

aczkolwiek pilnych i grzecznych, nie robi sobie skrupułów z marnowania czasu.

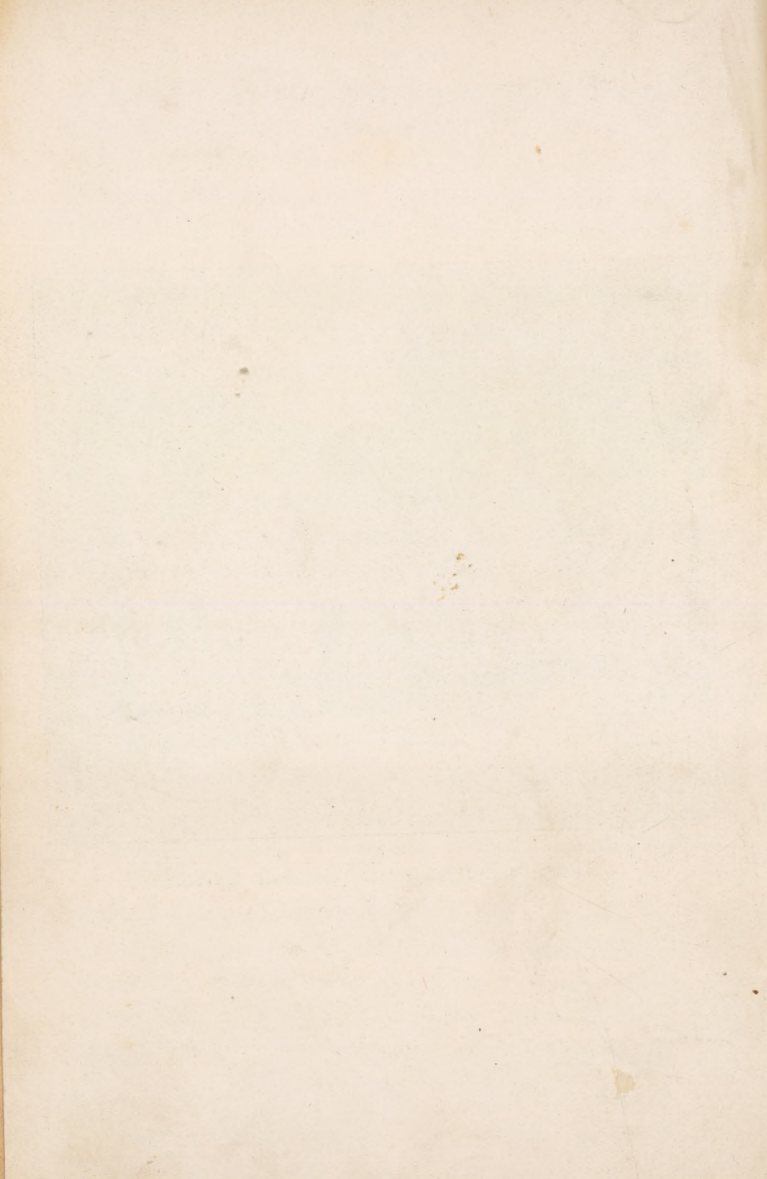
Pytam się was, którzyście, złączeni z nim węzłem koleżeńskim, byli jego tawrzyszami nie tylko w szkole, ale także poza nią, czyście widzieli, żeby kiedykolwiek popełnił coś, coby świadczyło, iż lekceważył sobie jaki obowiązek?...

Zdaje mi się, że go jeszcze widzę, jak z właściwą sobie skromnością wstępuje do klasy, zajmując swoje miejsce i jak cały czas przed rozpoczęciem lekcyi nie rozgląda się niepotrzebnie na wszystkie strony, jak to zwykli czynić jego rówieśnicy, ale powtarza sobie lekcję, czyni notatki lub zajmuje się jakim pożytecznem czytaniem; a z jaką uwagą i chciwością słucha i chwyta wprost moje słowa! — Nie dziw przeto, że pomimo wątłego zdrowia i młodych lat odnosił ze swoich zdolności i nauk wielkie korzyści. Dowodem tego sam fakt, iż w tak licznej klasie, gdzie jest tylu chłopców obdarzonych niepospolitemi zdolnościami, Dominik, lubo już nosił w sobie zarodek choroby, która go zmuszała do częstych nieobecności, a wkońcu wtrąciła do grobu, tak dzielnie się trzymał w naukach, iż zawsze należał do uczniów najpierwszych.

Jedna rzecz wzbudzała we mnie szczególniejszy podziw i zwracała na niego moją uwagę: mianowicie jego zjednoczenie z Bogiem na modlitwie, gdzie jego serce przepelniało się niebiańskimi



Dom, w którym umarł Dominik Savio.



uczuciami i świętą zarliwością. A rzecz to zwyczajna nawet u młodzieńców mniej roztargnionych, że porwani naturalną krewkością i rozproszeniem myśli, tak zwykłem w waszem gwarnem życiu młodzieńczem, nie zwracają najmniejszej uwagi na znaczenie odmawianych modlitw, lecz modlą się bez zastanowienia się i uczucia — i modlitwa ich polega na prostem poruszaniu warg i wymawianiu wyrazów. Otóż, jeżeli to roztargnienie tak jest powszechne u młodzieży, że trudno im o skupienie nawet w modlitwie codziennej, którą zanoszą do Boga w ciszy kościelnej lub w samotności własnego pokoiku, o ileż trudniej i wy sami, kochani młodzieńcy, wiecie to najlepiej, zachować skupienie podczas tych modlitewek, które zwykle się odmawia przed i po lekcyi. Wtenczas to właśnie mogłem podziwiać pobożność naszego Dominika i zjednoczenie duszy jego z Bogiem. Ileż razy przypatrywałem mu się, gdy był zatopiony w modlitwie z oczyma zwróconemi w niebo, które miało stać się wnet jego mieszkaniem. Ileż razy widziałem, jak skupiał swe myśli i uczucia, jak je przedkładał Panu Jezusowi i Najświętszej swojej Matce, a z wezbranej piersi jego ulatywały serdeczne westchnienia. — I te święte uczucia i pragnienia, drodzy młodzieńcy, ożywiały wszelkie jego zamysły, uświęcały każdy jego czyn, każde słowo i kierowały całe jego życie tylko ku większej czci i chwale Boga. O szczęśliwi ci

młodzieńcy, którzy się takimi zasadami przejmują! Stworzą sobie raj w tem życiu i w przyszłem, uszczęśliwią rodziców, którzy ich wychowali, nauczycieli, którzy ich wykształcili i wszystkie inne osoby, którym ich dobro leżało na sercu!

Kochani chłopcy! Życie, to dar bardzo cenny, którego nam Bóg użyty jako środka do gromadzenia zasług na niebo: wszystkie więc nasze sprawy powinny być takie, żeby je śmiało można ofiarować Najwyższemu Dawcy, jak to właśnie czynił nasz Dominik. Lecz cóż powiemy o takim młodzieńcu, który żyje bez pamięci na cel swój ostateczny, który nie znajduje ani chwili czasu, aby ofiarować swe uczucia Bogu i zapalić się ku Niemu gorętszą miłością? Cóż powiemy o takim młodzieńcu, który wszelkimi siłami oddala od siebie podobne uczucia, zwalcza je, tłumi, gdy przemocą prawie chcą jego serce opanować? Proszę was, zastanówcie się cośkolwiek nad świętem życiem waszego towarzysza, nad świętą jego śmiercią, nad jego losem, godnym pozazdroszczenia, bo jak możemy ufać, zażywa już z pewnością niebieskich rozkoszy; a potem zwracając myśl swą na siebie samych, zapytajcie się, czego wam jeszcze nie dostaje, aby mu dorównać i jakimi chcielibyście być, gdyby was Bóg tak jak jego powołał do Siebie i zażądał ścisłego rachunku z każdego, najmniejszego uczynku. Przeprowadziwszy zaś to porównanie przekonacie się, że

wielka jest różnica między nim a wami; weźcie go więc sobie za wzór, naśladowajcie te chrześcijańskie cnoty, przygotujcie duszę swoją, aby była tak jak jego, czysta i bez skazy w oczach Boga.— Oby każdy z was mógł z taką, jak Dominik, wesołością na twarzy i z uśmiechem na ustach odpowiadać Bogu wtedy, gdy prędzej lub później powołany zostanie przed Jego sprawiedliwy trybunał.

Kończę zaś temi słowami: Jeśli odtąd zauważę znaczne polepszenie w postępowaniu swych wychowanków, jeżeli spostrzę, że są pilniejsi w spełnianiu swych obowiązków, bardziej przejęci ważnością życia prawdziwie pobożnego, będę to uważał za owoc dobrego przykładu, danego nam przez naszego Dominika i za łaskę, wyjednana nam jego modlitwami w nagrodę za to, że przez pewien czas byliście mu towarzyszami, a ja nauczycielem“.

Tak przedstawił ks. prof. Picco swoim uczniom głębokie i bolesne wrażenie, jakiego doznał na wieść o śmierci miłego wychowanka Dominika Savio.

ROZDZIAŁ XXVII.

Współzawodnictwo wychowanków Oratorium w naśladowaniu cnót Dominika — Wielu poleca się jego pośrednictwu, celem uzyskania łask niebieskich — Pamiątka dla wszystkich.

Ktokolwiek przeczytał, cośmy o młodziensku Dominiku Savio powiedzieli, ten nie będzie

się dziwił, że mu Bóg tak łaskawie udzielał darów duchowych i że pozwalał, iżby cnoty wiernego sługi zajaśniały w rozmaity sposób. Już za jego życia wielu starało się postępować za jego radami, przykładem, naśladować jego cnoty. Wielu także, zbudowanych wzorowem postępowaniem, świętością życia, niewinnością obyczajów, polecało się jego modlitwom. Opowiadają też o wielu łaskach, otrzymanych od Boga przez modlitwy młodzieniaszka Dominika, gdy jeszcze był przy życiu. Po śmierci wzmogła się jeszcze więcej ufność w jego wstawiennictwo i cześć, jaką mu oddawano.

Zaledwie rozeszła się pomiędzy nami wiadomość o jego śmierci, wielu z jego towarzyszków obwołało go świętym. Zgromadzili się, aby odmówić litanię za zmarłego, lecz zamiast kończyć wezwania nabożnem módl się za nim, lub uprosić wieczny odpoczynek jego duszy, wielu odpowiadało: módl się za nami! Postępowanie swoje tłumaczyli następującą uwagą: jeżeli Dominik, który prowadził życie tak niewinne i święte, nie poszedł prosto do nieba, to któż z nas może powiedzieć, że się tam kiedyś dostanie? Od tego też czasu przyjaciele jego i towarzysze starali się go naśladować w spełnianiu dobrych uczynków i zaczęli mu się polecać jako swemu niebieskiemu pośrednikowi i patronowi.

Prawie codzień opowiadano o łaskach za jego przyczyną otrzymanych, tak duchownych jak doczesnych. Widziałem jednego młodzieńca, cierpiącego na ból zębów, który go doprowadził prawie do szaleństwa. Poleciwszy się krótką modlitwą swojemu towarzyszowi Dominikowi, uspokoił się natychmiast i od tego czasu nie ulegał już temu bolesnemu cierpieniu. Wielu prosiło też o uwolnienie od gorączki i bywali wysłuchani. Ja sam byłem świadkiem, jak pewna osoba została w jednej chwili uwolniona od silnej febry. Mam przed oczyma różne sprawozdania osób, które świadczą o łaskach wyjednanych od Boga za przyczyną Dominika Savio. Lecz chociaż charakter i powaga osób, które potwierdzają te zdarzenia, zasługują pod każdym względem na wiarogodność, to jednak, ponieważ jeszcze żyją, uważam za stosowniejsze zaczekać z tem i pominąć je, zadowolając się przytoczeniem tutaj pewnej szczególnej łaski, jakiej doznał jeden słuchacz filozofii, towarzysz szkolny Dominika. W r. 1858 młodzieniec ów zapadł ciężko na zdrowiu tak, iż musiał przerwać nauki filozoficzne i poddać się długim i różnym kuracyom. Dlatego przy końcu roku szkolnego niepodobna mu była zdawać egzaminu. Leżało mu to bardzo na sercu; chciał go zdać przynajmniej w jesieni, bo w przeciwnym razie straciłby rok nauk. Lecz choroba jego się wzmo-

gła, a nadzieja wyzdrowienia coraz bardziej znikła.

Wrócił więc do wioski rodzinnej. Przepędzwszy czas jesienny z rodzicami i przyjaciółmi, zdawało mu się, że stan jego zdrowia cośkolwiek się polepszył. Przyjechał z powrotem do Turynu, wziął się żywo do nauk, ale zapadł znów na zdrowiu i to jeszcze ciężiej niż przedtem.

— Byłem — mówi — blisko egzaminów, a moje zdrowie znajdowało się w opłakanym stanie. Boleści żołądka i zawroty głowy odbierały mi wszelką nadzieję zdania upragnionego egzaminu, mającego dla mnie największą wagę. Zachęcony zdarzeniami, którem słyszał o moim drogim współtowarzyszu Dominiku, postanowiłem i ja polecić mu się i odprawiłem w tym celu nowennę. Pomiedzy modlitwami, które postanowiłem odmawiać, była i następna: „Drogi towarzyszu i współuczniu, który w świętym zapale współzawodniczyłeś ze mną o pierwszeństwo w klasie, ty wiesz, jak bardzo pragnę zdać szczęśliwie ten egzamina. Uproś mi więc, proszę cię, u Boga tyle przynajmniej zdrowia, abym się mógł na nie przygotować maleńcy i zdać je pomyślnie“. W piątym dniu nowenny moje zdrowie tak dalece się polepszyło, że mogłem się energicznie zabrać do nauki, przygotować się do przepisanych przedmiotów i z nieopisaną radością zdać jak najpomyślniej egzamina. Łaska ta nie

była chwilową, gdyż od tego czasu stale cieszę się czerstwem zdrowiem, jakiego od roku przeszło nie miałem. Uznaję, że dostąpił tej łaski od Boga za wstawienictwem mego towarzysza, mego powiernika za życia, mego pomocnika i pocieszyciela teraz, kiedy się już cieszy chwałą w niebie. Upłynęły już blisko dwa miesiące od czasu, kiedy otrzymałem tę wielką łaskę i stan mego zdrowia jest o wiele pomyślniejszy ku wielkiej mojej radości i pożytkowi, aniżeli dawniej bywał.

Opisem tego zdarzenia kończę żywot młodzieniaszka Dominika Savio, odkładając wiele innych wypadków, które ogłoszę w końcu, jako dodatek, w formie, która będzie najodpowiedniejszą dla większej chwały Boga i dla pożytku dusz.

A teraz, drogi czytelniku, skoroś był łaskaw przeczytać życiorys tego cnotliwego chłopca, chciałbym, abyś wyciągnął ze mną wnioszek, któryby przyniósł prawdziwą korzyść mnie, tobie i wszystkim, którzy będą mieli sposobność czytania tej książeczki; chciałbym, abyśmy wszystkimi siłami starali się naśladować gorliwego młodzieniaszka Dominika w tych cnotach, które są zgodne z naszym stanem. Choć był ubogi i chory, zawsze jednak okazywał radość i wesele na swej twarzy; żył cnotliwie i niewinnie i dlatego też umarł święcie. Naśladujmy go zatem w życiu, a możemy być pewni, że i nasza śmierć będzie tak, jak jego święta i szczęśliwa. Przedewszystkiem zaś na-

ślądujemy Dominika w uczęszczaniu do Sakramentu spowiedzi świętej, który był dla niego bodźcem do ćwiczenia się w cnotach, pewnym przewodnikiem, prowadzącym go do tak chwalebnego zwycięstwa. Przystępujemy często i z należytem przygotowaniem do tej krynicy łask; lecz ilekroć do niej przystąpimy, przypomnijmy sobie naszą spowiedź ostatnią, aby się przekonać, czy była dobrze odprawiona. A jeśli będziemy mieli coś do wyrzucenia sobie w tym względzie, postarajmy się naprawić to jak najrychlej. — Zdaje mi się, że jest to środek najpewniejszy, aby mimo utrapień doczesnych szczęśliwie przepędzić dni swego życia i spokojnie oczekiwać chwili śmierci. Wtenczas z wesołym obliczem, ze spokojnem sercem pójdziemy na spotkanie Jezusa Chrystusa, który nas przyjmie łaskawie i osądzi według wielkiego miłosierdzia swego i, jak mam nadzieję, zaprowadzi mnie i ciebie, miły czytelniku, po tych cierpieniach ziemskich do wiecznej szczęśliwości, abyśmy Go tam chwalili i błogosławili po wszystkie wieki!



Kapliczka nad grobem Dominika Savio.

CZEŚĆ II.

Chwała Dominika Savio.

Wielebny Jan Bosko w przedmowie, tudzież w rozdz. XX. niniejszego dziełka, każe przypuszczać, że niejedna rzecz mogła być lepiej wyświetlona, oraz że Pan Bóg dziwnych rzeczy raczył dokonać w świątobliwym młodzieniaszku. Wiele szczegółów z jego życia w najwyższy sposób budujących a graniczących z cudownością, poszło całkiem w zapomnienie *). Jeżeli z jego życia (jak z życia Wielebnego Jana Bosko) zachowało się sporo pamiątek, to mamy to do wdzięczenia następującemu zdarzeniu:

Dnia 21-go marca 1858 r. Papież Pius IX. przyjmował u siebie na posłuchaniu ks. Jana Bosko, który Ojcu św. zdał sprawę z początków założonych przez siebie zakładów w Turynie, wyłuszczać przyczyny, które go skłoniły do rozpoczęcia tej sprawy i opowiadając szczegółów,

*) Adwokat Fino, kolega Dominika Savio z ławy szkolnej, uratował dla potomności sporą wiązaną wspomnień o świątobliwym współluczniku w dziele p. t. „Domenico Savio, Memorie biografiche“.

co się w nich działo, i z jakimi trudnościami musiał walczyć. Ojciec św. słuchał uważnie, ile to przeciwieństw, grózb, prześladowań i złudnych obietnic zważyło się na ks. Bosko przy zakładaniu pierwszego Oratoryum i przypominając niejako to, co on sam musiał wycierpieć z powodu rozruchów politycznych, dodał:

— *Zaprawdę, ambulavimus per vias difficiles* — kroczyliśmy po drogach trudnych.

Ks. Bosko rzekł z uśmiechem:

— Ale za łaską Bożą *non lassati sumus in via iniquitatis* — nie zmarnowaliśmy sił na drodze nieprawości — i opowiadał dalej, ile dobrego za pomocą Bożą dało się już zdziałać i jak wielu chłopców o nadzwyczajnych cnotach żyło i żyje w Oratoryum. Tu mowa zesłała na Dominika Savio i ks. Bosko opowiedział jego widzenie, dotyczące się Anglii (p. I. rozdz. str. 103).

Na to Ojciec św. spojrzał badawczym wzrokiem w oczy ks. Bosko i zapytał, czy i on nie miał jakiego cudownego znaku w sprawie założenia swojej instytucji. A ponieważ ks. Bosko chciał się wykręcić półsłówkami, Pius IX. nalegał, by mu opowiedział wszystko, co mogło mieć bodaj tylko cień cudowności.

Wtedy ks. Bosko z otwartością synowską opowiedział, co się jego wyobraźni przedstawiało

w dziwnych snach, z których niektóre spełniły się istotnie. Ojciec św. słuchał go z żywym zajęciem i wzruszeniem, a nakoniec rzekł:

— Wróciwszy do Turynu, spisz te sny i wszystko, coś mi tu opowiedział, i zachowaj to jako rodzinną pamiątkę dla swego Zgromadzenia. Będzie to ku pokrzepieniu i pokierowaniu serc twoich synów.

Ks. Bosko usłuchał rady Ojca św. i w archiwum Zgromadzenia Salezyjańskiego przechowuje się z religijnem uszanowaniem rękopis p. t. *Memorie dell'Oratorio dal 1835 al 1855. Esclusivamente pei Soci Salesiani*. Pamiętnik Oratoryum od roku 1835 do 1855. Wyłącznie dla członków Zgromadzenia Salezyjańskiego.

Ale owe dziwne sny czy widzenia nie skończyły się u ks. Bosko z r. 1855. I tak wieczorem 22 grudnia 1876, zebrany w rozmównicy przełożonym, studentom i rzemieślnikom opowiadał ks. Bosko następujące zdarzenie, które uważamy za obowiązek przytoczyć tu w całości. Czynimy to zwłaszcza dlatego, że potwierdza ono to osobliwsze przekonanie wszystkich, iż Dominik Savio zaraz po swojej śmierci poszedł do nieba.

„Owego wieczora, kiedym się zatrzymał w Lanzo — tak rozpoczął ks. Bosko swoje opowiadanie — mając się udać na spoczynek, miałem następujący sen, który wam oto zamierzam

opowiedzieć. Wiadomo wam, że wobec was moich synów nie mam żadnej tajemnicy — przed wami otwieram całe swoje serce. Więc postanowiłem opowiedzieć wam i niniejszy sen, o którym wam wolno sądzić, co wam się podoba. Ale ponieważ św. Paweł mówi: *Quod bonum est, tenete* — co dobre jest, dzierzcie, przeto, jeśli znajdziecie w nim coś, co wam może być pożyteczne dla duszy, to się tem posługujcie. Tylko wam polecam nie mówić o tem z osobami, nie należącemi do zakładu, ani nawet nie pisać o tem w listach.

Snom nie należy przypisywać więcej wagi jak one na to zasługują, a więc osoby, nie znające naszych serdecznych stosunków tutaj w domu, mogłyby je mylnie ocenić i nazwać całkiem inaczej, a nie snami. One bowiem nie wiedzą, że wy jesteście moimi najukochańszymi synami duchownymi tudzież, że wam opowiadał wszystko, co wiem i nawet czego nie wiem. (Powszechny wybuch śmiechu).

Każdy wie, że człowiek śni wtedy, gdy śpi. Otóż w nocy 6-go grudnia, nie wiem, czy przy stoliku, czy chodząc po pokoju, czy też spoczywając w łóżku, miałem następujące senne widzenie.

Zdawało mi się, że jestem na małym wzgórzu, na krańcu niezmiernej równiny, której granic oko nie mogło dosięgnąć. Wzrok gubił się

w bezmiarze. Równina cała miała kolor błękitny, jak morze przy pełnej pogodzie... Dzielila się na ogrody przedziwnej piękności, zdobiły ją sady i gaiki o różnych kształtach i kolorach. Żadne z naszych drzew nie może nam dać pojęcia o tamtych. Trawki, kwiaty i drzewa miały swoje właściwe kształty, czarujące. Listki były złote, pnie i konary dyamentowe. W pośrodku tych ogrodów widziałem sporo domów rozrzuconych tu i ówdzie po całej równinie, a tak czystych i pięknych, że sobie pomyślał:

— O gdyby tak moi chłopcy mieli bodaj jeden z tych pałaców, jakżeby się czuli szczęśliwi i jakby chętnie w nim mieszkali!

Tak rozumowałem, sądząc z samego tylko ich zewnętrznego wyglądu. Jakaż dopiero musiała być ich wspaniałość na wewnątrz!

Podczas gdy tak stał olśniony tą wspaniałością, uderzyła nagle mój słuch muzyka tak słodka, tak miła i harmonijna, że wobec niej ks. Cagliero i p. Dogliani mogą się skryć ze swoimi utworami. Sto tysięcy instrumentów wygrywało tony rozmaite i wszystkie możliwe głosy rozlewały w powietrzu swoje brzmiące fale. Do nich przyłączyły się chóry śpiewaków. Naonczas zobaczyłem rzeszę ludu znajdującego się w ogrodach. Jedni grali, drudzy śpiewali. Każdy głos, każda nuta robiła wrażenie, jakby była wydobyta z tysiąca różnych instrumentów, a przytem

było słyhać równocześnie różne stopnie skali harmonijnej, od najwyższych do najniższych, ale wszystkie w doskonałej zgodności tonów. Ale trudno: aby tę harmonię opisać, nie wystarczy żadne ludzkie porównanie. Krom tego znać było, iż każdy nietylko śpiewał, ale rozkoszował się śpiewem drugih.

„Salus, honor, gloria Deo Patri Omnipotenti... Auctoris aeculi, qui erat, qui est, qui venturus est iudicare vivos et mortuos in saecula saeculorum“ — Zbawienie, cześć, chwała Bogu Ojcu Wszechmocnemu... Stwórcy świata, który był, który jest, który przyjdzie sądzić żywych i umarłych na wieki wieków.

Podeczas, gdym w zachwycie słuchał onej harmonii, zjawia się naraz mnóstwo chłopców. Wielu z nich było tutaj w Oratorium lub w innych zakładach, więc wielu z nich poznałem, ale największa część była mi całkiem nieznaną. Zbliżali się ku mnie.

Na ich czele szedł Dominik Savio, tuż za nim ks. Allassonatti, ks. Chiala, ks. Giulitto i wielu innych kapłanów i kleryków; każdy z nich prowadził orszak chłopców.

Zapytałem samego siebie: Jestże to we śnie czyli też na jawie? i klasnąłem w dłonie... i chwyciłem się za piersi, by się przekonać, czy to rzeczywistość, co się przedstawia moim oczom.

Rzesza stanęła przede mną, zatrzymując się na ośm lub dziesięć kroków odległości. Wówczas zabłysło żywsze światło, muzyka umilkła i nastąpiła głęboka cisza. Z oczu tych chłopców biła radość bezgraniczna. Dominik sam jeden posunął się kilka kroków naprzód. Stał tak blisko mnie, że gdybym był wyciągnął rękę, byłbym go niechybnie dotknął. Mileczał i spoglądał na mnie z uśmiechem. Jakże był piękny! Ubranie jego było całkiem szczególne. Bielusiénka sukienka, cała wysadzana dyamentami, spływała mu aż do stóp. Czerwona przepaska z pereł otaczała jego biodra. Z szyi zwisał mu wieniec kwiatów nie widzianej dotąd piękności, jaśniejących nadziemskim blaskiem, o wiele silniejszym od blasku słońca, które właśnie w tej chwili błyszczało w całej wspaniałości wiosennego poranku i odbijało swoje promienie z niewysłowioną pięknnością na białem i rumianem obliczu młodziana. Jego skronie zdobił wieniec różany. Włos spływał mu bujnie w lekkich kędziorach na ramiona i nadawał jego postaci wyraz tak śliczny, tak ujmujący, że wydawał się... aniołem.

Jego towarzysze byli ubrani w różny sposób, ale wszyscy w blasku i wszyscy przepasani jednakowym, czerwonym paskiem.

Patrzałem na nich z zachwytem i drżeniem, nie wiedząc, gdzie się znajdują...

Nareszcie Dominik otworzył usta i przemówił:

— Nie tyś-że to tym mężem, który się ongi nie lękał niczego? który nieustraszony znosił potwarze i prześladowania wrogów? Gdzie męstwo twoje? Czemuś zdjęty strachem? Dlaczegoś zamilkł!

Ja odpowiedziałem:

— Nie wiem, co mówić. Więc ty jesteś Dominik Savio?

— Tak, to ja, czy mnie nie poznajesz?

— Jakim sposobem dostałeś się tutaj? — dodałem nieśmiało.

Savio odrzekł serdecznie:

— Przyszedłem, by z tobą pomówić. Ileż my to razy mówiliśmy ze sobą na ziemi! Nie przypominasz sobie, jak bardzo mnie kochałeś i ileś mi dał dowodów przyjaźni i życzliwości? A czylił może nie odpowiadał twoim staraniom? W tobiem położył całą moją nadzieję. Dlaczego więc drżysz?

— Drzę — odpowiedziałem, dodając sobie otuchy — bo nie wiem, gdzie się znajduję.

— Znajdujesz się w miejscu szczęśliwości.

— Więc to tutaj nagroda sprawiedliwych?

— Przenigdy! Jesteśmy w miejscu rozkoszy nie wiecznych, ale tylko doczesnych, aczkolwiek wielkich.

— A ja sądziłem, że to niebo.

— Nie, nie; żadne oko śmiertelne nie może widzieć piękności wiecznych...

— A ta światłość, jest-li nadnaturalna, z nieba?

— To światło naturalne, tylko spotęgowane wszechmocą Bożą.

— A nie możnaby zobaczyć choć trochę światła nadprzyrodzonego?

— Nikt go nie może widzieć, dopóki nie został przypuszczony do oglądania Boga. Najmniejszy promyk tego światła zabiłby na miejscu człowieka.

— A czy można mieć światło naturalne piękniejsze od niniejszego?...

— Tak jest, można... Patrz! — Spojrzałem: w dali błysnął cieniutki promyczek tak jaskrawego blasku, że zamknąłem oczy i krzyknąłem silnie, i zbudziłem ks. Lemoyne, śpiącego w sąsiednim pokoju. Ów blask był sto milionów razy silniejszy od słońca i jaskrawość jego zdołałaby oświetlić cały wszechświat...

Po chwili otworzyłem oczy i zapytałem Dominika:

— Co to jest? Nie byłże to odbłysek światłości Bożej?

— Nie, to nie światło nadprzyrodzone, choć w porównaniu z światłem słonecznym, przewyższa je swoim blaskiem. Jest to zwykłe światło naturalne, spotęgowane do tego stopnia mocą Bożą.

Ale chociażby nieprzejrzana warstwa światła podobnego do owego promienia tam na krańcu widnokręgu, opasała całą ziemię, jeszczeby ci nie dała pojęcia o blasku niebieskim.

— A wy, czemu się cieszyacie w niebie?

— Tego opowiedzieć niepodobna. Potrzeba wpieryw pożegnać się z życiem, aby się tego dowiedzieć... Cieszymy się Bogiem... Oto wszystko.

Ja tymczasem przyszedłem całkiem do siebie i zatopiłem się w podziwianiu piękności Dominika i jego towarzyszków. Potem zapytałem go już całkiem śmiało:

— Czemu masz szatę tak białą i lśniącą?...

Tu Dominik zamilkł; za to chór zaczął na nowo śpiewać swoją harmonię i śpiewał z towarzyszeniem wszystkich instrumentów:

Ipsi habuerunt lumbos praecinsanguine Agni — Ci mieli biodra przepasane i wybielili szaty swoje w krwi barankowej.

Gdy śpiew ustał, zapytałem:

— A dlaczego masz czerwoną przepaskę na biodrach?

Savio wciąż milczał, a ks. Alassonati zaśpiewał sam:

Virgines enim sunt et sequuntur Agnum, quocumque ierit — Bo dziewicami są i chodzą za Barankiem, gdziekolwiek idzie.

Zrozumiałem wtenczas, że przepaska ona była symbolem ofiar i prawie męczeństwa poniesionego dla zachowania cnoty czystości... A zachwycony śpiewem i zastępami niebiańskiej młodziei zszeregowanej za Dominikiem, zapytałem go:

— Cóż to za chłopcy, co cię otaczają?

Savio milczał, a wszyscy owi chłopcy zaśpiewali:

Hi sunt sicut Angeli Dei in coelo — Ci są jako Aniołowie Boży w niebiesiech.]

Tymczasem zauważyłem, że Dominik miał pewne przewodnictwo nad całą oną rzeszą, która trzymała się od niego w odległości jakich dziesięciu kroków, jakby z uszanowania. Dlatego rzekłem:

— Powiedz mi, mój Dominiku, tyś był młodszym od wielu z tych, co umarli w naszych domach. Czemuż tedy idziesz tu na czele innych przedzasz ich? Czemu ty przemawiasz, a inni milczą?

— Jestem najstarszym ze wszystkich!

— Nie — odpowiedziałem — wielu innych jest starszych od ciebie w latach.

— Jestem najdawniejszym z Oratoryum... Zresztą *Legatione Dei fungor* — Poselstwo Boże sprawuję.

Odpowiedź ta naprowadziła mnie na zrozumienie przyczyny tego objawienia. Savio był wysłańcem Bożym!

— A zatem mówmy o rzeczach, które nas w tej chwili więcej obchodzą — rzekłem.

— Tak, a spiesz się, bo godziny uciekają i mógłby się skończyć czas, dany mi do rozmówienia się z tobą.

— Zdaje mi się, że mi masz coś ważnego do powiedzenia.

— Co ja ci mam powiedzieć, ja biedne stworzenie — rzekł Dominik z postawą głębokiej pokory — z góry otrzymałem posłannictwo, aby się z tobą rozmówić i dlatego przybyłem.

— A więc opowiadaj mi o teraźniejszości, o przeszłości i o przyszłości naszego Oratorium — zawołałem. — Powiedz mi o moich drogich synach, mów mi o mojem Zgromadzeniu.

— Co do niego miałbym ci wiele do opowiadania.

— Powiedz mi tedy, co tylko o niem wiesz. Mów o jego przeszłości.

— Przeszłość cała na tobie.

— Sprawilem się czasem po swojemu, co?

— Co do przeszłości, zaznaczam ci, że Zgromadzenie twoje zdziało już wiele dobrego. Widzisz tam w głębi tę nieogarnioną liczbę chłopców?

— Widzę!... Oh! jakże ich wiele! Jak oni szczęśliwi!

A Dominik rzekł:

— Przeczytaj napis u wnijsca do onego ogrodu.

— Widzę — odpowiedziałem — napis brzmi: „O g r ó d S a l e z y a ń s k i“.

— Owóz tedy tamci byli wszyscy Salezyanami albo zostali wychowani przez ciebie albo mieli z tobą jaki stosunek, zostali zbawieni przez ciebie, albo przez twych księży albo przez twych kleryków albo przez innych, których ty pokierowałeś na drogę ich powołania. Policz ich, jeśli potrafisz. Ale byłoby ich sto milionów razy więcej, gdybyś był miał więcej wiary i ufności w Bogu.

Westchnąłem z jękiem; nie wiedziałem co odpowiedzieć na tę przyganę i postanowiłem w swem sercu: na przyszłość będę się starał mieć tę wiarę. Potem rzekłem:

— A terazniejszość?

Wtenczas Dominik pokazał mi cudnie piękną wiązanekę kwiatów, którą trzymał w ręku. Były tam róże, fiołki, słoneczniki, goryczka, lilia, myrt, a wśród kwiatów kilka kłosów pszenicy. Podał mi wiązanekę i rzekł:

— Przypatrz się!

— Widzę — odpowiedziałem — ale nie nie rozumiem.

— Bukiet ten pokaż twojej dziatwie; spraw, by go każdy posiadał, by nikt nie był bez niego,

tudzież, by nikt nie dał go sobie zabrać. On im wystarczy do całkowitego szczęścia.

— Ale co ten bukiet ma oznaczać?

— Zjrzyj do teologii, ona ci to powie.

— Uczyłem się teologii, ale nie wiem, jak z niej wyłómaczyć to, co mi ty przedkładasz.

— Jesteś ściśle obowiązany znać te rzeczy.

— Zlituj się, wyrwij mnie z kłopotu, wyłómacz mi to.

— Widzisz te kwiaty? Otóż przedstawiają one cnoty, które się najwięcej podobają Bogu.

— A któreż to są?

— Róża oznacza miłość, fiołek pokorę, słonecznik posłuszeństwo, goryczka pokutę i umartwienia, kłosa pszenicy częstą Komunię świętą, lilia cnotę anielskiej czystości, o której napisano: *Erunt sicut Angeli Dei in coelo* — Będą jako Aniołowie Boży w niebiesiech. Mirt oznacza wytrwałość.

— Dobrze, mój drogi Dominiku, ty, coś za życia we wszystkich tych cnotach się ćwiczył, powiedz, co ci sprawiło największą pociechę w godzinie śmierci?

— Jak sądzisz, co to mogło być? — zagadnął mnie Savio.

— Może to, żeś zachował cnotę anielską?

— Nie to jedynie!

— Może to, żeś miał spokojne sumienie?

— Dobra to rzecz, ale jeszcze nie najlepsza!

— Może nadzieja nieba?

— Ani to!

— Cóż tedy? Może to, żeś sobie uzbierał skarb dobrych uczynków?

— Nie, nie!

— Mówże więc, cóż to było? — nalegałem zmieszany i głosem błagalnym widząc, żeś nie był zdolny odgadnąć.

A Dominik:

— Owóż, co mi przyniosło najwięcej pociechy w chwili śmierci, to obecność potężnej i ukochanej Matki Boga. Powiedz to twym dzieciom, że dopóki żyją, niech się do Niej nie przestaną modlić... Ale spiesz się, jeśli chcesz, bym ci jeszcze co innego opowiedział.

— Co mi powiesz o przyszłości?

Co do przyszłości: w przyszłym roku 1877 będziesz miał wielką boleść: sześciu i dwóch z pomiędzy twoich najdroższych zostaną przez Boga powołani do wieczności, ale będą przesadzeni z tego świata do ogrodów rajskich i ukoronowani... Ale Pan Bóg ci dopomoże i ześle innych synów, także dobrych *).

*) Przepowiednia spełniła się z całą dokładnością. Z rejestrów prefektury zakładowej wynika, że zmarłych w roku 1877 w Oratoryum było 6 + 2, a mianowicie: Jan Briatore, Wiktor Strolengo, Stefan Mozzoglio, Natalis Garola, Antoni Bagnati, Alojzy Boggiatto i dwaj Salezianie: kleryk Michał Giovanetti i kleryk Karol Becchio.

— A co będzie z Zgromadzeniem?

— Co do Zgromadzenia pamiętaj, że Bóg gotuje ci wielkie rzeczy. Dla niego w przyszłym roku wszędzie blask chwały tak wspaniałej, że niby błyskawica rozświeci cztery krańce świata, od wschodu na zachód, od południa na północ! Zgotowana mu jest wielka chwała *). Ale ty uważaj, by wóz Pański nie został przez twoich zepchnięty z szyn i z toru. Jeżeli twoi kapłani będą potrafili prowadzić go tak dobrze i staną się godnymi wysokiego posłannictwa, przyszłość będzie jeszcze wspanialsza i przyniesie zbawienie niezliczonym osobom. Ale to pod jednym warunkiem: Jeżeli synowie twoi będą nabożnymi do Najśw. Panny i jeżeli będą umieli zachować cnotę czystości, która się tak wielce podoba Majestatowi Bożemu!...

— Terazbym pragnął, byś mi powiedział coś o Kościele świętym wogóle.

— Losy Kościoła są w rękach Boga Stworzyciela. On zachowuje wyłącznie dla siebie takowe tajemnice.

— A o Piusie IX?

— Co ci mogę powiedzieć, jest to, że nie będzie już potrzebował wiele walczyć, by zostać

*) Widocznie zostało tu zapowiedziane wydawnictwo „Wiadomości Salezyjańskich“, które się rozpoczęło w drukiem półroczu 1877, a w roku 1914, jego nakład wynosił 298.000 egzemplarzy w 9 różnych językach.

ukoronowanym. Niebawem zostanie zabrany ze stolicy, a Pan da mu zasłużoną nagrodę. Ale Kościół nie zachwieje się... Masz jeszcze coś do zapytania?

— A cóż ze mną? — rzekłem.

— O, gdybyś wiedział, ile rzeczy masz jeszcze przeprowadzić... Ale śpiesz się, bo już tylko krótko mogę z tobą zabawić.

Wtedy z uniesieniem wyciągnąłem ręce, by objąć świętego młodzieniaszka, ale jego ręce zdawały się nikłe i nie uściśnąłem nic.

— Co robisz? — rzekł mi Savio z uśmiechem.

— Boję się, że mi umkniesz. Czyś tutaj jest obecny z ciałem? Czemże tedy są te twoje rysy, wszak spoglądam rzeczywiście na postać Dominika Savio...

— Widzisz, gdy z woli Bożej ukaże wam się dusza rozdzielona z ciałem, przedstawia ona oczom waszym zewnętrzną postać ciała, któremu dawała życie; więc tobie się zdaje, jakobym ja miał ręce i nogi i głowę, ale nigdy nie zdołasz mnie zatrzymać, bo teraz jestem już czystym duchem. Tylko te kształty zewnętrzne sprawiają, że mnie możesz rozpoznać.

— Rozumiem, ale jeszcze słówko! Słuchaj, czy moi chłopcy są wszyscy na drodze do zbawienia?

— Co do chłopców, danych ci przez Opatrzność Boską, można ich podzielić na trzy klasy: —

czy widzisz te trzy spisy? — A podając mi pierwszy, rzekł:

— Przypatrz im się.

Przypatrzyłem się pierwszemu spisowi pod nagłówkiem: *In v u l n e r a t i* — niezranieni; były tam imiona tych, których dyabeł nie zdołał zranić, którzy nie splamili żadnym grzechem swą niewinności. Była ich spora liczba i widziałem ich wszystkich. Wielu znałem, wielu zobaczyłem po raz pierwszy, a może mają dopiero w przyszłych latach przybyć do Oratorium. Kroczyli prosto, mimo że z wszystkich stron sypały się na nich strzały i cięcia mieczowe.

Wtedy Dominik podał mi drugi spis pod nagłówkiem: *V u l n e r a t i* — zranieni, czyli tych, którzy byli upadli w grzech, ale teraz powstawszy, wyleczyli rany swoje pokutą i spowiedzią. Byli we większej liczbie aniżeli pierwsi; przeczytałem spis i zobaczyłem ich wszystkich...

Savio miał jeszcze trzeci spis.

Nagłówek na nim był: *L a s s a t i i n v i a i n i q u i t a t i s* — upadający ze znużenia na drodze nieprawości, a zawierał imiona wszystkich tych, co się znajdowali w niełasce u Boga. Pilno mi było poznać sekret. Wyciągnąłem przeto rękę, ale Dominik odparł z żywością:

— Nie, zaczekaj chwilę, bo gdybyś otworzył ten papier, wyszedłby z niego zaduch, którego ani ty ani ja nie zdołalibyśmy wytrzymać. Anio-

łowie go nie znoszą a sam Duch Święty brzydzi się ohydny smrodem grzechu.

— Ale jakże to być może, jeśli Bóg i Aniołowie są niecierpieliwi?

— Dzieje się to tym sposobem, że stworzenia im lepsze i czystsze, tem stają się bliższe i podobniejsze duchom niebieskim, a im ktoś jest gorszy i nieczystszy, tem samem oddala się od Boga i Aniołów, a oni nawzajem uciekają od niego.

Tu wręczył mi trzeci spis.

— Bierz, rzekł, a umiej z niego korzystać dla dobra twoich chłopców. Przedewszystkiem spamiętaj sobie ową wiązaną kwiatów i staraj się, by wszyscy ją posiadali i zachowali.

To powiedziawszy, cofnął się, a raczej odskoczył prawie ode mnie. Otworzyłem spis. Nie zobaczyłem żadnego nazwiska, ale stały mi przed oczyma wszystkie jednostki tamże zanotowane, jakbym na nie patrzył w rzeczywistości. Zobaczyłem ich wszystkich i to z goryczą! Większą ich część znałem, a należeli do tego Oratorium i do innych zakładów. Widziałem wielu, co wpośród towarzyszy uchodzili za dobrych, niektórzy nawet za najlepszych a w rzeczy samej nie byli takimi.

Ale w chwili otwarcia spisu wybuchnął z niego smród tak nieznośny, że mi się zdawało iż umrę. Tymczasem wokoło mnie zrobiło się ciemno, widzenie znikło i nie widziałem już nic z całego przedziwnego zjawiska. Jednocześnie bł-

snęło się, ciężki grzmot wstrząsnął powietrzem, tak, że się zbudziłem w przestraszu.

Ów fetor wsiąkł we wszystkie ściany, wniknął w moje ubranie do tego stopnia, że długo potem jeszcze zdawało mi się, że czuję ów smród straszliwy. Jeszcze teraz na samo jego wspomnienie przechodzą mnie dreszcze, oddech mi zapiera, a równocześnie zbiera się na womitowanie.

Tam w Lanzo, gdzie się znajdowałem, pęczałem wypytywać tego i owego, upomniałem wielu chłopców i przekonałem się, że sen mnie nie oszukał. Więc to łaska Boża sprawiła, że m poznał stan duszy każdego, ale o tem nie powiem publicznie. Byłoby tu wiele do wytłumaczenia, ale odkładałam to na inny wieczór. Dziś nie pozostaje mi już nic innego, tylko życzyć wam dobrej nocy“.

Podobne widzenie krótko po śmierci Dominika miał ojciec naszego młodzieniaszka, którego żywot podajemy. Ojciec osobiście nam je opowiedział, jak następuje:

„Strata mego syna pogrążyła mnie w najgłębszym smutku, który mnie coraz więcej trawił i gorąco pragnąłem dowiedzieć się, co się też z Dominikiem stało na tamtym świecie. I Pan Bóg raczył mnie pocieszyć. Miesiąc po jego śmierci, gdy pewnej nocy nie mogłem w żaden sposób zasnąć, nagle zdało mi się, że powała mojego pokoju roztwiera się i ukazuje się Dominik

w wielkiej jasności z twarzą uśmiechniętą i wesołą, ale z wejrzeniem majestatycznym i imponującym. Na to niespodziewane zjawisko osłupiałem:

— O Dominiku! — zacząłem wołać — mój Dominiku, jak się masz? Gdzież jesteś? Jesteś już w niebie?

— Tak, tato! — odpowiedział — jestem już w niebie.

— O synu — rzekłem — kiedy ci Bóg udzielił tej wielkiej łaski zażywania chwały niebieskiej, to módl się za twoich braci, siostry, ażeby mogli kiedyś pójść cieszyć się z tobą nieskończoną szczęśliwością w niebie. Módl się także za mnie i za matkę twoją, abyśmy mogli wszyscy zobaczyć się i wspólnie się cieszyć przed tronem Najwyższego!

— Tak, tak, będę się modlił.

To powiedziawszy, znikł, a pokój, jak pierwszej, pograżył się w ciemnościach.

Ojciec zapewnia, że mówi szczerą tylko prawdę, że ani przedtem, ani potem, ani we śnie, ani na jawie nie miał już podobnego objawienia.

O niektórych łaskach, otrzymanych od Boga za przyczyną Dominika Savio.

Z licznych łask, przypisywanych pośrednictwu Dominika Savio, wybiorę tylko niektóre, mniej nadzwyczajne.

W kuryi arcybiskupiej w Turynie jest autentyczne sprawozdanie łask, stwierdzone podpisami tych, którzy ich doznali i złożyli o nich publiczne zeznanie. Aby więc przedłożyć rzeczy w prawdziwym świetle i jak najdokładniej, uważam za najodpowiedniejsze, przepisać dosłownie zdarzenia z wyżej wymienionych relacyi. Przedstawione są w następujący sposób:

Uzdrowienie z natarczywej febry.

Jeżeli obowiązkiem chrześcijanina jest ukrywać takie zdarzenia, które mu mogą przynieść pochwałę, to z drugiej strony powinien wyjawiać takie rzeczy, które mogą przyczynić się do wywyższenia sług Bożych i do pomnożenia chwały Bożej wśród ludzi. Ten to właśnie obowiązek skłania mnie do ogłoszenia wypadku, odnoszącego się do sługi Bożego Dominika Savio, którego uznaję za swego patrona przed Bogiem i za obrońcę mojej rodziny.

Kilka razy, idąc za przykładem innych, poleciłam się była młodzieniaszkowi Alojzemu Comollo i Pan Bóg w nieskończonem swem miłosierdziu zawsze mnie wysłuchał. Kilka razy również wzywałam pomocy Dominika Savio i doznałam zawsze skutków jego wstawiennictwa przed Bogiem. Z różnych przyczyn wypada mi zamilczeć niektóre wydarzenia; aby się jednak wy-

wiązać z danej obietnicy, muszę przynajmniej jedno ogłosić, jużto aby oddać winną cześć Bogu, jużto aby wsławić przed światem wiernego sługę Bożego, którego Pan Bóg uczynił szafarzem swych darów.

Oto zdarzenie: opowiadałam szczerą i sumienną prawdę.

Dnia 8. września 1858 r. zapadłam na chorobę żołądkową, przeleżałam kilka tygodni w łóżku, ale zamiast polepszenia dostałam strasznych dreszczów. Używałam wszelkich środków leczniczych, ale daremnie. Owszem mój wąty organizm już przedtem słabowity, zapadł wkrótce na ciężką chorobę i doszedł do zupełnego wycieńczenia. Lekarstwa, badania lekarzy, zmiana powietrza i miejscowości, nie przyniosły mi żadnej ulgi. Do cierpień fizycznych przyłączyły się cierpienia moralne, które rosły coraz bardziej dlatego, że będąc matką nie mogłam spełniać swych obowiązków rodzinnych. O! jak nieszczęśliwą czułam się wtedy! Przykuta do łóżka, zwątpiwszy zupełnie o lekarzach i lekarstwach, znikąd nie mogłam wyglądać ratunku, chyba tylko z nieba i w tem się też nie zawiodłam. Wyszedł był w tych dniach żywot Dominika Savio. Zachęcona anielskimi enotami, jakimi w życiu swem zajaśniał, a jeszcze więcej łaskami, jakich inni za jego przyczyną doznawali, postanowiłam mu się polecić i prosić go o ulgę w swych cierpieniach.

W nocy zatem, 20 lutego 1885 r., ufna w pomoc Boga, która się w obfitości udziela za pośrednictwem jego wiernych sług i pragnąc doznać jakiej pociechy w swych strapieniach i ulgi w boleściach, wypowiedziałam te słowa:

„O Dominiku Savio, który w kilkunastu zaledwie latach do takiej doskonałości potrafiłeś dojść, potwierdź potęgę i dobroć Boga, daj mi poznać, żeś jest rzeczywiście w niebie i że z owego miejsca szczęśliwości wiecznej opiekujesz się twoimi czcicielami! Wyproś mi u Boga łaskę, abym została uwolniona od bólei i odzyskała pierwotne zdrowie. Przysięgam ci, że, gdzie tylko będę mogła, będę opowiadała łaskę za twoją przyczyną od Boga otrzymaną.“

Zaledwie skończyła te słowa, gdy uczuła nagle wstrząśnięcie po całym cieie. Doznałam natychmiast ulgi na duchu, ustały wszystkie bólei, febra znikła, a słodki sen skleił mi powieki tak, iż spałam przez całą noc. Rano byłam już całkowicie zdrową.

Dr. Froła po dokonanych badaniach, nie mógł się dość nadziwić:

„Nie wiem, rzecze, jaki środek mógł tak pani dopomódz. Bez wątpienia jest w tem palec Boży.“

Wstałam z łóżka wyleczona zupełnie z choroby, która wymagała kilkumiesięcznej przynajmniej rekonwalescencji.

Upłynęło już odtąd ośm miesięcy; w tym międzyczasie, zaco niechaj będą dzięki Bogu i przyczynie jego sługi Dominika, nie uczułam najmniejszej dolegliwości.

Pragnę, aby wszystko to, co tutaj otwarcie opowiadam, było publicznie ogłaszane, gdziekolwiek się osądzi, że to może być na większą chwałę Bożą i pożytek dusz; jestem gotowa potwierdzić to samo przed jakąkolwiek osobą.

Odtąd często się uciekałam pod opiekę tego świętego młodzieniaszka i zawsze zostałam wysłuchana.

Niechaj to zdarzenie wzbudzi ufność w sercach innych chrześcijan, aby się uciekali do tego źródła błogosławieństw Bożych i znaleźli w swych duchownych i doczesnych potrzebach skuteczną rękojmnię w tym, który święcie żył na ziemi, a dzisiaj chwalebnie opiekuje się nami z nieba.

T u r y n, 15. października 1858 r.

H r a b i n a B u s c h e t t i

z Mezenile.

Uzdrowienie z ciężkiego bólu oczu.

Było to w roku 1858 pod koniec maja, kiedy nagle zostałam złożony ciężką chorobą oczu. Choroba dręczyła mnie aż do listopada 1859 roku.

Od miesiąca marca tego roku boleści wzmogły się tak dalece, że byłem zmuszony z początku od-

łożyć na czas prawie wszystkie moje studia, w końcu zaś zaniechać ich całkowicie. W pierwszych dniach lipca choroba moja powiększyła się do tego stopnia, że sam zakład, w którym mi było bardzo wygodnie, zdawał mi się nieznośny.— Z powodu choroby, a także z nieukożonego smutku na widok współuczniów, starających się o dobry wynik zbliżających się egzaminów, musiałem się udać do domu. Sądziłem, że tu nastąpi zmiana w mem zdrowiu i rzeczywiście też nieco się polepszyło. Wnet jednak choroba się powiększyła i przybrała rozmiary groźniejsze niż na początku. Udałem się tedy do kilku lekarzy. Jeden z nich przepisał mi czterysta pigułek, nie wiem jakiego rodzaju. Zążyłem je i uczyniłem dokładnie wszystko, co mi polecono, lecz nadaremnie. Puszczono mi cztery razy krew, ale stan zdrowia się nie zmienił. Pięć razy stawiano mi bańki za uszami, ale ani to nie przyniosło mi najmniejszej ulgi.

Przywołałem znów kilku innych doktorów, specjalistów, mianowicie: Dr. Sperinia, Dr. Fissore, Dr. Paganini, jednakże i oni po różnych próbach oświadczyli mi bez ogródki, że nie znają jeszcze dotąd sposobu wyleczenia mojej choroby. Wtedy już zwątpiłem o wszystkim i nie wiedziałem, co dalej począć. Cały czas musiałem spędzać w ciemnym pokoju. Każda zabawa stawała mi się wstrętną, a oczy tak strasznie się rozogniły,

że wydawały się jak dwie kulki otoczone szkarłatem. Jednakże przy końcu września uczułem jakąś ulgę. Dlatego, spodziewając się, że wkrótce wyzdrowieję, udałem się znów do zakładu. Jednakże nie przeszły dwa tygodnie, a stan oczu tak się pogorszył, że zwątpiono, czy się będę mógł dalej oddawać naukom. Wtedy przystawiono mi kilkakrotnie bańki na ramionach; potem także za uszami. Nie uczułem jednak żadnej ulgi.

Zwróciłem się wtedy kilka razy do naszego ks. Dyrektora, prosząc go o jakąś pociechę i zachętę do cierpliwości w tych strasznych boleściach i jakąkolwiek nadzieję rychłego wyzdrowienia.

Pewnego wieczora, kiedy wszyscy moi towarzysze zebrani w poszczególnych klasach uczyli się śpiewu, ja zamyślony i smutny siedziałem przy stoliku, przy którym siedział także ks. Dyrektor.

Naraz wstaje ks. Dyrektor, zbliża się do mnie, a położywszy mi rękę na ramieniu, w te odezwał się słowa: „Trzeba już temu położyć koniec. Weźmy Dominika Savio za czuprynkę i nie puszczajmy go, dopóki nam nie wyjedna od Pana Boga twego wyzdrowienia“.

Gdym to usłyszał, patrzałem na niego, lecz nie odpowiedziałem. Wtedy on rzecze:

„Tak, ty prosz każdego dnia tej nowenny, (było to wieczorem w przededniu rozpoczęcia no-

wenny do Niepokalanego Poczęcia), Dominika Savio, aby się wstawił za tobą i wyjednał ci tę łaskę. Staraj się, abyś miał zawsze sumienie czyste i mógł codziennie rano podczas tej nowenny przystępować do Komunii świętej. Wieczorem zaś, zanim się położysz do łóżka, tak się módl do niego: Dominiku Savio, módl się za mną, a do tego dołącz jedno Zdrowaś.“

Ja przyobiecałem mu wypełnić dokładnie jego polecenie. — On zaś jeszcze dodał:

„Dobrze, ty czyni to, co ci poleciłem, a ja codziennie będę się modlił za ciebie w ciągu tej nowenny podczas Mszy świętej. Dominik Savio z pewnością cię uzdrowi.“

W tym samym dniu, w którym zacząłem odprawiać nowennę, uczułem nagłą ulgę w swych boleściach. To też z większą jeszcze żarliwością spełniłem swoje praktyki pobożne. A jaka za to nagroda? Och, naprawdę wielka. Oczy moje po kilku dniach były zupełnie zdrowe. Jeszcze podczas nowenny przyobiecałem, że jeśli po upływie pewnego czasu choroba się już nie pokaże, zgłoszę ku większej czci Dominika Savio tę łaskę od niego otrzymaną. Teraz spełniam moje przyrzeczenie, ponieważ czas oznaczony (1-go lutego 1860 r.) już minął, a ja jestem zdrow zupełnie. Mam nadzieję, że Dominik Savio i nadal będzie mi wypraszał łaski od Pana Boga, ja zaś uczynię, ile będzie w mej mocy, aby mu się wywdzięczyć,

starając się naśladować go w tych cnotach, któremi on za swego życia tak przyświecał. Niech będzie cześć i chwała Bogu Najwyższemu i Dominikowi Savio, za którego szczególnem pośrednictwem otrzymałem tę łaskę.

T u r y n, 1-go lutego 1860 r.

Dotąd jeszcze, dzięki Najwyższemu, cieszę się wciąż czerstwem zdrowiem i dobrym wzrokiem i potwierdzam, com wyżej podałem.

T u r y n, 20-go marca 1861 r.

E d w a r d D o n a t o
ze Saluggia.

Natychmiastowe uzdrowienie od bólu zębów.

Czytając żywot Dominika Savio, powziąłem wielką cześć dla tego świątobliwego młodzieniaszka. Postanowiłem też opowiedzieć jedno zdarzenie godne uwagi, za które winienem nieskończoną wdzięczność temu niebieskiemu aniolkowi. Proszę zarazem, aby Wasza Wielebność raczyła ten fakt publicznie ogłosić, jeśli to uzna za stosowne.

W czwartek, 7-go kwietnia 1859 r., już od samego rana miałem lekki ból głowy. Nie zwracałem na to uwagi, sądząc, że to przejdzie. Tymczasem koło południa, a jeszcze więcej pod wieczór, cierpienie się wzmogło i nie mogłem cały

dzień niczem się zająć, ani usnąć przez całą noc. Gdym w piątek wstał z łóżka, zdawało mi się, że mi głowa pęknie; na domiar złego, dostałem silnego bólu zębów. Poszedłem jednak do szkoły, ale mimo wszystkich wysiłków, nie mogłem się ani uczyć, ani zważać na wykład.

Bóle nie ustały, a wieczorem tak strasznie poczęły mi dokuczać, że mi się miotał i wył niehumanicznym głosem z boleści. Nadeszła godzina lekcji wieczornej, a ja trapiiony bólem wyszedłem na balkon i głośno prawie zacząłem płakać, chcąc sobie bodaj w ten sposób ulżyć w cierpieniu, gdy wtem zbliża się do mnie ks. prefekt, a dowiedziawszy się o przyczynie płaczu, rzecze: „Poleć się Dominikowi Savio; on, jeżeli zechce, może cię uzdrowić“. Podziękowałem serdecznie ks. prefektowi za tę radę i sam sobie wyrzucałem, że o tem wprawdzie nie pomyślałem. Pobiegnę natychmiast przed ołtarz Maryi i ukląknę na stopniach tyle razy uświęconych obecnością Dominika, gdzie ronił obfite łzy z gorącej miłości ku swej Matce najmiłszej i skąd czerpał w takiej obfitości gorliwość i pobożność, zdobiące teraz jego skromie w górnych przybytkach. Przeżegnałem się znakiem krzyża św. i począłem się modlić w tem przekonaniu, że muszę koniecznie dostąpić pożądanej łaski, jeżeli taka wola Boża. Boleści atoli zwiększyły się jeszcze i doprowadziły mnie prawie do szaleństwa, gdy nagle na słowa: „ale nas

zbaw ode złego“, bóle znikają, krew poczyną krążyć regularnie, nabrzmiały policzek wraca do pierwotnego stanu, słowem, zapomniałem o swoich boleściach. Ach, drogi Aniołku, jakżeż ci się wywdzięczę za to nagłe wyleczenie? Jakże cię nie mam czcić i kochać, jakże nie mam ufać, że hojniejszym się jeszcze okażesz dla dobra duszy, skoro dla uleczenia ciała doraźnie przybyłeś mi z pomocą?

Proszę zatem, żeby Przewielebny ks. Dobrodziej zechciał wziąć pod rozwagę to zdarzenie i posłużyć się niem jak osądzi, aby się to mogło przyczynić do rozszerzenia chwały Bożej i do ufności w pomoc Dominika Savio.

Najoddańszy syn

Mateusz Galleno

z Caramagna.

Zeznanie matki, której syn leżał obłożnie chory w szpitalu św. Łazarza i Maurycego w Turynie.

Mijał już miesiąc, odkąd odprowadziłam swego syna jedynaka do szpitala św. Maurycego i Łazarza. Dostał silnego udaru mózgowego tak, iż stracił zupełnie świadomość, a między innymi dziwactwami jego choroby było i to, że nie chciał wymówić ani słówka do nikogo. Nikt sobie nie może wyobrazić boleści matki, która płacze nad ukochanym jedynakiem, dręczonym straszną cho-

robą bez nadziei wyzdrowienia. Cóż ja pocznę nieszczęśliwa w swej starości? Ach! jak złowroga i czarna przyszłość stawiała mi w tej chwili przed oczyma!

Pewnego dnia, cała stroskana udałam się z niektórymi moimi krewnymi do szpitala. Gdym się zbliżyła do łóżka chorego, gdym usłyszała, że mu kilkanaście razy puszczano krew, gdym go zobaczyła bladego, pozbawionego wszelkiej władzy, podobnego raczej do trupa, wybuchłam głośnym płaczem i nic mej żalości ukoić nie mogło. Lecz niech żyje Bóg, który raczył przybyć z nie spodziewaną pomocą i zmienić moje strapienia w nieopowiedzianą radość! W tej chwili właśnie zbliżył się pewien chłopiec z książeczką w rękę i przystąpiwszy do łóża chorego, otworzył ją i pokazał mu w niej obrazeczek młodzieniaszka, mogącego mieć około lat 15, którego życie i cnoty były w tej książeczce opisane. Począł polecać choremu i zachęcać go, żeby ją czytał uważnie i starał się naśladować tego młodzieniaszka, który żył i umarł jako święty. Widząc tę książeczkę i wizerunek myślałam, że to żywot jakiego świętego i przybliżywszy się do nieznajomego, poczęłam go prosić ze łzami w oczach, mówiąc: „Drogi paniezu, proszę mi podarować dla miłości Boga i Matki Najświętszej jedną taką książeczkę dla mego syna“. Zgodził się na to, ale dodał, że to rzecz daremna dawać ją obłą-

kanemu, i że lepiej będzie, gdy się chorego poleci opiece tego świętego młodzieniaszka, nazywającego się Dominik Savio i gdy mu się poleci jego zdrowie. Zgodziłam się natychmiast na tę propozycję i przybliżywszy się do mego konającego syna, zawołałam głosem wzruszonym: „Słuchajno, moje drogie dziecko, poleć się temu świętemu młodzieniaszkowi Dominikowi Savio, aby ci wyprosił od Boga łaskę wyzdrowienia!“

Na te słowa chory nic nie odpowiedział; zwrócił surowy wzrok na matkę i patrzył tak iskrzącym wzrokiem przez chwil kilka, potem z wielkiem wszystkich zadziwieniem, a moją niezmierną radością tak się odezwał: „Polecam się“.

Nie znajduję słów na wyrażenie mej radości i zadowolenia, gdym usłyszała głos mego syna, o którego wyzdrowieniu straciłam prawie nadzieję, a który od ośmnastu dni ani słówka do nikogo nie powiedział. Użyłam tedy wszelkich sposobów, aby go pouczyć o świętości i cnotach Dominika Savio, któremu poleciliśmy się gorąco.

Rzecz nadzwyczajna! Chory wkrótce potem uczuł się prawie zupełnie uzdrowionym. Choroba, której zakończeniem, według zdania lekarzy, miał być albo cmentarz albo dom obłąkanych, ustąpiła na zawsze.

Teraz, za co niechaj będą najserdeczniejsze Bogu dzięki, mój syn, którego nieszczęście tyle

mi lez wycisnęło, cieszy się stale ezerstwem i zupełnem zdrowiem.

T u r y n, 10-go kwietnia 1860 r.

M a r y a P a i v a.

Inne wyzdrowienie od bólu zębów.

Pewnego razu czytano przy mnie list, w którym donoszono, że mój przyjaciel, cierpiąc nieznośny ból zębów, polecił się był Dominikowi Savio i został natychmiast uzdrowiony. Od kilku tygodni byłem również dręczony tym bólem i obwijałem sobie twarz bandażem, aczkolwiek żadnej mi to ulgi nie przynosiło. Zachęcony pomysłem skutkiem modlitw mego towarzysza, zapytałem się ks. dyrektora: Mamże i ja spróbować i polecić się Dominikowi Savio?

— Tak, spróbuj — rzekł tenże — odmówić do niego jeszcze dzisiaj wieczorem jedno „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“ i ufaj w jego pomoc. Udawszy się do sypialni, odmówiłem polecone mi modlitwy i ufając, że zostanę uzdrowiony, położyłem się do łóżka. — Usnąłem zaraz, podczas, gdy w zeszłych nocach nie mogłem oka zmrużyć. Obudzwszy się rano, chciałem jak zwykle obwinać sobie twarz bandażem, ale: Jak to, pomyślałem, jeśli tak smacznie całą noc spał, to znaczy, że muszę być zupełnie zdrow. Odłożywszy więc bandaż, zerwałem się pełen radości z łóżka i ogło-

silem towarzyszom doznana łaskę. Odtąd nie cierpiałem nigdy na ból zębów. Wdzięczny zatem Dominikowi Savio za wyjednaną łaskę, wyrażam mu za to serdeczne dzięki i składam zarazem niniejsze zeznanie.

Revello, 20. kwietnia 1859.

Karol Dematteis.

Drugie uzdrowienie z ciężkiego bólu oczu.

Inny młodzieniec składa znów następujące zeznanie: „Od kilku tygodni cierpiałem na straszny ból oczu i musiałem zaprzestać swych nauk. — Słyszając o licznych łaskach, jakich doznali moi towarzysze, wzbudziłem w sobie wielką ufność w pośrednictwo Dominika Savio. Pewnego dnia, a było to w wielką środę 1859 r., rzekłem sobie: I ja muszę się polecić Dominikowi Savio. Uzdrowił tylu innych, którzy go nawet nie znali, a mnie, który byłem jego towarzyszem, nie miałby wysłuchać i uwolnić od tych boleści? Miałem wtedy stawiać grób Boży, jaki się zwykle w tym dniu przygotowuje. Ksiądz Dyrektor rzekł więc do mnie: spróbujże i ty! odmów jedno „Ojciec nasz“ i „Zdrowaś“, a jutro z silną ufnością w opiekę Dominika zabierz się do tych robót, ofiarując je jednak na chwałę Bożą. Wieczorem odmówiłem ową modlitwę, a nazajutrz znacznie mi się polepszyło, tak, iż mogłem wykonywać

moje roboty bez żadnych dolegliwości. W sobotę byłem już zupełnie zdrowy. Pełen wdzięczności składam niniejsze zeznanie, aby się rozszerzyła chwała tego sługi Bożego i aby inni pobudzeni tym przykładem, uciekali się do niego w swych potrzebach“.

T u r y n, 20. lipca 1859.

J a c e k M a z z u c c o
z Nucetto.

Nagłe uzdrowienie z gwałtownych boleści wewnętrznych.

Z pośród wielu łask, wyjednanych za przyczyną Dominika Savio, zasługuje na szczególną wzmiankę uzdrowienie pewnego studenta. Ja sam i dużo chłopców byliśmy tego naoczniymi świadkami. Oto jak on sam ten fakt opisuje:

Trzy lata temu zachorowałem na przepuklinę, spowodowaną wywichnięciem trzewia. Strasznie musiałem cierpieć, zanim się wyleczyłem. Od owego czasu nie odczuwałem żadnych boleści. Atoli 20-go lutego bieżącego roku, podczas gdy się bawiłem z moimi towarzyszami, dostałem naraz tych samych boleści. Nie mogłem ustać na nogach i musiałem się położyć natychmiast do łóżka wśród najstraszniejszych bólów. Zmartwiony i nie wiedząc co począć, kazałem zawołać ks. dyrektora, aby mi podał jakie środki i udzielił mi jakiejś rady. Przybył też niezwłó-

ecznie i widząc mnie wijącego się w boleściach, uczynił zadość memu życzeniu i wypowiadał mię. Tymczasem posłał po lekarza, po odpowiednie bandaże i kazał przygotować dorózkę, aby mnie w razie potrzeby odwieźć do szpitala i poddać operacyi. Boleści tymczasem tak się wzmożyły, że m odchodził od zmysłów i zacząłem majaczyć. Niektórzy zaś, widząc mnie w tych konwulsjach, myśleli, że m konający, a niektórzy nawet mieli m już za umarłego.

Wtedy przypadkowo przypomniał m się mój zmarły towarzysz Savio, którego żywot też i łaski za jego przyczyną otrzymane z czytania już znałem. Uczułem naraz wielką ufność w jego pośrednictwo i zawołałem: „Jeśli to prawda, że znajdujesz się w niebie, racz pomódz m w moich boleściach!“ Następnie odmówiłem na jego cześć „Ojcie nasz“, „Zdrowaś“ i „Chwała Ojcu“. Skończyłem zaledwie modlitwę, a błogi sen skleił m powieki, łagodząc niby balsam moje straszne cierpienia. Spałem prawie przez kwadrans. Obudzono m potem oznajmiając, że bandaże do operacyi już gotowe i że dorózka czeka na m, by m odwieźć do szpitala. „Ależ ja jestem zdrow!“ odrzekłem ku ogólnemu wszystkich zdziwieniu. I rzeczywiście byłem zupełnie uzdrowiony i byłbym zaraz wstał z łózka, gdyby nie to, że było już późno wieczorem i że m tego odradzono uczynić.

Nazajutrz wstałem zdrów, jak gdybym wcale nie był chorował i odtąd cieszę się ciągle czerstwem zdrowiem. — Wszystko to winienem młodzieniaszkowi Dominikowi Savio, który wstawił się za mną przed tronem Najwyższego i wyjednał mi taką nadzwyczajną łaskę, za którą będę żywił w mem sercu jak największą wdzięczność ku Bogu i ku niebieskiemu memu patronowi.

Karol Bellino
z Bard d'Aosta.

Inne wyzdrowienie od silnego bólu zębów.

Hiacynta Patrone w dowód wdzięczności ku Dominikowi Savio ogłasza następującą łaskę, którą otrzymała za przyczyną tego sługi Bożego: Od dłuższego czasu cierpiałam na straszny ból zębów, który odbierał mi w nocy sen, a we dnie przeszkadzał w zajęciach domowych. Użyłam wszelkich środków, aby ból zażegnać, lecz wszystko daremnie i zęby bolały coraz bardziej. Wisiał u mnie na ścianie obrazek Dominika Savio, podarowany memu synowi w kaplicy świątecznej, do której uczęszczał. Na widok tego obrazka przypomniałam sobie łaski, wyjednane za przyczyną Dominika, o których kilka razy czytałam. „Kto wie, rzekłam sama do siebie, kto wie, może Savio zechce i na mnie okazać potęgę swego wstawienia? — Zwróciłam się więc do niego o to, czego

nie mogłam otrzymać środkami materyalnymi i ukłękawszy, poczęłam odmawiać „Ojcze nasz”. Nie dokończyłam jeszcze tej modlitewki, gdy nagle ból ustał całkowicie i od tego czasu nie cierpiałam nigdy na zęby. Wdzięczna za tę łaskę, zaprowadziłam w swej rodzinie pobożny zwyczaj odmawiania codziennie jednego „Ojcze nasz” i „Zdrowaś” na cześć Dominika Savio i pragnę gorąco, aby rozszerzano jego nabożeństwo.

T u r y n, 1-go marca 1861 r.

H i a c y n t a P a t r o n e.

Inne uzdrowienie z niebezpiecznej przepukliny.

W mieście Chieri otrzymano za pośrednictwem Dominika Savio łaskę godną zanotowania. Berto Bechis Karol, zamieszkały w tem mieście, już od trzech lat ciężko chorował na przepuklinę. Nie mógł się zajmować żadną pracą, bo najmniejszy wysiłek, który czynił, sprawiał mu straszne katusze tak, iż upadał na siłach i nie mógł więcej utrzymać się na nogach. Użył już wszystkiego, co mu sztuka lekarska i chirurgiczna podawała, lecz napróżno; choroba zamiast się zmniejszać, coraz bardziej się wzmacniała. Na początku tego roku, gdy choroba coraz silniej go dręczyła, dostał do rąk żywot Dominika Savio. Ponieważ nie mógł się zajmować inną pracą, z przyjemnością kilka razy go przeczytał. Dowiedziawszy się, jak

kilka osób trapiionych różnemi chorobami i taką samą jak on, uciekło się do tego młodzieniaszka i zostały natychmiast uzdrowione, nabrał ufności, że także i on zostanie uzdrowiony. Nie tracąc czasu, rozpoczął natychmiast nowennę na jego cześć w celu odzyskania zdrowia. Nowenna polegała na każdodziennem odmawianiu trzech „Ojcze nasz“, „Zdrowaś“ i „Chwała Ojcu“. Przyobieczał nadto, że gdy tylko otrzyma upragnioną łaskę, uda się do Ks. Bosko, aby mu złożyć sprawozdanie z tego cudu. Zaledwie rozpoczął nowennę, zaraz uczuł znaczne polepszenie. Po trzech. czy czterech dniach mógł już zdjąć bandaż, bez których się od dłuższego czasu ani na chwilę nie mógł obejść. Po skończonej nowennie począł pracować i to dosyć ciężko i szło mu to jak najlepiej bez najmniejszego bólu, słowem był zupełnie zdrowy. Było to w miesiącu marcu; od owego czasu nie czuł więcej najmniejszej dolegliwości i mógł znowu wziąć się do pracy rolniczej, której od dwóch lat musiał był zaniechać.

Tenże sam człowiek zeznaje także, że Savio Dominik nie ograniczył się tylko na wyjednanie mu tej łaski doczesnej, lecz wyjednał mu jeszcze inną łaskę duchowną, daleko pożądanszą. Od lat nie przystępował do sakramentu Pokuty i co więcej, czuł do niego taką odrazę, że sam był przekonany, iż bez szczególniejszej pomocy z nieba

nie zdoła jej przewyciężyć. Dlatego w tym samym czasie, w którym prosił Dominika o łaskę wyżej wzmiankowaną, błagał go zarazem o uleczenie duchowne. W samej rzeczy Savio Dominik, uzdrowiwszy jego ciało, uleczył także jego duszę i sprawił, że znikła w nim ta wielka odraza do spowiedzi i uczuł szczere pragnienie pojednania się z Bogiem. To też Bechis zaledwie się uczuł uzdrowionym, pragnąc podziękować Bogu i jego słudze Dominikowi, przystąpił do sakramentu Pokuty i Komunii św. z wielką wewnętrzną pociechą.

Niżej podpisany spisał to sprawozdanie, słyszane z ust samego Karola Bechis, który jest gotów poświadczyć to przed kimkolwiek.

Turyn, 10. marca 1861.

Ks. Michał Rua.

Uzdrowienie z ciężkiej choroby oczu.

Przewielebny Księżu Dobrodzieju!

Chcę opisać Ks. Dobrodziejowi zdarzenie, mające według mnie znaczenie wielkiej wagi. Rzecz miała się tak: W styczniu tego roku, dręczony od ośmiu dni ciężką chorobą oczu, po bezskutecznem użyciu środków lekarskich wszelkiego rodzaju, uciekłem się do środków duchownych, które mnie też nie zawiodły. Gdy bowiem cierpienia strasznie mi dokuczały, przyszedł mi na

myśl dawny wychowanek Przewielebnego Ks. Dobrodzieja, Dominik Savio, i łaski, za jego pośrednictwem od Boga otrzymane przez tych, którzy się do niego z ufnością uciekli. Również i ja wezwałem jego pomocy i oto w czasie modlitwy zdawało mi się, jakoby mi ktoś cudownie oczy obmywał; od owego czasu znikły bóle i wzrok mój jest całkiem jasny i pogodny.

Poznałem z tego, jak marne są rzeczy tego świata w porównaniu do niebieskich. Życzyłbym sobie gorąco, żeby ten cud, który według mego zdania na to zasługuje, został dołączony do innych, udzielonych przez Pana Boga, dla Jego większej chwały.

Raczy Przewielebny Ks. Dobrodziej przyjąć me serdeczne pozdrowienie, uważając mnie za swego

uniżonego sługę w Chrystusie

Wawrzyniec Pelazza.

Carmagnola, 1. kwietnia 1861.

Przewielebny Księżu Dobrodzieju!

Wdzięczność i miłość względem Dominika Savio, wielce zasłużonego wychowanka Waszej Wielebności, skłania mię do wystosowania do Przewielebnego Ks. Dobrodzieja niniejszego listu.

Naglony przez kilka pobożnych i światłych osób, abym publicznie ogłosił uzdrowienie otrzy-

mane za wstawiennictwem wyżej wspomnianego młodzieniaszka, zwracam się do Przewielebnego Ks. Dobrodzieja z prośbą, aby Przewiel. Ks. Dobrodziej raczył przyłączyć tę łaskę do innych już otrzymanych przez wstawiennictwo Dominika Savio. i ogłosić je, jeśli to uzna za stosowne.

Czynię to wogóle w tym celu, aby zachęcić osoby pobożniejsze a przede wszystkim młodzież do uciekania się pod opiekę tego patrona jako też do naśladowania jego cnót i do rozszerzania jego nabożeństwa.

Na początku lipca r. 1871 zapadłem na taki uporczywy kaszel, że ani we dnie ani w nocy nie mogłem znaleźć spoczynku. Zawezwani trzej lekarze zbadali mnie dokładnie, lecz wszystko na-daremnie. Po kilku dniach bezskutecznych wysił-ków zdałem się na wolę Bożą; siły coraz więcej mnie opuszczały, a silny katar tamował mi oddech. Przewlekły bowiem kaszel nadwyreżył przewody oddechowe, a ostatecznie zamienił się w bardzo niebezpieczne zapalenie oskrzeli. Choroba robiła zastraszające postępy i lekarz orzekł, że niema ratunku. Zakazano mi się uczyć i czytać cokol-wiek. Tymczasem dla rozrywki wziąłem do rąk żywot Dominika Savio, który od kilku lat z przy-jemnością czytałem. Przykładne życie tego mło-dzieniaszka, tudzież łaski, które zjednywał swoim czcicielom, nasunęła mi tę myśl, żebym się jemu polecił. Przez trzy dni odmawiałem: „trzy Ojce

nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu“, pełen ufności, że będę wysłuchany. Gdy lekarz przyszedł mnie odwiedzić, znalazł ku wielkiemu swemu zdziwieniu wielkie polepszenie zdrowia. „Tu już nie ręka ludzka, mówił, ale Boska musiała mieć udział!“ W tej też chwili ustał uporczywy kaszel, który mi przez trzy miesiące dokuczał; znikła nagle choroba, która mnie powaliła na łożo boleści i nieznacznie ciągnęła do grobu i wstałem zdrowy i silny, jakbym nie był chorował. Nagłe to uzdrowienie wywarło wielkie wrażenie na wszystkich znajomych i wszyscy chwalili i wielbili ze mną Dominika Savio.

Jan Chrzciciel Pellegrini

kleryk z Seminaryum w Como.

Sprawozdanie z dwóch łask, które otrzymałem od Dominika Savio.

I. W r. 1860 tak ciężko zachorowałem na oczy, że musiałem zupełnie zaprzestać nauki. Tak samo jak ja, cierpiało na ból oczu kilku moich towarzyszy, którzy się poddali kuracyi biegłych lekarzy i zostali wyleczeni. Ja także zamierzałem pójść do lekarza, lecz słysząc od moich towarzyszy, ile to przy takich operacyach trzeba wycierpieć, nie mogłem się na to zdecydować. Powiedziałem to ks. Bosko, który mi rzekł, że matka ks. Ruy, która przebywała w Oratoryum,

przechowywała jakiś kawałek czarnego jedwabiu, którym Dominik Savio zwykł był przykrywać sobie oczy, kiedy go bolały. Niezwłocznie poprosiłem rzeczonoj pani o ten kawałek jedwabiu, który też otrzymałem. Następnie udałem się do sypialni i nie rozebrawszy się wcale, rzuciłem się na łóżko, aby cośkolwiek odpocząć. Wprzód jednak przepasałem oczy otrzymanem kawałkiem jedwabiu. Zasnąłem niespodziewanie szybko i spałem smacznie przez dwie godziny, tj. aż do ukończenia lekcyi popołudniowych. Zaledwie się obudziłem, zdjąłem obwiązkę z oczu i obmyłem je sobie świeżą wodą. W tej chwili uczułem się zupełnie zdrowym. Dziwili się temu niezmiernie moi towarzysze, którzy tyle musieli wycierpieć, zanim się wyleczyli.

To nagle i cudowne wyzdrowienie przypisuję pośrednictwu Dominika Savio, którego w owej okoliczności o pomoc prosiłem.

II. Przeszło parę lat, a oto w miesiącach letnich (zdaje mi się, że to był lipiec), zapadłem znów na inną chorobę oczu, mianowicie na pewien rodzaj kurzej ślepoty, na którą także zachorowali moi towarzysze. Nie czułem wprawdzie żadnych boleści, lecz gdy się pod wieczór poczęło ściemniać, nie widziałem zgoła nic, jak gdyby ciemności wokoło zalegały. Dlatego z nastaniem zmroku musiałem mieć przy sobie jakiego uczynnego przyjaciela, któryby mnie wszędzie prowa

dził. W tym czasie przebywałem w Fossano. — Pewnego razu udałem się do katedry na wieczorne błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem. Kiedym po nabożeństwie wyszedł z kościoła, chociaż jeszcze nie było ciemno, nie widziałem nic około siebie i wtedy poczułem ciężar mojej ślepoty; gdzież tu iść omackiem sam? W tem krytycznem położeniu, nie wiedząc, co począć ani komu się polecić, powróciłem do kościoła, uklęknąłem i prosiłem gorąco Dominika Savio, ażeby mi jak dawniej, tak i teraz przyszedł z pomocą. Odmówiłem Ojciec nasz, a na słowa „Odpuść nam“ wydało mi się, jakoby mi ktoś nagle z oczu zdarł zasłonę.

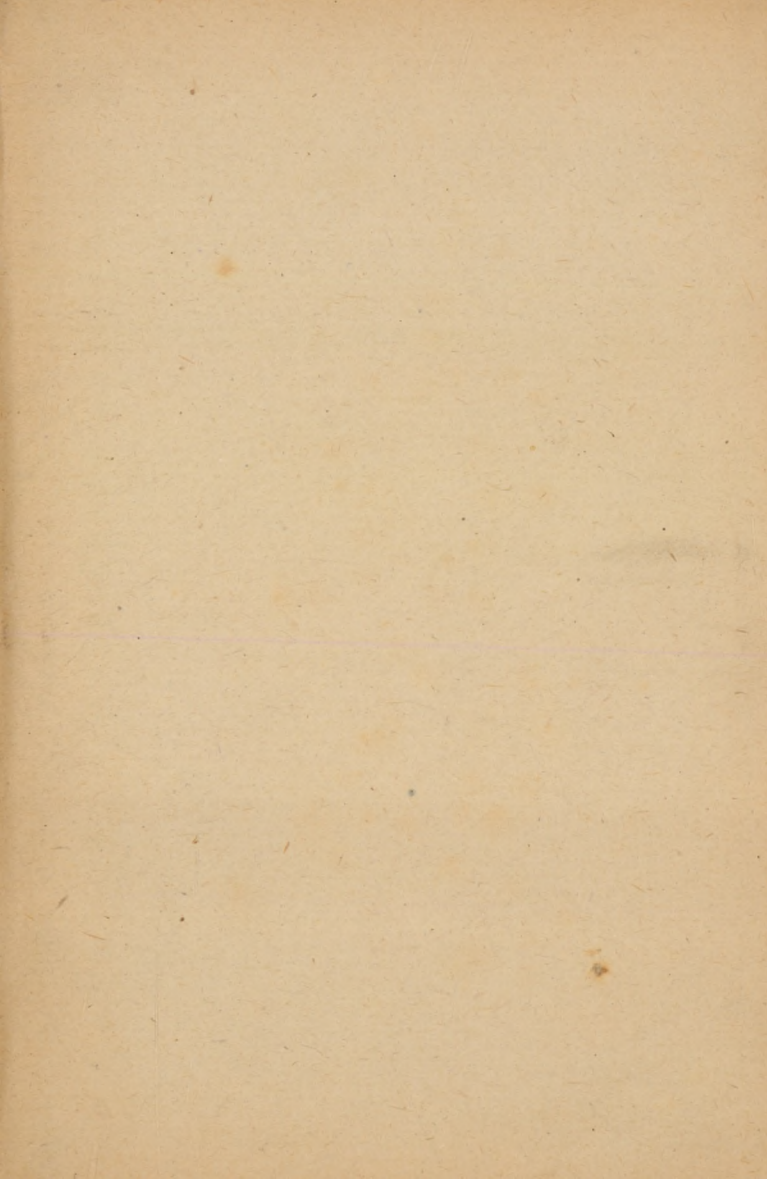
I w rzeczywistości, wyszedłszy z kościoła, chociaż już była ciemna noc, widziałem dobrze i mogłem spokojnie udać się sam do domu. Od tego czasu zupełnie wyzdrowiałem. Dominik Savio, do którego się uciekłem, wyprosił mi tę łaskę.

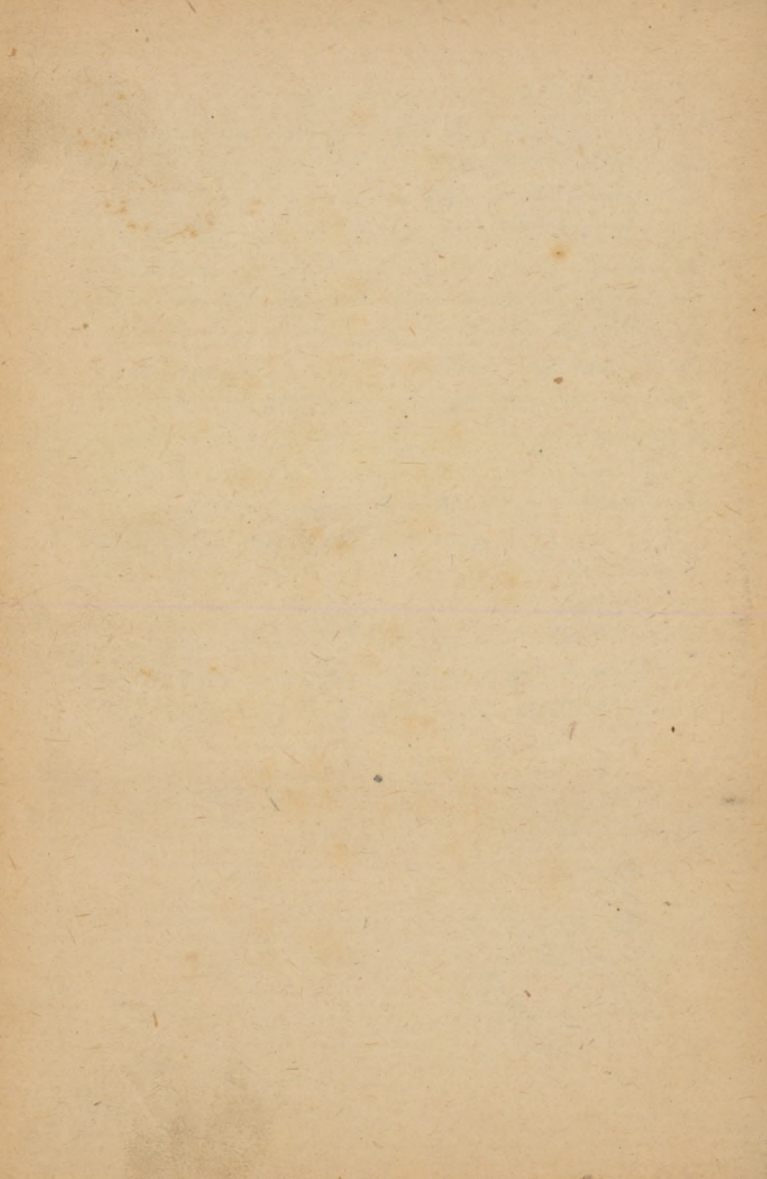
Turyn, 1889 r.

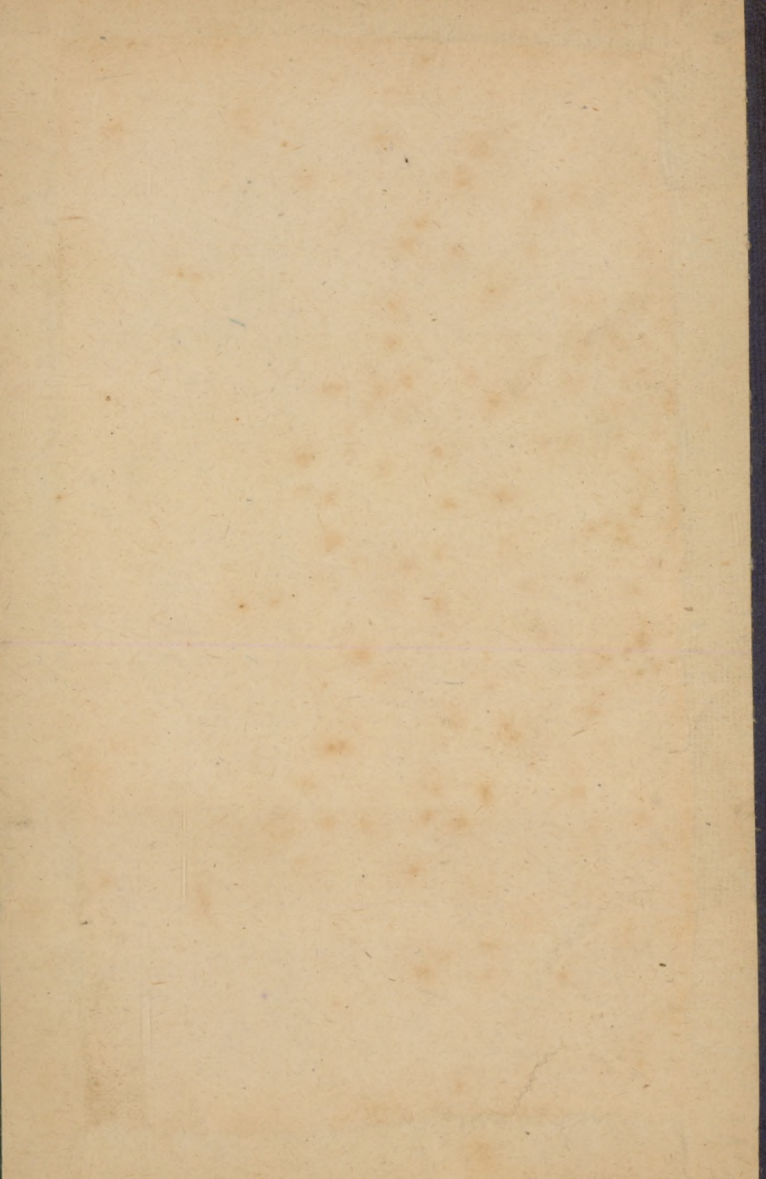
Ks. Jan Garino.

Balczyńska Szkoła
Rzemiosł
w Kielcach









Biblioteka UJK Kielce

UJK



0547397